R G B WH GR BL

Grey Scale #13

C M Y K

DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

DANES-PICTA.COM

LISTY O GALICYI

DO

GAZETY POLSKIEJ

1875—1876.

8440 D. Dbl.

KRAKÓW.
NAKŁAD I DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
—
1877.

320

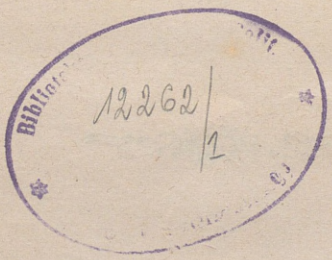

I.

Kraków, 4 lutego.

Życzycie więc sobie, ażebym 15-go każdego miesiąca zdawał sprawę z życia tutejszego społeczeństwa; że jednak zaległość moja względem was jest już znaczną, nie czekam do 15 bież. miesiąca i już 4-go wywiązuję się z dawno danego przyrzeczenia, wywiązuję ze wstydem za spóźnienie, na jaki tylko stać dziennikarza, któremu niestety w podobnych razach „wstyd już nie rumieni czoła“.

Zdaje mi się, żeście się nie zawiedli w wyborze, nie sprawozdawcy, ale miejsca, z którego chcecie mieć wiadomości o życiu i czynach społeczeństwa galicyjskiego. Nie posądzicie mnie zapewne, iżbym zapatrywał się na tutejsze sprawy ze stanowiska śmiesznego i politowania godnego a nieustającego antagonizmu pomiędzy Lwowem a Krakowem. Co o tym antagonizmie myślę, dowiecie się w następnych listach; ale zaprawdę spokojny Kraków jest niezaprzeczenie lepszym

punktem, niż wiecznie rozczochrany Lwów, dla sprawozdawcy dziennika, który chce wydobyć dla swoich czytelników z tutejszego chaosu namiętności, pokrzywionych wyobrażeń, zabiegów, rywalizacyi, walk i burz w szklance wody, przynajmniéj przybliżoną, skromną prawdę, jeżeli już nie ową prawdziwą prawdę, o którą Figaro upomina się u Zuzanny. Tę skromną prawdę o tutejszych stosunkach będę się starał przesyłać z Krakowa, a wątpię czy ze Lwowa zdołałbym wam i takiéj dostarczyć. Rozmaite są powody téj różnicy dwóch głównych miast tego kraju, powody, które w następnych listach wyjaśnię; jednę wszakże z główniejszych przyczyn upatruję w tém, że Kraków nierównie mniéj trudni się polityką niż Lwów, a że w naszych czasach polityka i prawda najzupełniejszy z sobą wzięły rozbrat, im mniéj polityki tém łatwiéj o prawdę, i odwrotnie. Gdybym nie obawiał się, że mnie posądzicie o pochlebstwo, to dodałbym, że blizkość Warszawy i częstsze z nią stosunki także nader korzystnie wpływają na Kraków; a nareszcie ma on dawniejszą i nierównie lepszą tradycyę niż Lwów, który jest wychowańcem biurokracyi austryackiéj. Z góry was przestrzegam, że prawda, którą zamierzam wam przesyłać, będzie może czasem zabawną, ale rzadko wesołą a raczéj pocieszającą; nie myślcie jednak, iżby to było skutkiem zbytniego spożywania przez waszego korespondenta homara; nie, doprawdy

że nie; wyzywam ludzi zapatrujących się najróżowiej na świat, aby zdołali ztąd napisać coś wesołego i pocieszającego a zgodnego z najskromniejszą prawdą. Lecz nie uprzedzajmy faktów!

Jeszcze na pierwszym planie, spostrzegam schodzącą zaledwie z porządku dziennego sprawę „Porcyi“, słyszę jeszcze ostatnie akorda téj lokalnéj opery, a raczéj kociej muzyki. Co to za nieprzebrana kopalnia dla obserwatora, ta sprawa „Porcyi“, o któréj i wy już coś zasłyszeliście, a która przez kilka miesięcy zajmowała wyłącznie tutejsze społeczeństwo! Jest ona dla tego godną uwagi, że jest najświeższą, a zdaniem mojem najdokładniejszą a stanowczą illustracyą tutejszych stosunków. Hr. Stanisław Tarnowski, jeden z rzadkich ludzi tutaj prawdziwie znakomitych, napisał w miesięcznem piśmie „Przegląd“, artykuł p. t. „Porcye“, w którym twierdził, że obywatelstwo w niektórych miejscowościach Galicyi ciągnie za pomocą pożyczek pieniężnych zbyt wielkie z włościan zyski w robociznie. Robocizna ta, wedle słów p. Tarnowskiego, odrabiana w procencie od wypożyczonych przez większych właścicieli sum włościanom, równać się miała największéj lichwie, a zwyczaj ten miał się nazywać „Porcyami“. Pojmiecie łatwo do jakich następstw, szczególniéj na tutejszym gruncie, podobne układy ostatecznie doprowadzićby mogły. Okazało się przecież, że p. Tarnowski, nie znający dość dobrze wiejskich stosunków,

a słusznie przerażony przesadzonemi i niedokładnemi opowiadaniami, zbyt gorąco, a może i trochę nierozważnie podjął tę sprawę, i nadał jéj rozmiary, których nie miała. Złe może zaledwie wyjątkowe rozciągnął on niemal do ogółu. Oczywiście, że należało, dla prawdy i słuszności, sprostować mylne, lecz w dobréj wierze postawione przez p. Tarnowskiego twierdzenia. Zamiast uczynić to spokojnie i poważnie, wzięto się do rzeczy namiętnie, obcesowo, brutalnie, rozpoczęto agitacyę, bez któréj nic tu nie umieją robić, puszczono wodze najgorszym namiętnościom w widocznym celu, nie sprostowania faktów, nie wyjaśnienia prawdy, ale dokuczenia p. Tarnowskiemu, skruszenia jego świetnego pióra i wykolejenia go z życia publicznego.

Z podziwienia godnym spokojem znosił pan Tarnowski wszystkie te następstwa artykułu swojego, a nawet odwołał i cofnął wszystko, co okazało się rzeczywiście mylném w owym artykule. Lecz to nic nie pomogło; forma odwołania, nibyto nie podobała się; powtórne odwołanie ze strony „Przeglądu“ także nie zadowolniło, agitacya nie ustawała, protesta, polemiki i obelgi sypały się jak z rogu obfitości, bo nie szło o rzecz, ale o osobę. Miejcie raz na zawsze na uwadze, że główną wadą, główną plagą tutejszych stosunków jest, iż nigdy tu nie idzie o rzecz, lecz zawsze o osoby. Z wielkim zdziwieniem, żeby nie powiedzieć zgorszeniem, widziano jak najwyższy w kraju

urzędnik, przez swój organ „Gazetę Lwowską“, brał czynny udział w téj zaciętéj przeciw panu Tarnowskiemu walce, w któréj powinien był przed innymi, zająć, jeżeli już nie rozjemcze, to przynajmniéj neutralne stanowisko. Rzecz dziwna, ale dwa prądy, dwa obozy zawsze sobie w tym kraju przeciwne: pałac namiestnikowski i pałac książąt Sapiehów, przyłączyły się do akcyi prowadzącéj ostatecznie do zdyskredytowania i zniszczenia znaczenia człowieka, nietylko z nieskalaną, ale z pełną zasług przeszłością, publicystę świetnego a niezależnego, słowem znakomitości jakiéj drugiéj w pewnym kierunku i w tych warunkach, Galicya z pewnością nie posiada. Rzucono obłudnie zarzewie niezgody, twierdząc że artykuł p. Tarnowskiego jest wojną wypowiedzianą wschodniéj Galicyi przez zachodnią, daléj że jest wcieleniem teoryi przypisywanéj nieodżałowanéj pamięci p. Adamowi Potockiemu, a streszczającéj się w słowach, których podobno nigdy nie powiedział: „pan i chłop“, podburzano wszelkiemi środkami namiętności dobrodusznéj szlachty i potworek demokracyi szlacheckiéj, który już tyle złego na téj ziemi narobił a który mając wszystkie wady demokracyi, niema żadnéj z zalet ani demokracyi, ani arystokracyi, rozhulał się i rozszalał na dobre w téj sprawie. Widząc te bezużyteczne zapasy i tę niepotrzebną wojnę, a przypatrując się od dość dawna tutejszym sprawom, niepodobna się wstrzymać od uwagi,

o ile by one korzystniéj i świetniéj stały, gdyby tę energię, którą rozwinięto z powodu artykułu p. Tarnowskiego, zużytkowano od kilkunastu lat dla załatwienia najżywotniejszych kwestyi moralnych i materyalnych, które odłogiem leżą. Lecz tutaj umieją energicznie działać tylko ujemnie, nigdy dodatnio a rzecz godna uwagi, społeczeństwo tutejsze nie mogąc strawić prawdziwie znakomitych ludzi, wyrzuca ich z siebie po kolei, karmiąc się miernościami i tuzinkowemi osobistościami. To co dziś widzimy z powodu p. Tarnowskiego, niejednokrotnie już się zdarzyło, a mianowicie gdy pewna europejska znakomitość, słynny współpracownik „Revue des deux Mondes“, osiadł tutaj. Wtedy także nie umiano czy nie chciano, należytego zrobić mu miejsca, i dopóty kłuto go szpilkami dopóki nie przeniósł asfaltu nad słodycze życia tutejszego. P. Tarnowski zbłądził, sam to przyznał, lecz gdyby nawet wina jego była stokrotnie większą niż nią jest rzeczywiście, czyż nie było rzeczą rozumnego i pojmującego własny interes społeczeństwa, nie sponiewierać człowieka tych zdolności i tego znaczenia! Tu przeciwnie uchwycono w lot sposobność, aby się go pozbyć, jeżeli się uda. Zatrzymałem się dłużéj nad tą sprawą dlatego, że jest ona, niestety, najdokładniej architektonicznie przybudowanym krużgankiem do gmachu, po którym mam was oprowadzać.

Proces p. Offenheima zbyt dotyczy tutejszych stosunków; zbyt wiele osób, i to wysoko położonych z téj prowincyi, wmięszanych jest do niego, aby nie zajmował on tutaj umysłów i nie był przedmiotem rozmów. Proces ten głębokie robi tu wrażenie, a najfatalniéj deprymująco oddziaływa na tutejsze społeczeństwo. Uczciwi ludzie z boleścią w sercu starają się jak najmniéj o nim mówić, a szczególniéj pisać. Dla innych, mianowicie dla paszkwilistów i kondotierów pióra jest on nieprzebraną kopalnią skandalów i osobistych zaczepek, z któréj wydobywają nie szlachetne metale, lecz stosy błota. Trudno dotąd rozpoznać się w tym ogromnym procesie, w którym oskarżony jak Tytan olbrzymich przedsiębierstw dzisiejszych, broni się i walczy z sądem i prokuratorem. To jednak pewna, że jakikolwiek będzie skutek tego procesu, sprawa kolei czerniowieckiej pozostanie zawsze złą sprawą, dla téj prostéj przyczyny, że jej koncesyonaryusze i naczelnicy podzielili się znacznemi zyskami, kiedy jednocześnie kolej ta źle i niedokładnie zbudowaną została; jest to zdaniem mojem główny punkt sprawy i czarny punkt. Ale z drugiéj strony obwiniać tych panów o każdy zysk lub chęć zysku w przedsiębierstwie tego rodzaju, jest poprostu dziecińśtwem i zbyt fanatyczném ocknieniem się sumienia, aby ono mogło mieć rzeczywistą wartość. Wprawdzie ktoś dowcipniéj niż słusznie powiedział, „że wiedziano iż

nieraz dla zrobienia interesu trzeba przekupywać, lecz nie wiedziano żeby trzeba było dawać się przekupywać". Pomimo jednak zaczepek i paszkwilów, któremi stronnicze i niesumienne organa tutejsze obrzucają znaczne i znane osobistości krajowe wplątane w sprawę Offenheima, nie ulega wątpliwości, że w ogóle ich zeznania jako świadków zrobiły względnie dobre wrażenie nietylko na tutejszych nieuprzedzonych umysłach, ale także w Wiedniu. Mianowicie książę Leon Sapieha, o którego oczywiście głównie tu idzie i iść musi, z wielkim rozumem, z prostotą i stanowczością wytłómaczył przed sądem postępowanie swoje, a w Galicyi równie jak w Wiedniu zeznania jego zyskały ogólne uznanie. Kiedyś, może będę mógł wam wskazać o ile i w tej sprawie było wmięszanych osobistych nienawiści i osobistej zemsty, i o ile szło właśnie o to, aby powalić, a przynajmniej skalać taką osobistość jak książę Leon Sapieha. Czy to było mądrze i roztropnie? Sami osądźcie. Czy uczciwie? Śmiem stanowczo powiedzieć, że nie. Chcieć przeistoczyć usterki w zbrodnie, a za lada niepowodzeniem mazać całą zasłużoną i arcyużyteczną przeszłość i niszczyć wielką pozycyę, może być dziełem tylko złych i poziomych namiętności.

Przejdźmy chociaż na chwilę z dusznej atmosfery interesów do dziedziny sztuki. Tu oczywiście, na pierwszym planie przedstawia się nam

„Zawieszenie dzwonu Zygmuntowskiego“ p. Matejki. Czytałem w waszym dzienniku wzmiankę o nim. Znajdował się on tutaj przez kilkanaście dni na wystawie, teraz podobno jest w Wiedniu. Mniejszy od zwykłych obrazów Matejki, ma on wiele piękności, lecz w mojem przekonaniu nie stanowi postępu w zawodzie znakomitego artysty, a to dla tego, że nie uniknął w nim błędów, które mu słusznie zarzucają i wytykają znawcy. Piękną, ale tą pięknością, która wyzywa wszelką krytykę, jest grupa robotników wydobywająca dzwon z ziemi; jest tu muskularna siła Rubensa połączona z ogniem i samorodną potęgą kreacyi Matejki; wszystkie te postacie żyją, czują, myślą, pracują, wysilają się, pocą się; wszystko to, że tak powiem, pali się. Błędu nie dostrzeżesz tutaj. Środkowe figury są piękne, przepysznie malowane, lecz ich znaczenie niejasne, nieco zagadkowe i względnej wartości. Grupa naprzeciw robotników, to dwór patrzący się na poświęcenie i wzniesienie dzwonu; olśniewa on blaskiem, świetnością, a głównie przepychem strojów, owym przepychem, którego sekret posiada dziś chyba jeden p. Matejko, a który dał powód do twierdzenia: „iż jest on najpierwszym krawcem naszych czasów“. Lecz tego wszystkiego jest zawiele w tej grupie, zawiele blasku, zawiele osób natłoczonych i cisnących się — „il y a du trop“, a tem samem brak nieco dobrego smaku. Między

postaciami obrazu jak zwykle portrety osób żyjących; burmistrz ówczesny, to dzisiejszy prezydent Zyblikiewicz; Bona, to znana żona artysty, powtarzająca się prawie w każdym jego obrazie; między środkowemi postaciami widzimy portret pełnego talentu rzeźbiarza Gujskiego. Król Zygmunt bardzo majestatyczny, pełen spokoju i królewskiej godności, coś wyższego dominującego w całej postawie, aczkolwiek rysy twarzy więcej patryarchalne niż arystokratyczne. Ale przy tych pięknościach, niestety! błędy i to te, które po za Galicyą tak szkodzą Matejce, a które w Wiedniu podczas wystawy w zdumienie wprowadzały znawców, w połączeniu z objawami tak potężnego talentu. Zawsze tu ciasno i duszno, a dla czego, skoro rzecz dzieje się na świeżem powietrzu? Lekceważenie najzupełniejsze perspektywy; zamek przylepiony jest do pierwszego planu, a jakaś wieża, podobno „kurza stopa“, zawadza o baldachim, pod którym siedzi królowa. U stóp tronu jest pazik trzymający dwa prześliczne pieski faworyty krolowej, ale gdyby ten pazik wstał byłby potwornym, wyglądałby jak na szczudłach. W całym obrazie widoczny brak wpatrzenia się w wielkie wzory! Stańczyk rozwalony na stopniach tronu z gołemi kolanami, jest w najwyższym stopniu nie estetycznym i jest uosobnieniem błędu, który nazwę bezmyślną myślą; widocznie

ma coś znaczyć, a rzeczywiście nic nie znaczy, i niepodobna odgadnąć co miał znaczyć.

W chwili gdy się ukazał ten nowy utwór Matejki, zbierają się składki na zakupno innego obrazu, dla sali sejmowej we Lwowie. Dwa komitety, jeden we Lwowie, drugi w Krakowie, ten ostatni pod prezydencyą burmistrza Zyblikiewicza, zajmują się tą sprawą. Dotąd największą summę dał hr. Artur Potocki, który już przy wstępie do życia zdaje się chcieć iść, za pięknym przykładem zostawionym mu przez niewygasłej nigdy pamięci ojca.

W teatrze dwie nowości: „Żyd“ pana Asnyka, „La belle au bois dormant“ Feuilleta, przetłómaczona przez pana Sarneckiego pod tytułem: „Dwa światy“, i powodzenie, nie tyle może dramatu pod tytułem „Hrabina de Somerive“, jak raczej benefisu panny Urbanowicz, której talent i inteligentna gra, ma tu między znawcami wielu zwolenników. „Żyd“ pana Asnyka w ogniowéj próbie przedstawienia, przeszedł najróżowsze nadzieje, a zadał kłam czarnym przewidywaniom, aczkolwiek sam jest czarny jak atrament, żeby nie powiedzieć jak piekło, co też jest jego największą wadą. Ktoś go określił „jako rzecz niepospolitą a nieudaną“. Pomimo tego trzyma się desek i zajmuje. Prawda, że gra p. Bendy w tytułowej roli jest jednym z głównych żywiołów tego zajęcia; poprawny ten artysta gra tę rolę

Biblioteka Polit. ... w Ostrowcu

wyżej swojego talentu. Słyszałem że „Żyd“ ma się ukazać w waszym dzienniku, powinszować by wam można tego nabytku; rzecz to bowiem godna głębszego zastanowienia i pobudzająca do niego. Co tylko nie zapomniałem o największem chwilowem powodzeniu teatralnem, o „Kapeluszu słomianym (La chapeau de paille d'Italie), zapełnia on od kilku dni teatr od góry do dołu; farsa to w całem tego słowa znaczeniu, ale najzupełniej udana, a na którą wszyscy młodzi i starzy, rozumni i mniej obdarzeni od natury, tłumnie spieszą; widziałem nawet Lucyana Siemieńskiego, który ręczę że na „Andromace“ nie był. Komissya konkursowa miała już pięć posiedzeń i zakończyła przedwstępne prace, to jest oznaczenie sztuk, które warte są wspólnego głośnego czytania; znalazła ich przecież jedenaście; tylko te jedenaście ubiegać się mogą o liczne tegoroczne nagrody, z doświadczenia jednak lat poprzednich wiem, że i między temi jedenastoma *powołanemi* nie wszystkie będą *wybranemi*. Nie zasiadając w tej komissyi, która, sądząc ze sprawozdań dzienników, pilnie pracuje, aby przyspieszyć ostateczny skutek konkursu, nie wiem czy jest nadzieja, aby która sztuka otrzymała pierwszą wielką nagrodę; zapewniano mnie jednak, że będą godne przedstawienia. Dowiaduję się, że po za konkursem znany i u was a wielce tu lubiony i ceniony Bartels, napisał

jednoaktową komedyę, której podobno uczą się już tutejsi artyści.

Balów prywatnych, szczególniej w tak zwanem towarzystwie krakowskiem, prawie całkiem nie ma w tym roku; zaledwie wieczorki tańcujące, z których najzabawniejsze niedzielne u młodej a pełnej wdzięku gospodyni, niedawno dla Krakowa nabytej. Jak zwykle o tej porze, jeden lub dwa publiczne bale co tydzień na różne dobroczynne cele, niektóre z nich liczne, inne mniej, wszystkie nie tak świetne jak przed dwoma laty, to jest przed owym krachem, który ciąży jeszcze jak zmora na całej monarchii, a w Wiedniu podobno bardziej niż na prowincyi. Bohaterem, lub jeżeli wolicie lwem tegorocznym salonów, jest prezydent Zyblikiewicz; dzielny burmistrz, nietylko prezyduje w radzie miejskiej, ale także na zabawach i w towarzystwach, nietylko że bierze się energicznie do asfaltowania miasta i restauracyi Sukiennic, ale także usiłuje ożywić towarzyskie życie krakowskie, a sam daje najlepszy przykład wieczorami poniedziałkowemi, na które wszyscy tłumnie śpieszą. O tych wieczorach rozpiszę się później. Towarzystwo zaś tutejsze otacza zacnego prezydenta wielką sympatyą, a wszystkie znaczniejsze domy dają dla niego obiady. Słyszę o wielkim kuliku, gotującym się na ostatni wtorek, a mającym zajechać na Szlak, to jest do dawnego pałacyku hr. Leona Rzewuskiego, nabytego w tym

roku przez hr. Stanisława Tarnowskiego, a w którym chwilowo mieszka ks. Marcelina Czartoryska. W ogóle liczne żałoby stanęły na przeszkodzie zabawom w tutejszym świecie; najpierwej śmierć hr. Andrzeja Zamoyskiego, teraz znowu śmierć pani Kisieleff; ta ostatnia boleśnie dotknęła w przededniu karnawału nietylko krewnych, ale i licznych tutejszych przyjaciół tej pani, która była tak znaną i typową postacią europejską; miała ona urok wielkiej damy w prawdziwem tego słowa znaczeniu, bo nieodłącznem od rozumnej kobiety. Krewni i przyjaciele odprawili w kościele OO. Kapucynów nabożeństwo za jej duszę, na którem całe wyższe towarzystwo znajdowało się. Śmierć wyrwała także miłego a często złośliwie dowcipnego hr. Leona Skorupkę; było to dziecko Krakowa, a zarazem człowiek europejskiego wykształcenia i obejścia; miał wady i przymioty Krakowianina, lecz pierwsze sam umiał nielitościwie wyśmiewać.

II.

Kraków, 15 lutego.

Mniéj może niż w Wiedniu, lecz i tu obudziła zajęcie wiadomość o przeniesieniu z pułku artyl-

leryi stojącego w Temeswarze, do pułku piechoty Wilhelma stojącego w Krakowie, arcyksięcia Jana Salwatora; jestto bowiem wypadek nietylko lokalny, ale mający ogólniejsze znaczenie. Arcyksiąże ten jest synem wielkiego księcia toskańskiego, a znanym jest w Galicyi, gdyż dłuższy czas stał garnizonem we Lwowie. Młody, bo liczący lat dwadzieścia trzy, bystrego pojęcia, niezależnego charakteru, umie on wzbudzać sympatye i nadzieje na przyszłość; odznaczył się zaś świetnemi egzaminami. Przed rokiem przeniesiono go ze Lwowa do Temeswaru, w skutku zatargów z głównodowodzącym hr. Neupergiem. Opowiadają z owych czasów, że hr. Neuperg, który ma być nader przykrym dla podwładnych, nie oszczędzał wcale młodego arcyksięcia podczas musztry i ćwiczeń; arcyksiąże zaś mścił się bardzo grzecznie, bo nader częstemi wizytami u jenerała. Wiadomem jest, że etykieta nakazuje, aby za przybyciem i odjazdem członka domu panującego, gospodarz witał go i żegnał u ostatnich stopni schodów; ile razy więc arcyksiąże dostał burę na mustrze, tyle razy śpieszył z wizytą do hr. Neuperga, i nie zwalniał go wcale z obowiązków gospodarza, a to aby zrównoważyć służbową surowość, przymusową grzecznością etykiety. Obecnie ukazała się, wprawdzie bezimienna, ale niewątpliwie pióra arcyksięcia broszura, krytykująca surowo, a nawet szydząca z komendy i całego zarządu artyl-

leryi w Austryi; broszura ta zawiera przytem ustęp treści politycznéj, w którym, mówiąc o jedynie możliwych dla monarchii przymierzach, autor dowodzi, że przymierze z państwem stworzonem przez księcia Bismarka jest niemożliwem, i że raczej należy Austryi gotować się do wojny z niem a szukać w innéj stronie sprzymierzeńca. Pojmiecie jakie wrażenie zrobiła ta broszura; jest ono ogólnem, i przez tydzień tym wypadkiem zajmowano się przeważnie w Wiedniu i na prowincyi. Grom po gromie uderzał z Berlina w autora broszury, hałas, krzyk, jednem słowem skandal był wielkim. Nareszcie rozporządzeniem cesarskiem przeniesiono arcyksięcia z artylleryi do pułku piechoty stojącego w Krakowie, lecz półurzędownie położono szczególny nacisk na to, że nie za ustęp polityczny w broszurze, ale za krytykę dowódców artylleryi, która w zbyt trudnem położeniu postawiła arcyksięcia względem przełożonych. O ile mi są znane stosunki wiedeńskie, to rzeczywiście ustęp polityczny nie mógł złego zrobić wrażenia na tym, który ostateczne miał w tej sprawie wypowiedzieć słowo, przeciwnie; aczkolwiek bardzo być może, że chwilowe względy dyplomatyczne a może i parlamentarne, zmusiły do pozornej względem autora niełaski. Uderzającem jest jednak, iż ta niełaska czy też kara, dosięgła dostojnego publicystę dopiero po ukazaniu się drugiej edycyi broszury. Będzie więc

Kraków miał arcyksięcia, i to potomka tylu bohaterów, faworyta zwycięzcy z pod Custozzy, młodego, intelligentnego, usposobienia niezależnego, a nie zginającego czoła przed ks. Bismarkiem! Są to na dzisiaj jak najlepsze warunki powodzenia tutaj. Zapewne gdy arcyksiążę tu przybędzie (gdyż obecnie przypatruje się na wodach hiszpańskich zapasom floty wszech Niemiec z Karlistami), zawiąże stosunki z towarzystwem, a to tem łatwiej, że już należy do niego, i bardzo mile jest tu widzianym jenerał ks. Windischgrätz, który także przeniesionym tu został z Pragi, dla tego że nie mógł się zgodzić z dzisiejszym ministrem wojny baronem Köllerem.

Wiadomość ta zeszła się z ostatniemi dniami karnawału, które były huczniejszemi od poprzednich. Nim wspomnę o balach tutejszych, nadmienić muszę o balu danym przez Jego Ekscellencyę pana ministra Ziemiałkowskiego w Wiedniu; znajdowali się na nim wszyscy ministrowie, deputowani galicyjscy i inne znane w stolicy osobistości; ten nieco mięszany świat miał się dobrze bawić, a ogólne zajęcie obudził mazur prowadzony przez pana Leona Chrzanowskiego i gospodynię. Bal taki leży niejako w atrybucyach pana ministra bez teki, a tem łatwiej przyszło mu go dać, że podobno obecnie nie zbyt jest zajęty, ani obarczony sprawami publicznemi. Przytaczają z tego powodu nieco cyniczne, ale dowcipne odezwa-

nie się ministra spraw wewnętrznych p. Lassera. Gdy się uskarżał na wydatki i trudności uregu-, łowania budżetu, ktoś poradził mu, jak zwykle oszczędności. „Ależ jakie?“ zapytał minister. — „Znieście np. posadę Ziemiałkowskiego, przecież on nic nie robi.“—Na co p. Lasser dał tę charakterystyczną odpowiedź, którą muszę przytoczyć po niemiecku, gdyż w tłómaczeniu zbyt wiele traci. „Das ist wahr, aber er macht die Polen *confuss*, und das ist doch zwölf Tausend Gulden werth“ [1]).

W ostatni poniedziałek odbył się tu w sali hotelu Saskiego publiczny bal „na korzyść budowy szpitala dla dzieci“. Gospodynią była opiekunka tego szpitala księżna Marcelina Czartoryska, słynna uczennica Chopina; bal ten świetnością przeszedł wszystkie tegoroczne, dziewięćdziesiąt par stanęło do mazura. Na drugi dzień kulik, o którym wspomniałem w przeszłym liście, ruszył z mieszkania ks. Lubeckich i najechał książąt Czartoryskich na *Szlaku*. Na czele wesela postępował tradycyonalny organista z „Krakowiaków i Górali;“ w pierwszéj zaś parze starostą (p. Bartels) ze starościną (księżna Drucka Lubecka), dalej państwo młodzi (księżniczka Jabłonowska i p. Wo-

[1]) „To prawda, ale jego obecność w ministeryum bałamuci delegacyę galicyjską, a to warte jest przecież dwanaście tysięcy reńskich rocznie.“

żniakowski), następnie drużbowie i inne pary. Posypały się jak z rogu obfitości śpiewane krakowiaki, wiersze i oracye; nie trudno było odgadnąć autorów Bartelsa i Anczyca, było więc tam wiele werwy, dowcipu, czucia i prawdy. Najznakomitszą była oracya wójta z Woli, willi należącej do ks. Czartoryskich, osobistości znanej w Krakowie, gdyż rozumem i zacnością wyszczególnia się między okolicznemi włościanami; lecz tym razem niewątpliwie przemowę napisał mu autor „Chłopów Arystokratów“. Nic nie brakło aby nadać kulikowi koloryt lokalny i właściwy, może nawet i to, że nie wszyscy wyuczyli się dobrze na pamięć oracyi i krakowiaków, i że kiedy jedni wołali polonez, drudzy upominali się o mazura! Gdy zagrzmiał mazur a ochocze pary uderzyły w podkówki, widok był uroczy, a zabawa ożywiona i pełna ognia; trwała ona jednak tylko do dwunastej, lecz rozpoczęła się była o szóstej, a jeszcze pozostaje przypuszczenie, że może zatrzymano o jaką godzinę zegary, lecz za to przypuszczenie nie biorę wcale odpowiedzialności. Na dowód że Kraków nie jest znów tak małem miastem, jak niektórzy twierdzą i jak sam w swej dumnej skromności czasem utrzymuje, dowiedzcie się, że w tym dniu i o tych samych godzinach było kilka innych zabaw prywatnych, był przepełniony teatr na „Gwałtu co się dzieje!“ Fredry, i była dość liczna reduta w sali teatralnej. Redut

takich było w tym roku kilkanaście; są to bale maskowe, które dawniej wielkiem cieszyły się powodzeniem, lecz które z każdym rokiem mniej są świetnemi, aczkolwiek zaprowadzono obecnie w ich urządzeniu korzystne zmiany, przeciw sobkowstwu i zbytniemu spospoliceniu tych zabaw.

Kulik zamknął tutejszy karnawał, a benefis pani Hoffman rozpoczął tutejszy post. Jestto uroczystość teatralna, która tu co rok, mniej więcej w ten sam sposób się powtarza z akompaniamentem różnego rodzaju owacyi dla najlepszej obecnie tutejszej artystki. Zwykle w dniu tym, a to najważniejsza, ukazuje się na scenie jakaś poważniejsza lub przynajmniéj o lepszym estetycznym zakroju, sztuka. W tym roku przedstawiono sztukę nie graną dotąd na żadnej scenie polskiej: „Begum Somru“, tragedyę w pięciu aktach Halma, przełożoną wierszem miarowym. Jak wam wiadomo, Halm jest pseudonimem br. Münch. v. Belinghausen, autora „Iskry“ (Wildfeuer), „Szermierza z Rawenny,“ „Syna puszczy“ i t. d. Urodził się on w Galicyi i dłuższy czas urzędował w Krakowie. „Begum Somru“ jest jednym z ostatnich jego utworów. Poeta w „Synu puszczy“, fantasta w „Wildfeuer“, patryota germański w „Szermierzu“, Halm w „Begum Somru“ stał się mężem politycznym i bystrym obserwatorem namiętności ludzkich, nie przestając przecież być poetą. Pod względem wyłącznie scenicznym, jestto zapewne najlepszy jego

utwór. Autor wprowadza nas tu w sam ogień walk Kompanii indyjskiej przy końcu ośmnastego stulecia (1782) z królestwami Indyi Wschodnich, a mianowicie przedstawia chwilę, w której słynny Sir Warren Hastings kieruje sprawami Kompanii i okala siecią intryg i zręcznych a głębszych podstępów królestwo Serdany. W Serdanie panuje Alida Begum (księżna) Somru, wdowa po europejczyku, znakomitym i dzielnym wojowniku, przezwanym przez Indyan Somru, a który przed kilku laty zginął w zasadzce zastawionej przez Maratów. Na dworze Begum Somru znajduje się rezydent Kompanii Dyce, którego Alida namiętnie pokochała jeszcze za życia męża, acz pozostała mu do końca wierną. Alida ma syna Nadira, chorowitego i mistycznie usposobionego; przysięgła że po Somru on tylko panować będzie, i pragnie zachować mu tron. Dyce zaś nagli ją, aby zawarła z nim związki małżeńskie, nibyto dla odsunięcia niebezpieczeństwa ze strony Anglików. Na tak przygotowanym gruncie działa wytrawny i przebiegły Hastings, aby dojść do jedynego celu — zdobycia Serdany dla Kompanii. Trzy pierwsze akta poświęcone są tej politycznej intrydze, która zwolna, lecz misternie się rozwija; odrysowuje stę tu wybornie postać Hastingsa, jako uosobienie egoizmu, bezwzględności, a zarazem rozumu i zręczności politycznej, a szczególniej polityki specyficznie angielskiej. Hastings przecież

nie jest tu tylko ideą, to człowiek, to osobistość, to charakter oryginalny i samoistny.

Jedną w tej części z najudatniejszych scen jest ta, w której Hastings ułożywszy swój plan i ukończywszy zręczną i szatańską intrygę, mówi, że teraz spocząć może i wyjmuje z kieszeni Horacyusza, którego właśnie odę do Deliusa „Aequam memento rebus in arduis servare mentem“ tłómaczy; i najspokojniej zasiada pod cieniem palm do dalszego przekładu. Hastings gra jak prawdziwy wirtuoz na namiętnościach, i nieco słabych charakterach biednych Indyan. W pewnej chwili potrzebnem mu jest do jego planów usunięcie Dycego, o którego zamiarach wie, a który podwójną wciąż odgrywa rolę. Dyce, to znakomicie nakreślony typ awanturnika z XVIII wieku, ale awanturnika bez czci i wiary, człowieka miękkiego, słabego, miotanego żądzami, nie umiejącego nawet dążyć konsekwentnie i wytrwale do swojego celu; słowem, jest to charakter bez charakteru. Hastings o wszystkiem jest dobrze zawiadomiony, zatem wie co się dzieje na dworze Begum Somru, wie o zamiarze Dycego zaślubienia księżny, lecz zarazem dowiaduje się, że Dyce nie zupełnie jej jest wiernym, i że kocha się w Syrnie, jej wychowanicy. Na tem więc, jak prawdziwy artysta opiera swoją polityczną intrygę; na zazdrości kobiecej; i dobrze obrachował swój plan, bo szlachetna Alida jest przedewszystkiem kobietą, i to kobietą wschodnią,

namiętną. Za pomocą Komorana, fanatyka indyjskiego, który nienawidzi Dycego, Hastings daje Alidzie namacalne dowody niewierności rezydenta. Tu się zaczyna czwarty akt i prawdziwa tragedya, silna, wzruszająca, czasem nawet wspaniała. Zazdrość pożera Alidę, i oddycha ona tylko jednem uczuciem — zemstą; chce się zemścić strasznie, okrutnie, chce zakopać żywcem w dole obok altany, w której ujrzała Syrnę w objęciach Dycego, parę kochanków. Dyce jednak jest rezydentem angielskim, nie może więc bez ściągnięcia strasznego na kraj odwetu karać go; ale ten cios złamał już zupełnie wrażliwą jej naturę, i pozostawił w jej sercu tylko uczucie zemsty; przekonała się zarazem, że jej syn nie zdolny do panowania, a poddani do walki, którą chciała wpierw prowadzić; tym więc zwrotem nagłym a tak zwykłym u kobiet, szczególniej namiętnych, postanawia oddać Serdan w ręce Hastingsa pod pewnemi warunkami, przedewszystkiem żeby mogła rozporządzać życiem Dycego, i żeby trzy dni jeszcze panowała dla wydania na niego i Syrnę publicznego wyroku. Tu następuje piąty i najpiękniejszy akt tragedyi. Alida z całą wściekłością zranionej lwicy wydaje publicznie wyrok zakopania w ziemi Dycego i Syrny; straże odprowadzają ich; w tem słychać uderzenie bębna i wchodzi wezwany przez Begum Hastings, Dyce wyrywa się straży i błaga Hastingsa o ratunek, lecz

on z niczem niezachwianą zimną krwią a nawet z szyderstwem odsyła go do Begum; Dyce widzi się zgubionym, lecz raz jeszcze probuje rozczulić Alidę, i aby przekonać ją o swej gorącej miłości, wyznaje, że on to namówił Maratów do morderstwa jej męża. Cel chybiony! Alida zamiast się rozczulić, przejęta jest zgrozą na widok tylu zbrodni, i na myśl że pośrednio z jej przyczyny mąż jej zginął, i tu następuje piękne, nadzwyczaj bohaterskie, a najmniej spodziewane rozwiązanie. Alida mówi: „Myślałam że przyszłam tu sądzić dwoje winnych, a jest ich tu troje“ i Syrnie przebacza, Dycego oddaje w ręce Hastingsa, aby on go ukarał, samą zaś siebie powołuje przed własny trybunał, i przebija się sztyletem. Hastings widząc to mówi: „tego się nie spodziewałem“, co dowodzi, że wszystko inne przewidział i obrachował, a co jest najwięcej charakterystycznem, zbliża się do leżącej na ziemi Alidy i mówi: „umarła! a teraz niech zatkną pełną chwały chorągiew Anglii na szczytach Serdany“ — o tem ani na chwilę nie zapomina. Cel dopięty. W utworze tym, którego tylko szkic podałem, jest wiele piękności i efektownych scen. Trzy pierwsze akta są nieco za długie i w ogóle za wiele i niepotrzebnie w nich mówią, przecież dla znawców mają one zalety i dużo politycznej finezyi; dwa ostatnie są dramatyczne, a może nawet jest w nich zbyt wielka obfitość effektów. Znako-

micie jest przedstawionem zetknięcie się cywilizacyi europejskiej ze wschodnią, charakterów angielskich z nieco miękkiemi charakterami Indyan, zwycięzców ze społeczeństwem rozpadającem się i upadającem. Siła i rozum są po stronie angielskiej, lecz Hastings nie przebiera w środkach, aczkolwiek w imię cywilizacyi i postępu działa; położenie to cechują dobrze słowa Alidy do Komorana: „Ty mnie nie zdradziłeś, bo ty nie Anglik, nie gentleman.“ Rola Begum Somru, — jest jedną z najwięcej bohaterskich ról, jakie znam, — bohaterstwo do końca utrzymane, a przecież są w niej i ułomności kobiece, a więc jest prawda; jedyną jej wadą, że gdzieniegdzie Alida jest nie Indyanką ale Niemką; wada to, której nie umieją się ustrzedz najlepsi pisarze dramatyczni niemieccy, tak Halm jak i Grillparzer, gdy przedstawiają czy to starożytną, czy wschodnią kobietę. Alida jest Niemką, kiedy sentymentalnie nazywa Dycego marzycielem, lub gdy spostrzegłszy altanę, w której pierwszy raz zeszła się z nim, rozczula się i tkliwe wygłasza frazesa; ale są chwile, w których jest bengalską tygrysicą, wtedy szczególniej, gdy wre w niej zazdrość i żądza zemsty. Rolę tę odegrała pani Hoffmann, artystka utalentowana i oryginalna; talent p. Hoffmann jest samorodny, góruje w nim prawda i naturalność, nie wolnym on jest przecież od niektórych wad; czasem gra tej artystki jest nieco szorstka, to znów

niekiedy nierówna, w tragedyi nie zawsze dociąga stronę tragiczną, lecz gra ta jest zawsze myślącą i ma wartość artystyczną, a główną jej zaletą, że nigdy nie wpada w przesadę. W *Begum Somru* artystka grała pierwsze akta nieco chłodno, i tu także może nie zawsze nuta tragiczna była wzięta dość wysoko; za to cały czwarty akt odegranym był z siłą, z przejęciem, nic mu zarzucić nie można. Dobrą była chwila, w której Alida po raz pierwszy domyśla się, że Dyce ją zdradza, obawa i boleść zostały właściwie oddane. Z trudności piątego aktu wyszła pani Hoffmann zwycięzko. Po niej najlepszym był pan Szymański w roli Komorana, prawdziwym był Indyaninem i fanatykiem, a charakter utrzymał konsekwentnie do końca. Pan Benda przepyszną rolę Hastingsa odegrał z miarą, a nawet finezyą artystyczną, dużo rozumu, wiele ironii, nieco cynizmu politycznego. Inne role w przedstawieniu stanęły nierównie niżej od tych trzech. Całość szła poprawnie, nie rażąco. Ujrzeliśmy nowe, wcale ładne dekoracye, czem nie zwykł tutejszy teatrzyk psuć publiczności; że jednak wszędzie i zawsze są złośliwi, więc i tym razem zapisali sobie dla pamięci, że właśnie do tego przedstawienia, dyrekcya sprawiła wbrew zwyczajowi tyle nowych dekoracyi.

Proces Offenheima ma się ku końcowi; nie małe zrobiło wrażenie, że prokurator sam cofnął kilka punktów oskarżenia.

Dowiaduję się w tej chwili o fatalnym a barbarzyńskim i dzikim wypadku; jakiś psotnik czy zazdrośnik, czy też kretyn, poniszczył scyzorykiem kilka obrazów na wystawie Towarzystwa sztuk pięknych. Pojmujecie, jaki powstał popłoch między artystami. Matejko, który przecież dziś jest główną osobistością w Towarzystwie, chciał w pierwszej chwili wycofać swoje obrazy; jednak odstąpił od tej myśli, a obmyślono — co oczywiście jest rozsądniejszem — zaradcze na przyszłość środki, które i przedtem nie byłyby zaszkodziły, postawiono baryerki około obrazów, i dodano stróżów bezpieczeństwa. Padły podobno ofiarą: jakiś obraz Gersona, inny Kotsisa, i Kossaka akwarella. Dotąd wypadek ten nie wyjaśniony i niezrozumiały. A kiedy mowa o obrazach, wspomnę, że bawi tu od pewnego czasu pan Andrzej Grabowski, zamieszkujący zwykle Lwów; jest to portrecista, który w ostatnich latach znaczące zrobił postępy. Dawniéj już wymalował on portret swej matki, prawdziwej artystycznej wartości, lecz następnie przez dłuższy czas nic lepszego nie stworzył. Teraz talent jego zdaje się na nowo obudzać, a łączy się harmonijnie z sumienną pracą. Wezwany przez Radę miejską tutejszą do zrobienia portretu p. Dietla, który na wieczną pamtątkę ma być zawieszony w sali radnej, wykończył już głowę znakomitego uczonego, a głowa ta jest bardzo piękną; inteligencya, rozum, błyskają

z tych oczów, z tego wspaniałego jowiszowego czoła, w wyrazie jest pewne poczucie własnej wyższości, nie obce ex-prezydentowi. Jednocześnie p. Grabowski rozpoczął dwa inne portrety, które już dziś wiele obiecują: kasztelana Wężyka i artystki tutejszej pani Hoffmann; wykończył zaś za tej bytności w Krakowie portret Waligóry, owego wójta z Woli, który na kuligu tak wymownie przemawiał. P. Grabowski umie w drugiej części swojego zawodu nadawać myśl i duszę swoim portretom, umie cechować indywidualność osoby, to już bardzo wiele, teraz idzie jeszcze o wydoskonalenie techniki i o dobry smak.

Dwie komissye, artystyczna i techniczna, pracują nad planem odnowienia Sukiennic p. Pryliñskiego. Aczkolwiek odbudowanie Sukiennic przeszło już w przysłowie, są przecież ludzie, którzy tyle mają wiary w energię prezydenta Zyblikiewicza, iż trzymają zakłady, że zostaną odnowionemi za pierwszego jego sześciolecia. Odbudowanie Sukiennic w krakowie i ostateczne urządzenie sprawy propinacyjnej w sejmie lwowskim, byłyby to prawdziwe na ziemi galicyjskiej cuda.

Jutro p. Matejko wystawia nowy obraz *Wernyhora*.

III.

Kraków, 27 marca 1875.

W skutek nieobecności mojéj w Krakowie spóźniłem się z przesłaniem wam zwykłego sprawozdania o życiu galicyjskiem, a tu wypadków i materyałów nagromadziło się tyle, że nie wiem jak i gdzie pomieścić wszystko, o czém zamilczyć nie mogę i czy zdołają to wszystko przeczytać wasi czytelnicy.

Druga połowa lutego, przepełniona była zjazdami i naradami we Lwowie. Gdyby szło o zapisanie tego, co na nich uradzono i zrobiono, nie wieleby to zajęło miejsca, bo wiele mówiono i radzono, ale nic nie uradzono, i nic nie zrobiono. Zwykła to kolėj rzeczy tutaj. Jednak niepodobna o tych zjazdach i naradach zamilczeć, gdyż dają one wierny, aż do realizmu posunięty obraz tutejszego społeczeństwa, tutejszych stosunków, a zarazem rzucają światło na grę tak nazwanych tutejszych stronnictw, a rzeczywiście tutejszych osobistości.

Trzy więc zebrania odbyły się z rzędu we Lwowie: Towarzystwa kredytowego ziemskiego, Marszałków rad powiatowych (w sprawie drogowéj) i Towarzystwa rolniczego galicyjskiego. — Pierwsze tem tylko się odznaczyło, iż chciano koniecznie na niem ukarać dwóch świadków w spra-

wie Offenheima, panów Thórznickiego i Pietruskiego; partya zaś Sapiehów, oczywiście wszelkiemi siłami sprzeciwiała się temu. Jak zwykle chciano ukarać najmniej winnych, jeżeli nie zupełnie niewinnych panów: Oktawa Pietruskiego i Thórznickiego, ludzi światłych i pracowitych, którzy tylko epizodycznie wmięszani zostali w proces Offenheima, i stawali w nim jako niezaprzysiężni świadkowie, a za odstąpienie od koncessyj kolei rumuńskiej otrzymali od consortium każdy po dziesięć tysięcy reńskich. Karą dla nich miało być wykluczenie ich z dyrekcyi Towarzystwa kredytowego. Otóż jak wzięto się do tego. Zdolnego i jak najlepszéj używającego sławy p. Tchórznickiego nie wybrano powtórnie, a jednym głosem, jak rzeczpospolita francuzka, utrzymał się na dawném stanowisku, p. Pietruski członek Wydziału krajowego, dawny sędzia, mąż światły i wielce w sprawach krajowych użyteczny. Słowem, zrobiono jakąś parodję sprawiedliwości obywatelskiéj, zdaniem mojém zbytecznéj, a niezawodnie, tak jak wypadła, arcyśmiesznéj. Zjazd marszałków w sprawie drogowéj jeszcze mniéj wydał owoców. Sprawa drogowa należy do tych, których załatwienie zależy oddawna tylko od kraju i sejmu; stanowi ona jedno z ogniw tych zbawiennych reform, których wprowadzeniu, zaślepienie i egoizm stawiają ciągłe a nieprzeparte przeszkody. Aby ją należycie załatwić, trzeba koniecznie żeby dwory ponio-

sły niejakie ofiary, włościanie mniéj jak dotychczas byli obciążeni; na to większość sejmowa nigdy dotąd zdobyć się nie mogła, równie jak na wykupno propinacyj i uchwalenie rozumnéj ustawy gminnéj. Obecnie zjechali się marszałkowie rad powiatowych, bardzo szumnie i licznie w celu wygotowania projektu nowéj ustawy drogowéj dla sejmu i po tygodniowych obradach nic zgoła nie uchwaliwszy, rozjechali się z wielką radością wszystkich demagogów, centralistów, Niemców i różnych złowrogich żywiołów. Ten sam potworek demokracyi szlacheckiéj, o którym pisałem dawniéj, a który tak buńczucznie i swawolnie wystąpił w sprawie Porcyj, stawił tu nieprzeparte zapory wszelkiéj reformie. To niedołęztwo, tę niemoc w przeprowadzeniu możliwych, użytecznych a koniecznych reform, połączone z hałaśliwem a bezowocném obradowaniem nad niemi, szyderczo piętnuje ostatni zeszyt „Przeglądu“, w słowach charakteryzujących tutejsze położenie. „Wiadomém jest, mówi on, że Chińczycy nie lubią ani zmian ani innowacyj, że słowem nic nie robią i wszystko u nich dzieje się po dawnemu; ale to pewna, że przynajmniéj umieją nic nie robić, czego nie można powiedzieć o wszystkich europejskich społeczeństwach, a w tém też dopatrzyć się można pewnéj ich wyższości, którą zbyt często i nierozważnie lekceważymy. W Chinach z małemi wyjątkami drogi znajdują się w opłakanym stanie, rolni-

ctwo z wyjątkiem kultury herbaty, nader nizko stoi, lecz przynajmniéj tam mandaryni nie zjeżdżają się z odległych stron cesarstwa na to, aby całe tygodnie radzić nad temi sprawami i nic nie uradzić; słowem, Chińczycy umieją nic nie robić i już dla tego wielce pożałowania godnym jest brak dokładnych w Europie o nich wiadomości, bo przy dokładniejszych i częstszych, nie jedno nasze społeczeństwo, które także nic nie robi, nauczyłoby się przynajmniéj, dobrze nic nierobić!“

Nareszcie zebrało się Towarzystwo rolnicze galicyjskie, a to nietylko że nic dodatniego nie wydało, ale przeciwnie ujemne tylko po sobie skutki zostawiło. Jedyną bowiem sprawę którą z zapałem podniosło i z energią przeprowadziło, była od miesiąca już uśpiona nieszczęsna sprawa Porcyj, a raczéj artykułu hr. Tarnowskiego o Porcyach. Bez dysskussyj i jednogłośnie orzekło ono, że odpiera uczynione w tym artykule zarzuty, jako niezgodne z prawdą. Znowu więc wyszła ta kwestya na wierzch i jak przewidywałem, zakończyła się wyrzuceniem z życia publicznego galicyjskiego jednego z najznakomitszych ludzi tutejszych hr. Stanisława Tarnowskiego, który w odpowiedzi na ową uchwałę złożył mandat poselski. Do tego więc smutnego rezultatu doprowadziła ostatecznie owa agitacya, któréj pretekstem był niefortunny artykuł hr. Tarnowskiego o Porcjach, lecz któréj rzeczywiste przyczyny i cele były głębszemi i daléj

sięgającemi. Z tego powodu, agitacya nie byłaby przybrała tych rozmiarów, i nie byłaby tak długo trwała, gdyby nie była z wysoka podniecana i kierowana, i tu właśnie odsłaniają się śmieszne, to znów tragi-komiczne strony życia galicyjskiego. Jak już dawniéj nadmieniłem, do agitacyi przeciw hr. Tarnowskiemu przyczyniły się dwie znaczące osoby: namiestnik hr. Gołuchowski i ks. Adam Sapieha, przyczynili się obydwaj, każdy z innych powodów i każdy w innym celu. Dwie te osobistości wprost sobie przeciwne i nie lubiące się wzajemnie, mają to z sobą wspólnego, iż ich zawód publiczny odznacza się w ostatecznych skutkach jałowością, a bodaj czy temu nie należy częściowo przypisać zjałowienia gruntu galicyjskiego. Długie i kilkokrotne rządy hr. Gołuchowskiego, w przyszłości nic po sobie trwałego, godnego pamięci nie zostawią; hr. Gołuchowski starał się uczciwie złemu zaradzać; ale co dodatniego, żywotnego, mającego przyszłość lub znaczenie dla kraju, przytoczyć można za jego rządów lub z jego inicyatywy? Ks. Adam Sapieha dość już znaczył w życiu publicznem, dość agitował się i agitował innemi a pytam: co zrobił, co stworzył, jaką po sobie zostawiłby pamiątkę, gdyby dziś zeszedł z widowni publicznéj? Jaka instytucya zawdzięcza mu byt lub istnienie? Jaka sprawa lub kwestya powodzenie lub zwycięztwo? Żadna, a nawet działanie jego było sporadycznie deprymującem, roz-

kładowem, a stało się nieraz powodem lub przyczyniło się do niejednéj katastrofy, często waśniło, kłóciło, rozprzężało, czego niemożna powiedzieć o czynach hr. Gołuchowskiego. Owe ujemne skutki działalności ks. Adama Sapiehy są logicznem i nieuniknionem następstwem czynności opartéj wyłącznie na agitacyi. Przyczyna rzeczywista nijakich lub ujemnych skutków, działania publicznego tych dwóch ludzi tkwi w ich charakterach. Hr. Gołuchowski człowiek bystry, praktyczny, bardzo praktyczny, który dotknął się nieco większych spraw, a który świetną i dość pospieszną zrobił karjerę, jest niezaprzeczenie w swoim rodzaju znakomitością, dobry administrator, urzędnik prawy i sprężysty, nawet despotyczny, polityk niezbyt daleko widzący, ale widzący jasno i dość spokojnie zapatrujący się na rzeczy, jest on jednak przedewszystkiem biurokratą i oschłość jeżeli nie sztywność biurokratyczna znamionuje całe jego działanie publiczne, czuć zawsze od niego zapach papieru biurowego. Jest to typ szlachcica biurokraty! Miłość własna i próżność wiele małostek w charakterze, a przedewszystkiem wstręt do wszystkiego, cokolwiek wyższe w jakimkolwiek kierunku i gdziekolwiek. Antypatya instynktowa do ludzi i usposobień niezależnych. Poniżyć, upokorzyć, zdeptać nawet jeżeli się da, wszystko co nad zwykły poziom wyrasta, było to ciągłém zadaniem hr. Gołuchowskiego, ztąd unikanie lub odpychanie ludzi znakomitych, a ota-

czanie się miernościami, ztąd pomiatanie wszystkiem, co nie mieściło się w sferze jego pojęć, ztąd oczywiście jałowość jego rządów. — Dawniéj za pierwszego namiestnictwa, te słabe strony jego charakteru, odsłaniały się w sposób nader śmieszny, ciągłą cichą lub głośną wojną z wszystkiemi niemal osobistościami, należącemi do wyższych rodów; tę podjazdową wojnę dobrze znaną prowadził on rozmaitemi sposobami i sposobikami (bez intencyj nawet udawania kardynała Richeleu) począwszy od niegrzeczności na balach w pałacu namiestnikowskiem, aż do ważniejszych spraw jak to miało miejsce z ks. Jerzym Lubomirskim, w kwestyi zakładu Osolińskich. Hr. Gołuchowski nie mógł nigdy przebaczyć tym panom świetnych przodków i historycznych imion, aczkolwiek ci, którzy go znają, twierdzą, iż sam bardzo lubi rozprawiać o swoich antenatach o których opowiadając; musi się oczywiście zbliżać do *Panie Kochanku*. Małostkowość ta na nie jedną naraziła go śmieszność, a że nietylko z wielkiemi imionami, ale także z wszelkiego rodzaju znakomitościami, zwykle w ten sam sposób postępował, nie mógł nigdy nic dodatniego stworzyć i nic téż nie rozkwitło pod promieniami tego galicyjskiego słońca. Butę szlachecką, do tego stopnia posuwał, że nieraz wyrażał się w sposób lekceważący i drwiący o dostojnej osobie, czem znów znacznie osłabił swoje stanowisko w Wiedniu

i w opinii ludzi dobrego smaku. — A przecież, on jeden możliwym był i jest dotąd jako namiestnik, bo lepszego w kraju niepodobna znaleść.

Ks. Adam Sapieha to typ przeniesiony z innych czasów w teraźniejsze, typ, który kilka krotnie odnaleźć można w dziejach starożytnego jego rodu; to magnat-demagog, ambitny, namiętny, nie przebierający w środkach politycznych, a przecież bez dobrze określonego celu; natura burzliwa, rodzaj trybuna na małą skalę, mało wykształcony lecz bystry, a przedewszystkiem bardzo wymowny, mający wymowę i wszystkie inne warunki potrzebne, aby rej wodzić na sejmikach, agitator wyborny, umie on podjudzać, obałamucać i porywać za sobą szlachtę, a potem na osobności wyśmiać i wydrwić ją; igra frazesami demokratycznemi, lub chwilowo popularnemi a w duchu i w rzeczywistości jest on możnowładzcą w całém tego słowa znaczeniu; ma w sobie dla wielu siłę atrakcyjną; nazwany tutaj księciem czerwonym, zdaniem mojem nie jest ani czerwonym, ani białym, ale zawsze, wszędzie i przedewszystkiem jest on ks. Adamem Sapiehą. Przy tem wszystkiem, pewna dobrze wyrobiona skłonność do polityki familijnej, wielka śmiałość niezważania na nikogo a nawet na nic, a wszystko to ostatecznie bez pożytku dla nikogo, a nawet dla siebie samego, słowem, jałowość zupełna w skutkach. Być może,

że na szerszém polu, osobistość ta odegrałaby błyszczącą rolę; na tutejszem ciasnem, jest ona co najmniéj bezużyteczną, a sam książe nieraz widocznie traktuje sprawy publiczne jako sport. — Ma on przecież tę wyższość nad wielu innemi, że kraj swój miłuje, siedzi w niem, chce dla niego pracować i ma często dobre chęci, lecz daje się porywać burzliwej i katylinarnej naturze swej. — Aby zrozumieć zachowanie się tych dwóch panów w sprawie Porcyj i jego dalsze następstwa, które każdy dzień przynosi, trzeba jeszcze słowo powiedzieć o tak nazwanych tu Stańczykach, która to nazwa pochodzi od słynnego paszkwilu *Teka Stańczyka*.

Stańczyki tutejsi to jakby skrajna prawica. — Rzeczywistemi Stańczykami nazwać można tylko redaktorów „Przeglądu“ i najbliższych a nielicznych ich przyjaciół politycznych. Otóż w tém ciasném kole, aczkolwiek każdy ze Stańczyków ma niezaprzeczenie swoją indywidualność, przecież w głównych rysach życia publicznego są oni kubek w kubek do siebie podobni. Zdolnościami, pracą w różnych kierunkach, bystrością w sprawach publicznych, odwagą cywilną, i niezależnemi stanowiskami, zajmują dziś ważne pod wielu względami miejsce w tutejszem społeczeństwie. Było to już dostateczném aby obudzić niechęć, jeżeli nie nienawiść. Do zalet panów Stańczyków dodać wypada i nie małe wady. Główną, zdaniem mojem była ta, iż ma-

jąc wiele rozumu, nie umieli nigdy obchodzić się z rozumem społeczeństwa w którém żyją, a może zgoła nigdzie odnaleźć go nie mogli; dość, że zbyt rażąco, dobitnie i apodyktycznie okazywali całą swoją wyższość, jeżeli już nie z zarozumiałością, to przecież z tą dumą, która odstręcza ludzi i mnoży nieprzyjaciół, szczególniéj wśród rzeszy mierności. Zbyt czuć było w całem ich postępowaniu, w tem co pisali, mianowicie w artykułach hr. Tarnowskiego pogardę jeżeli nie dla wszystkich, to dla wielu; ztąd także pochodziła pewna przesada w tem co pisali, przesada która do kulminacyjnego doszła punktu w artykule o Porcjach. Dodajmy do tego dziwnie drażniący sposób pisania p. Kozmiana, a będziemy mieli wierny i żywy obraz położenia.

Czytano artykuły tych panów i robiły one wrażenie, bo były z talentem i siłą pisane, ale ich nie lubiano już dla tego, że nieraz ich się obawiano. Potrzeba więc było tylko iskierki, aby pożar wybuchł; tem więcéj, że ci panowie nielitościwie obchodzili się z ochydnem wprawdzie ale hałaśliwem dziennikarstwem tutejszem, a mianowicie lwowskiem. Iskierką stał się artykuł o Porcjach, a tę iskierkę rozdmuchali i kilkakrotnie rozdmuchiwali nie sympatyzujące z niemi osobistości. Jeżeli artykuł był niezgrabnością, błędem lekkomyślnością, to owo rozdmuchiwanie było, wobec kraju czemś gorszem. Ale powody do tego

były rozliczne; Stańczyki z natury rzeczy, z przekonań, któremi się popisywali, nie mogli sympatyzować nigdy z księciem czerwonym; to też nie oszczędzali go i walczyli z nim, nie biorąc go niby nigdy na seryo. Hr. Gołuchowskiego przeciwnie, bez zapału, ale zawsze popierali, przecież mu nie schlebiali ani mu nizko się kłaniali; a nawet nieraz wytykali mu, że on dla zdobycia popularności, czasem zbyt nizko kłaniał się tak zwanéj, tutejszej opinii publicznej. Czegoś podobnego nigdy się nie przebacza i o tem Stańczyki zbyt lekkomyślnie zapomnieli. Przy tem hr. Gołuchowski nie bardzo rad był Stańczykom, już dla tego, że byli niezależnemi i z wielu względów wyższemi, a hr. Tarnowskiemu podobno przebaczyć nie mógł, nielitościwego wyśmiania hrabiów galicyjskich w artykule „Królowa opinia“. *Inde irae;* ztąd w części dla wielu niezrozumiała a w dziejach bezprzykładna agitacya z powodu artykułu dziennikarskiego, który dość było zbić, wykazując jego przesadę.

W ostatnich chwilach, do których doszliśmy w naszem opowiadaniu, podniesiono znowu sprawę *Porcyi* i do ostateczności doprowadzono ją na zebraniu Towarzystwa rolniczego. Oprócz wyżej przytoczonych, były dwa do tego przypadkowe powody, jeden który, jeżeli nie pochwalić, to przynajmniéj zrozumieć można, odwrócenie uwagi od procesu Offenheima — drugi wybór na prezesa To-

warzystwa rolniczego galicyjskiego ks. Adama Sapiehy. Jak wyborny jezdziec, książę dosiadł rumaka nazwanego *Porcye* i na niem wyjechał na prezesostwo. — Cel odwrócenia uwagi i zagłuszenia sprawy Offenhaima, chybiony został zupełnie, i tu powiedzieć można, że człowiek strzela a Bóg kule nosi. Uchwała Towarzystwa rolniczego dała sposobność hr. Tarnowskiemu złożenia mandatu poselskiego do sejmu, a uczynił on to w liście do wyborców obwodu Rzeszowskiego, doniosłym, pełnym godności, zręcznym.

To złożenie mandatu było ze strony Stańczyków rozumnym czynem politycznym i nie małą, a nie przyjemną niespodzianką dla całej agitacyi, której odbierało racyą bytu. Krok ten natychmiast też skutkował, bo opartym był na psychologicznej znajomości społeczeństwa, którego współczucie i sympatya przechodzą zawsze na stronę tego, który z jakiegokolwiek schodzi stanowiska. Złożenie mandatu przez hr. Tarnowskiego, ostatecznie w skutku błahej sprawy, w dziwnem świetle postawiło marszałka sejmu ks. Leona Sapiehę, który acz wmięszany w sprawę Offenheima, nie myślał o składaniu laski marszałkowskiej. Skorzystały z tego natychmiast dzienniki nieprzyjazne księciu i w jaskrawych kolorach przedstawiły różnicę postępowania posła Tarnowskiego i marszałka Sapiehy; położenie tego ostatniego z każdym dniem stawało się niemożliwem i jak już wiecie, sytua-

cya ta naprężona, rozwiązaną została przyjęciem przez cesarza dawniej podanej, jak się wyraziła „Wiener Zeitung“ dymissyi księcia i nominacyą hrabiego Alfreda Potockiego marszałkiem sejmowym. Stańczyki usuwając się w tej chwili od wszelkiego działania politycznego, (a zamiar ten z ich strony jest widocznym), okazali swoją wyższość i nie małą zręczność, żeby nie powiedzieć przebiegłość. — Być może także, a tego powinszować by im tylko można, że ci panowie przekonali się nareszcie, że zbyt wielką ważność przywiązywali do polityki galicyjskiej, i że błędem byłoby upierać się przy tem, bądź co bądź, sztucznem przerzuceniu punktu ciężkości. — W każdym razie widocznem jest, że się cofnęli i zaprzestali kłaść zbytni nacisk na doniosłość tak zwanéj polityki galicyjskiéj, oni, którzy pierwszemi i najgorliwszemi byli jej augurami. Panowie ci zbyt znaczące zajmują stanowiska w tutejszem społeczeństwie, zbyt są czynnemi w różnych kierunkach umysłowych i innych, zbyt są niezależnemi, aby przestali znaczyć i ważyć, ale prawdopodobnie, a wnosić to można z listu hr. Tarnowskiego do wyborców, i z pobocznych objawów, będą oni czynnemi na innem polu i w innym kierunku, a opuszczą niewdzięczny jałowy grunt wielkiej polityki galicyjskiej, pozostawiając jego uprawę tym, którzy go zjałowili. Taki więc ostatecznie miała skutek ta bezprzykładna a bezrozumna agi-

tacya; oto wyrzuciła z życia publicznego tutejszego zdolnych i niezależnych ludzi, o jakich zbyt trudno; ludzi — których zapatrywań można było nie podzielać, lecz których wartość polityczna, społeczna i umysłowa, zaprzeczyć się nie da; i wyrzuciło z sejmu jednego z najznakomitszych posłów, który zacnością i zdolnościami niepospolite zajmował tam miejsce, a którego, mianowicie w komissyi edukacyjnej, nie łatwo będzie zastąpić.

Mniej może w następstwach ważnym, ale także nie miłym faktem jest dymissya ks. Leona Sapiehy, jako marszałka sejmu. Nie jest to dla nikogo tajemnicą, iż nastąpiła ona w skutku processu Offenheima. Czy słusznie? Śmiem wątpić. Ks. Leon Sapieha jest mężem, który nie małe położył tu zasługi, który wiele stworzył i całe życie dla dobra ogółu pracował, a nie raz dowiódł on, iż są rzeczy które wyżej ceni od pieniędzy i to nie takich pieniędzy, jak te o które szło w sprawie Offenheima. Posądzać go więc nie należy o złą wiarę, o chciwość, lub coś gorszego w tej sprawie. Książę tem tylko zgrzeszył, że się w ogóle takiemi posługiwał ludźmi jak Herz i Offenheim, że zbyt im wierzył, że biorąc zbyt wiele na swoje barki, nie umiał i nie mógł ich dopilnować a tem samem, w danej chwili musiał z niemi dzielić odpowiedzialność, przynajmniej w obec opinii publicznej i ponieść nierównie sroższą karę, bo co dla Offenheima jest niczem

dla ks. Leona Sapiehy musi być bolesnem. Były to więc grzechy, które ważne pociągnęły za sobą następstwa, ale które przeszłości księcia zatrzeć nie powinny i nie mogą. Ale niestety — jak już dawniej nadmieniłem — jak we wszystkiem tutaj, tak w sprawie Offenheima grały główną rolę osobistości i osobiste nienawiści i namiętności przeniesione z bruku lwowskiego na wiedeński. Dalej zaś *Cherhez la femme*. Zdziwicie się zapewne gdy wam powiem, że pierwszą przyczyną processu Offenheima była kobieta. Jest w Wiedniu pewna pani Glaser, której wdzięki, między innemi oczarowały także pana ministra Banhansa. Kiedy pan Offenheim był jeszcze u szczytu powodzenia, pan Banhans prosił go razu jednego o zaproszenie dla tej pani na bal, który wydawał szczęśliwy dyrektor kolei czerniowieckiéj. Pojmiecie łatwo, jak takiemu Offenheimowi uśmiechało się módz odmówić komuś zaproszenia, i to komuś protegowanemu przez ministra, zaprosił więc na swój bal pana Glasera, lecz nie zaprosił pani, i ztąd, jeżeli nie proces, to pierwsze nieporozumienie między dziś uniewinnionym przez sąd przysięgłych exdyrektorem kolei czerniowieckiej, a niemal wygnanym ministrem handlu. Usposobienie dworu było wprost przeciwne wyrokowi sądu, a objawiło się ono dość wyraźnie, odznaczeniem koroną żelazną hr. Lamazan i barona Wittmanna, prokuratora i prezesa sądu w pro-

cessie Offenheima, — a nareszcie zawiadomieniem p. Giskry, aby więcej nie ukazywał się na dworze. Zresztą — osobiste przekonania Cesarza w tych rzeczach, od dawna zbyt są znane; a wstręt jego do gry giełdowej i wszelkiego rodzaju nieczystych spekulacyi, tak powszechnie wiadomy, że nikogo powyższe zdarzenia po processie nie zadziwiły tutaj. P. Giskra chciał się ratować puszczeniem w obieg wieści, że nie tylko on, ale także książę Sapieha, ks. Jabłonowski i hr. Borkowski dostali zawiadomienie o zamknięciu przed niemi podwoi *Burgu*, lecz wieść ta zaraz na drugi dzień okazała się być mylną, a p. Giskra dostał owo upokarzające zawiadomienie, głównie za kłamliwe zasłonienie się podczas procesu osobą Naj. Pana, a następnie za samowolne wykreślenie, z zapisków stenograficznych izby, pewnej cyfry odnoszącej się do sprawy Offenheima. Tak więc smutno i płasko zakończył swoją karyerę, ten niegdyś wielki trybun, który nawet gdy był ministrem, miał zawsze w sobie coś kelnera.

Na zakończenie tej sprawy dowiaduję się, że pan Offenheim, który obecnie bawi w Neapolu, wynosi się z Austryi i osiada w Londynie. Pokazuje się, że na szczęście, wyrok sądu przysięgłych nie całkiem mu wystarcza.

Powód ustąpienia ks. Leona Sapiehy z krzesła marszałkowskiego, jest smutny i mojem zdaniem nie słuszny.

Nominacya hr. Alfreda Potockiego marszałkiem nikogo nie gniewa, a to najlepiej charakteryzuje jego osobistość. Zdaje się że przyjął on laskę marszałkowską po długich wahaniach, na wyraźne żądanie Cesarza, i tylko na tę jednę sesyę, która jest ostatnią sześcioletniego okresu, a po której nastąpią nowe wybory.

Sesya sejmowa rozpocznie się 6 Kwietnia, lecz z góry przewidzieć można, iż będzie bladą i nieznaczącą, i że znowu nic na niej nie uradzą. Zbierze się ona w warunkach bardzo niekorzystnych, wśród ogólnego rozstroju, niezadowolnienia i kwasów, spowodowanych tak sprawą *Porcyi*, jak procesem Offenheima i jego skutkami. Braknie na niej *Stańczyków*, a tem samem tak zwanej partyi krakowskiej, która o ile tam faktycznie się znajdzie, trzymać się będzie, jak się zdaje, zupełnie na uboczu. Jeżeli zaś *Stańczyki* także nic dotąd nie zdołali zrobić na polu polityki galicyjskiej, to przecież pomimo swoich wstecznych wyobrażeń, odznaczali się zawsze pewną inicyatywą w użytecznych reformach. Tutejszy jedyny dziennik codzienny, stawia tylko skromne życzenie, aby w tej sesyi sejm zakończył przynajmniej sprawę wykupna propinacyi; lecz można być pewnym, że i tego nie zrobi w należyty sposób, bo potworek i temu stawi nieprzeparte zapory. A tak znowu przeminie ta sesya, bezowocnie.

Rozpisałem się obszernie, zbyt obszernie nad wszystkiemi temi wypadkami, dla tego, że może nie prędko zdarzy mi się tak dobra sposobność przedstawienia wam tak wiernego, żywego, jaskrawego, a poniekąd i dramatycznego obrazu, tutejszych stosunków, tutejszych ludzi i tutejszych małostek.

Obecnie jest mowa o przybyciu Cesarza w sierpniu do Galicyi, w przejeździe do Czerniowic na uroczystość założenia tam uniwersytetu niemieckiego, a zarazem na obchód stuletniej rocznicy przyłączenia Bukowiny do monarchii Habsburgów, który to obchód Naj. Pan podniósł z naciskiem, jako główny cel swej wycieczki w odpowiedzi deputacyi bukowińskiej. Wiadomość o dłuższym z tego powodu pobycie Naj. Pana w Galicyi, zdaje się pochodzić z dobrego źródła. Hr. Gołuchowski, który w tych dniach jeździł do Wiednia w sprawie nominacyi marszałka sejmu, a który wracając zatrzymał się tylko pół godziny na dworcu kolei w Krakowie, miał być nader ożywionym i uradowanym ową zapowiedzią wizyty cesarskiej, w przejeździe do najmniejszego kraju monarchii.

Arcyksiąże Jan Salvator, o którym pisałem wam w poprzednim liście, przybył tu już i najął pałac hr. Piotra Moszyńskiego, świeżo nabyty przez p. Jaroszyńskiego, a który pierwszy przedstawia się oczom Warszawian, przybywającym

koleją żelazną do Krakowa. Pierwsze zetknięcie się młodego arcyksięcia z różnemi tutejszemi osobistościami, jaknajlepsze zrobiło wrażenie; ma on rozmowę ożywioną i przeważnie polityczną, a w duchu i kierunku głośnej jego broszury, o której wspominałem. Arcyksiąże jest bardzo majętny i dworno żyje, zaprasza na objady; służbę zaś wojskową pełni z wielką skrupulatnością, która nawet czasem dla niektórych jest męczącą.

O skutku konkursu dramatycznego tutejszego już wiecie; przeszedł on najróżowsze oczekiwania, gdyż rozdano wszystkie nagrody, i w dodatku zalecono jeszcze jednę sztukę, i to podobno warszawskiego autora, do grania. Najzabawniejszem, jak mi opowiadano, miało być osłupienie sędziów, gdy odpieczętowano nazwisko autora dramatu „Mieczysław“, który otrzymał pierwszą nagrodę, i gdy okazało się, że był nim p. Adam Bełcikowski. Trzeba bowiem wiedzieć, że pan Bełcikowski niemal na wszystkich konkursach poprzednich ubiegał się bezowocnie o nagrodę, a gdy raz zalecono do grania jego komedyę „Protegowani i Protegujący“, upadła ona z łoskotem po pierwszem przedstawieniu. Mogliście osądzić jej wartość, gdyż, jeżeli się nie mylę, przedstawił ją w przeszłym roku jeden z ogródkowych teatrów. Lecz co najciekawsze, oto że ten sam p. Bełcikowski, rozwodził wieczne żale i skargi, i to podobno także po dziennikach warszawskich, na

stronniczość i niesłuszność tutejszej komissyi konkursowej; zdaje się, że teraz musiał nabrać silnego przekonania o jej sumienności i bezstronności, a zarazem stał się on żywym i wymownym dowodem potęgi wytrwałości. O samym utworze, który otrzymał nagrodę, odmawianą przez dwa lata wszystkim współubiegającym się, nie umiem wam wiele powiedzieć, gdyż go nie znam; zapewniano mnie tylko, iż stanowi on nadzwyczajny i zadziwiający postęp w zawodzie dramatycznym tego autora, którego utwory dotychczas nigdzie nie utrzymały się na scenie. Ma to być dramat naśladowany na historycznych dramatach Shakespeara. Komissya konkursowa ogłosiła obszerne i zajmujące sprawozdanie z swoich czynności; jest to sekretem komedyi, że sprawozdania te są zwykle pióra p. Estreichera. W teatrze nic bardzo uderzającego w tych dniach, oprócz świetnie odegranej przez pannę Urbanowicz roli Heleny w „L'Autre (Ten Drugi) pani Sand; oraz przedstawień „Córki Pani Angot“, która przepełnia salę. Choroby kilku artystów zmieniły podobno znacznie repertoar. Przez cały wielki tydzień przedstawień nie ma; na drugi dzień świąt zapowiedziane są „Wiśliczanki“ i obraz z żywych osób: „Dzwon Zygmuntowski“ Matejki.

Wszechpotężnej apatyi tutejszej nie mógł zwalczyć nawet tak drastyczny środek jak proces Kirchmayera, który przeszło tydzień toczył się

przed zwykłym sądem karnym, gdyż bankructwo jego miało miejsce jeszcze przed sankcyonowaniem ustawy o sądach przysięgłych. Proces ten tak blisko obchodzący tu wszystkich, niezbyt wiele budzi zajęcia, i nielicznych gromadzi widzów w sali sądowej. Ktoś powiedział, że i pod tym względem Kirchmayer nie miał szczęścia, bo sprawa jego przyszła zapóźno, i zaraz po procesie Offenheima. Śledztwo trwa już blizko pięć lat, a Kirchmayer odpowiada na wolnej stopie za kaucyą. Przykra to i bolesna sprawa przecież, bo stawia przed kratkami kryminalnemi człowieka, z którym przez długie lata żyli ściśle wszyscy niemal uczciwi, porządni i rozumni ludzie. Kirchmayer był niezaprzeczenie dobrym i użytecznym człowiekiem, uczynnym, uprzejmym, wcale nie głupi, wzbudził ogólne zaufanie, był wspieranym przez takiego męża jak pan Adam Potocki; wiele dobrego w życiu zrobił, wiele stworzył; dziennikarstwo, literaturę szlachetnie i bezinteresownie wspierał; utrzymywał przez długie a trudne lata najpoważniejszy i najlepszy dziennik tutejszy, był jego właścicielem, a przecież zostawiał redakcyi najzupełniejszą niezależność. Zetknięcie się Kirchmayera ze światem wiedeńskim stało się przyczyną jego zguby; zrobił wprawdzie dobry interes zakupując dobra rządowe, ale dla zakupienia ich wdał się z szachrajami, którzy go wyzyskiwali i wyzyskiwali jego sławiańską indolencją a zgu-

bili go nareszcie. Sam zgrzeszył lekkomyślnością, a ta jest matką wszystkich nieszczęść, a nawet i paskustw w sprawach pieniężnych; sam nie wiedział kiedy je popełniać zaczął, i kiedy stał się przyczyną strat i ruiny wielu osób i rodzin. Kilka epizodów procesu było zajmujących, gdyż stawali, jako świadkowie i poszkodowani, ludzie znani tutaj, a którzy w ścisłych dawniej zostawali stosunkach z Kirchmayerem; stawali p. Stojowski, p. Jędrzejowicz, p. Koźmian, hr. Fr. Mycielski, hr. Skórzewski członek izby panów pruskiej, etc. etc. Jak łatwo było przewidzieć, proces nie wykazał dotąd z góry powziętego zamiaru oszustwa lub przeniewierstwa, ale wykazał fatalne zaplątanie się w kłopoty pieniężne, które spowodowało różne czyny podpadające pod kodeks karny. Jaki będzie ostateczny skutek procesu trudno przewidzieć; sądziłby można, iż Kirchmayer nie powinien być skazany za oszustwo, ale niezawodnie za lekkomyślność. Być jednak może, że stanie się przeciwnie; bo zwykle w czasach, w których wielcy przestępcy uchodzą bezkarnie, mali są surowo karani; a to pewna, że w obec katastrof finansowych, których byliśmy świadkami od pięciu lat, wina Kirchmayera jest, w porównaniu z innemi, moralnie mniej ciężka. Przypominam sobie zabawne zdarzenie w chwili jego upadku, świadczące jakie on wzbudzał zaufanie i jak dobrej używał sławy. Ktoś, którego

brat znaczne poniósł straty w upadłości Kirchmayera, wezwany został telegramem z Warszawy do Krakowa, i poszedł się pożegnać z dogorywającym wtedy hr. Władysławem Małachowskim, którego siostry także miały złożone znaczne kapitały w kantorze Kirchmayera. Ten ktoś, nie chcąc przestraszać hrabiego, powiedział mu tylko, że jedzie do Krakowa, gdyż brat jego złożył swe kapitały u jakiegoś bankiera, który zbankrutował; na co p. Małachowski odrzekł: „Cóż to za nieroztropność, mając pod ręką Kirchmayera, składać pieniędze u jakiegoś tam bankiera“.

Kraków obchodził uroczyście Wielki tydzień i święta, jest to jedna z tych chwil, w których znajduje się on w swoim żywiole. W tym roku wyjątkowo już teraz dość jest pusto. Odbyło się tylko wielkie zwykłe święcone pod „Baranami“ u hr. Katarzyny Potockiej, sędziwa bowiem hrabina Arturowa, która zwykle przewodniczy tej uroczystości, przepędza tego roku zimę w Odessie u siostry ks. Woroncow. Święcone to gromadzi w pierwszy dzień świąt cały Kraków.

IV.

Kraków, 6 grudnia.

Jako dawny znajomy, powracam do przerwanéj z wami rozmowy. Nie pytajcie o powody tak długiego milczenia, nie mógłbym się wytłómaczyć; przyrzekam Wam tylko że teraz będzie inaczéj. Być może, że i moja rozmowa będzie nieco inną, niech was ta zmiana nie dziwi; jestem blisko o pół roku starszy, a tém samém zbogacony większém doświadczeniem, a może i nieco złudzeń straciłem, aczkolwiek zaprawdę, mało ich i wtedy miałem.

Niepodobna w téj chwili od czego innego zacząć ztąd listu, jak od nominacyi nowego namiestnika; został nim — czego po śmierci hr. Gołuchowskiego oczekiwać można było na pewne — marszałek sejmu hr. Alfred Potocki. Są chwile, w których nie należy nikogo zbytecznie zadawalniać, aby nikogo zbytecznie nie rozgniewać; taką chwilą jest obecna sytuacya tutejsza, i dla tego to tak właściwém i na czasie jest wyniesienie hr. Al. Potockiego na urząd namiestnika; nominacya ta bowiem aczkolwiek zgodna z wyraźnie objawioném życzeniem całego kraju nikogo zbytecznie nie cieszy, ale téż nikogo nie jątrzy. Usposobienie to ogółu staje się najlepszém ocenieniem indywidualności nowego namiestnika; indywidualności nadającéj się do Galicyi, do okoliczności i stosunków tutejszych, wśród któ-

rych nic nadzwyczajnego nie da się zrobić a wśród których nawet zbytnia żądza zrobienia czegoś nadzwyczajnego mogłaby się już stać szkodliwą. Nikt bezsprzecznie w téj chwili nie posiada jednocześnie w tak wysokim stopniu zaufania monarchy i kraju jak hrabia Potocki, a tém samém nikt nie mógł właściwiéj zająć stanowiska namiestnika. Godném jednak zapisania zjawiskiem w tym kraju jest, że do wszystkich czynności i godności ma on zawsze tylko jednego człowieka. Od pewnego czasu tym człowiekiem — przedtém mało w życiu publiczném znanym, a wcale niepopularnym — jest hr. Alfred Potocki. Gdy szło po katastrofie offenhajmowskiéj o obsadzenie krzesła marszałkowskiego, nie umiano tu nikogo innego wymienić tylko hr. Alfreda Potockiego; po śmierci hr. Gołuchowskiego cała opinia publiczna i wszystkie jéj organa, przemawiały jednogłośnie tylko za hr. Potockim. Hr. Potocki stoi na czele kilku Towarzystw krajowych jako prezes, hr. Potocki jest zastępcą protektora akademii umiejętności, hr. Potocki w niektórych miesiącach przewodniczy kilku lub kilkunastu zebraniom, tak, że ktoś powiedział, że jak umrze arcybiskup lwowski, arcybiskupem zostanie niezawodnie hr. Potocki. Czy świadczy to o ubóstwie i braku ludzi, czy o lenistwie umysłowém ludności, która wziąwszy, że tak powiem, na oko kogoś, nie zadaje sobie pracy szukania innych? Nie chcę rozstrzygać. Wiem tylko, że po śmierci

hr. Gołuchowskiego, życzenie kraju co do nominacyi hr. Potockiego namiestnikiem, zamanifestowało się bardzo jawnie, a nawet przez chwilę hałaśliwie. Było to poprostu odegraniem roli owéj muchy w bajce, gdyż wyniesienie hr. Potockiego na tę godność, od pierwszéj chwili było w Wiedniu postanowioném i zależało tylko od przyjęcia jéj przez hrabiego. Przecież nie podobało się to i słusznie, w decydujących sferach i dało nawet powód wielce wysoko położonéj osobie, znanéj z wrodzonego dowcipu, do powiedzenia, „że jeżeli kraj chce wybierać namiestnikc, to Korona będzie mianować posłów“.

Hr. Al. Potocki wytrawném i pełném godności postępowaniem, jako marszałek sejmu, zyskał tu sobie wielu zwolenników, a nawet, co dziwniejsza, uznanie ogółu, — a co jeszcze dziwniejsza, będąc miłym Krakowowi jest on zarazem przyjemnym Lwowowi. Ważniejszą zaś od tego wszystkiego jest jednozgodna sympatya dla niego wszystkich różnorodnych żywiołów w kraju i sejmie. Czy do końca tak będzie, jak jest teraz w miodowym miesiącu? trudno przewidzieć; bo jeżeli Austrya jest państwem nieprawdopodobieństw, to niezawodnie Galicya jest krajem sprzeczności i nigdzie tak blisko jak tu, od Kapitolu do skały Tarpejskiéj. Na szczęście, że ani kapitol, ani tarpejska skała nie są wysokie, i że dostać się można do pierwszego bez zawrotu głowy, a spaść z drugiéj

i to kilkakrotnie, bez złamania karku. Dla mnie osobiście ta wyjątkowa jednozgodność w kraju sprzeczności jest złowrogą: *car c'est trop beau.* Co się tycze samego namiestnika, to niewątpliwie, spokojem, taktem, wielką prawością, stosunkami w Wiedniu i pozycyą społeczną, odpowie on położeniu. Reprezentować będzie jak niktby tego tutaj w tym stopniu nie potrafił, bo jest on prototypem człowieka dobrze wychowanego, a tém samém prawdziwym wielkim panem i nawet rzecz dziwna, że człowiek tak dobrze wychowany, mógł zjednać sobie sympatyę kraju tak źle wychowanego. Jedyny szkopuł, którego, chcąc koniecznie coś ujemnego znaleźć, dopatrzećby się można w charakterze dostojnego namiestnika, jest pewna mania, która u niego góruje nad wszystkiém, mania bezstronności. Nie bierzcie tego co mówię za paradoks. Bezstronność, która jest niezaprzeczenie przymiotem w życiu publiczném, staje się szkodliwą, gdy zamienia się w manię, jéj treścią bowiem i istotą jest miara, — gdy jéj zachować nie umie, gubi lub odstręcza przyjaciół i zwolenników, a nigdy nie jedna, ani zadawalnia przeciwników, którzy ją biorą za objaw słabości. Téj zbytniéj bezstronności złożył dowody hr. Potocki podczas swojego ministeryum, tak, iż na niem najgorzéj wyszli i ludzie jego przekonań i zasady, które zdawały się być jego.

Kończąc o namiestniku, przytoczyć muszę doskonały dowcip humorystycznego pisma lwowskiego, określający wybornie położenie hr. Potockiego. Karykatura przedstawia go wraz z ministrem Lasserem. Hr. Potocki mówi: „A pamiętasz Lasserze, że jak byłem ministrem oddaliłem cię z namiestnictwa w Tyrolu“. — „To też, odpowiada Lasser, przyszła kreska na Matyska i przez zemstę zrobiłem cię namiestnikiem w Galicyi. Cierp teraz i naucz się nie zaczepiać Lassera“.

Po za kwestyą już rozwiązaną namiestnictwa, zajmują się tu umysły przypuszczeniami i przewidywaniami, które acz może prawdopodobne, nie mają jeszcze dość rzeczywistéj podstawy, aby się nad niemi zastanawiać.

Przewidywania te nie odrywają ani też zakłócają zwykłego życia tutejszego, a szczególniéj nie zamącają bynajmniéj nudów krakowskich. Niezrównaną definicyę tych nudów dała dziewczynka, któréj rodzice zamieszkują jednę z głównych ulic tutejszych Grodzką, przez którą przechodzą od zamku pogrzeby z muzyką. „Mamo, rzekło dziecko, dziś tak nudno, nie przeszedł żaden pogrzeb.“ Pogrzeb przedstawiający się jako szczyt zabawy i wesołéj rozrywki, to najwymowniejsze ocenienie zastoju, poczciwego i pod wielu względami niegłupiego, lecz apatycznego i drzemiącego Krakowa. Nudy te przecież mają — jak zwykle tak i tu — główną swą przyczynę i magazyn główny, jak

mówi Mickiewicz, nietyle w zewnętrznych okolicznościach, jak raczéj w duszy samych Krakowian. Ludzie ci miłują się w nudach i dla tego tak bardzo się nudzą, a ktoś dobrze powiedział, że gdy się wraca z jakiéj podróży do Krakowa, zdziwionym się jest widząc wszystkich w złych humorach. Dla Krakowianina niema większéj przyjemności jak drugiemu powiedzieć nieprzyjemność. Uważaném jest to tu za obowiązek i cnotę, lecz pojmiecie, że nie może się to przyczynić do uprzyjemnienia stosunków towarzyskich, i że doprawdy lepszyby była pewna doza cywilizowanéj obłudy. Drugim żywiołem nudów tutejszych jest zbyt częste zakochanie się w sobie *l'infatuation de soi même*, do czego, w tutejszéj atmosferze, bardzo prędko dochodzą ludzie nawet niepospolici. To wielkie rozmiłowanie się w sobie samym stwarza całą galeryę ludzi trochę za wielkich dla Krakowa, a trochę za małych na gdzieindziéj; jestto istna plaga tutejsza, nietylko nieznośna dla innych, ale niwecząca wiele osobistości mających niezaprzeczoną wartość. Dla tych ludzi trochę dla Krakowa za wielkich, wszystko co ich otacza jest złém, małém, poziomém; tęsknią, szukają i gonią za jakimś ideałem, za doskonałością, a nie mogąc jéj znaleźć wokoło siebie, znajdują ją w końcu w samych sobie; dla zastrzeżenia się co do własnéj wyższości, wszystko krytykują i poniżają. Człowieka trochę zawielkiego dla Krakowa, łatwo

można rozpoznać po stereotypowym ironicznym uśmiechu na ustach. Nietrudno zrozumieć, że idą oni drogą prowadzącą wprost do śmieszności, i że zarazem marnują te żywioły życia, które bądź co bądź, znajdują się tutaj, a które należy zużytkować z tym prawdziwym rozumem, który umie wszystko wyzyskać, i ze wszystkiego w pewnéj mierze umie być zadowolonym. Ztąd tyle tu ludzi śmiesznych, acz niegłupich i takie nudy, pomimo tylu żywiołów życia inteligentnego i zajmującego.

Nie myślcie jednak, aby tu nic nie robiono— wcale tego nie twierdzę; — Akademia umiejętności, jak świadczą o tém wzmianki umieszczane w waszym dzienniku, wypełniać usiłuje sumiennie i pracowicie swoje zadanie; nie umie ona jednak obudzić szerszego, ogólniejszego zajęcia, co może świadczy tylko, iż trzyma się ściśle zakresu naukowego. Główną jéj podporą obok czcigodnego Prezesa Mayera jest sekretarz Józef Szujski i znowu wszystko tu oparte na jednym człowieku, czy też na dwóch ludziach. Odczyty publiczne już się rozpoczęły; zapowiedzianych jest kilka zajmujących, mianowicie hr. Tarnowskiego „O najnowszych krytykach Shakespeare“.

Wystawa sztuk pięknych nieustająca w pałacu Biskupim, przedstawia od czasu do czasu dzieła godne uwagi, jak niedawno „Targ na Kleparzu“ Lipińskiego, który zdobywszy sobie uznanie w Wiedniu, zakupiony tam został za dość znaczną summę.

Matejko wystawił „Przemysława“ który przecie znowu nie stanowi postępu w kreacyach znakomitego malarza. Niedawno wręczono mu medal wybity na jego cześć. Słusznie, przyjmując go, rzekł artysta: „że medale winno się bić tylko umarłym, i że z trwogą przyjmuje go, gdyż ani on, ani ci, którzy wręczają medal, nie mogą jeszcze wiedzieć, co się stanie z jego talentem“. W téj chwili są na Wystawie dwa dobre portrety męzkie Grabowskiego, na którego już zwracałem waszą uwagę.

Nieraz jeszcze oczywiście powrócę do tych miejsc, które niewątpliwie najwięcéj są zajmującemi w tym miłym bądź co bądź Krakowie, mieniącym się raczéj naiwnie niż dumnie Atenami; a teraz zajść muszę tam, gdzie obecnie najtłumniéj i najgwarniéj, do teatru. W szczupłym i brudnym tym gmachu, dużo życia w tym roku, już dla tego, że prawie zawsze tam pełno. Obecnie gości tam opera lwowska, która o niczem nie wątpiąc i przed niczém się nie cofając, daje nam same arcydzieła olbrzymich rozmiarów, od „Balu Maskowego“ do „Roberta djabła“. Wam nie potrzebuję mówić, jaką może być rzeczywista wartość téj opery; u nas jednak i w naszych stosunkach, należy — nie chcąc należeć do owych *za wielkich* — sądzić o wszystkiém nie bezwzględnie, ale względnie. Opera, rzecz najdroższa w dziedzinie teatralnéj, a przytém nieznosząca mierności, jest anomalią

i niepodobieństwem w małych miastach, szczególniéj na północy, jestto zbytek, który w tych warunkach nigdy nie może stać się przepychem, skoro jednak jest publiczność chętna, czy téż zrezygnowana na taką operę, to przyznać trzeba, że z temi danemi dyrekcya lwowska zrobiła co tylko dało się zrobić, i że znać i staranność i energię. Ta więc, nie powiem parodya, ale raczéj to udawanie opery, ściąga tłumy ciekawych do teatru krakowskiego. Rzeczą godną bowiem uwagi, że zachowawcze to i stare miasto w dziedzinie widowisk publicznych, jednę tylko ma namiętność— nowości, która je zawsze wiedzie do stóp każdéj nawet mierności. I w tym wypadku Kraków okazał się wiernym téj namiętności, a zarazem dowiódł, że jest Atenami bez Ateńczyków. Bywają, a szczególniéj bywały tu nieraz przedstawienia, mające większą wartość artystyczną od owych wysileń operowych; a aczkolwiek widzieć je można było po niższych cenach od cen opery lwowskiéj, nierównie mniéj ściągały widzów. Świadczy to, że więcéj tu jest naiwności, a może ciekawości, jak znawstwa. Dodać winienem, że entuzyazmu na przedstawieniach niema, ale jest coś lepszego, bo są tłumy widzów. Towarzystwo wyższe stroni od opery.

Co się tyczy zwykłego teatru, to ten dał znowu dowód elastyczności, którą od kilkunastu lat odznacza się. Jest w tym teatrze coś z węża; po-

ćwiartowany zrasta się z łatwością. Wystawiony wiecznie na rabunek ze strony innych teatrów, dotkniętym on został w dwóch ostatnich latach śmiercią lub chorobami najlepszych artystów, a przecież potrafił zawsze skleić jakątaką całość. W zeszłym roku, jednoczesne straty takich artystów jak Ekerowa, Benda, Wardzyński, Dłużewski i Ładnowski, były dla niego, jeżeli nie Sedanem, to przecież Sadową. Nawet najsilniej wierzący w gwiazdę tutejszego teatru i dyrekcyi, wątpić o niej zaczęli. Tymczasem nowy kurs rozpoczął się w październiku wcale przyzwoicie, a od pierwszej chwili teatrowi nie zabrakło najgłówniejszego czynnika, to jest publiczności. — Z kolei zrabował on wasze prowincyonalne teatrzyki i dokompletował dość szczęśliwie zdziesiątkowany personal. Tak zreorganizowany teatr rozpoczął „Nietoperzami“ Lubowskiego; znać było trochę w tem przedstawieniu, połączenie sztuczne różnorodnych i nieco obcych sobie żywiołów. Aczkolwiek „Nietoperze“ przeniesione na grunt krakowski straciły nieco, a szczególniej aczkolwiek straciły na tem, że nie było w nich ani Żółkowskiego, ani Rapackiego, przecież podczas przedstawienia podobały się i wywoływały nieraz wybuchy wesołości; potem ochłonięto z pierwszego wrażenia, a Kraków zanadto jest plotkarskiem miastem i Krakowianie zanadto wielkiemi plotkarzami, aby poznawszy się w typach tej komedyi i poznawszy w niej główny grzech

Krakowa, nie znienawidzili jej i nie odepchnęli od siebie jako sobowtóra. Każdy bowiem tam wyraz jest docięciem staremu grodowi. „Przezorna Mama“ Blizińskiego, miała sukces śmiechu, ale jest to trzyaktowa komedya, a to za mało aby ściągnąć do teatru Ateńczyków.

Czy nie zdarzyło wam się nieraz spotkać z osobą, która ani pięknością, ani rozumem, ani w ogóle niczem szczególnem nie odróżnia się, a przecież wszystkim się podoba i jest przez wszystkich lubianą, która jednem słowem ma szczęście do ludzi? Do takiej osoby porównałbym komedyę p. Zalewskiego „Przed Ślubem“. Ulubione to dziecko publiczności lwowskiej, odrazu przygarniętem i wypieszczonem zostało także przez publiczność krakowską. Był to prawdziwy, rzeczywisty, a wyjątkowy sukces teatralny, — komedya ta przepełnia wciąż jeszcze salę, wszyscy wychodzą z jej przedstawienia zadowoleni, rozpromienieni, sypią się pochwały dla autora, dla aktorów, dla dyrekcyi, słowem ma ona szczęście do ludzi. Gdy się jednak zapytać dla czego? mało kto umie odpowiedzieć. „Przyjemnie jakoś być na takiej rzeczy“, oto jedyna a prawie ogólna odpowiedź.

Oprócz tych oryginalnych nowości, dwa przedstawienia obcych utworów, zwróciły na siebie uwagę, głównie dzięki grze w nich pani Hoffmann. „Chata pod lasem“ znana i wam zapewne, jako słynny przed laty dramat Soulego (La Clôserie

des Genêts), wznowionym tu został. Jest to sztuka z epoki, w której autorowie pisali nietylko dla pieniędzy, ale z przekonania; czuć to w tym utworze wybornie zbudowanym, a opartym na uczuciu honoru i na poszanowaniu związków rodzinnych. Kolizye obowiązków stwarzają tu efektowne sytuacye dramatyczne.

Druga sztuka o której mówię, jest to „Nowa Firma“ (Maison Neuve) Sardou, komedya arcyniesmaczna, lecz w paru rolach dobrze grana.

Ostatnią większą nowością, o której jeszcze wspomnieć mi wypada, jest „Mieczysław II.“ p. Bełcikowskiego, dramat historyczny, uwieńczony na ostatnim konkursie nagrodą 650 złr., ową pierwszą nagrodą, która przez dwa lata czekała na pojawienie się godnego jej wysokości utworu. Jeżeli znacie dramatyczne utwory p. Bełcikowskiego, to nie poznalibyście go w tym najnowszym jego dramacie, tak odskok jest wielkim, a postęp znaczącym. Dramat ten jest najzupełniej, ale dobrze modelowanym na historycznych dramatach Shaekspeara, a wielką jego zaletą, że pomimo tego nie zatarte w nim rodzime znamiona, lecz przeciwnie, oddane rysy charakteru narodowego, szczególniej w samym Mieczysławie II.

Dzielny i butny w początku, gotów świat cały podbić, a niewątpiący o niczém łatwo daje się zgnębić nieprzyjaznym okolicznościom i upada najzupełniej na duchu. Upokorzenie którego doznaje,

będąc zmuszonym oddać hołd cesarzowi niemieckiemu w Merseburgu, najzupełniej powala go o ziemię i z wszelkiéj wyższości i energii wyzuwa, a nawet doprowadza do spodlenia i „gnuśności“, kończącéj się rozpiciem. Dramat nieco przydługi, i nudny w pierwszych aktach, od chwili owego upokorzenia, staje się zajmującym i wysoce tragicznym. Są sytuacye pełne grozy, są i szczęśliwe wykrzykniki. Jak wszystkie niestety dramata historyczne, „Mieczysław II.“ obejmuje więcéj jak się pomieścić może na scenie, a szczególnie na małej scenie. Niezliczona liczba podrzędnych osób wchodzących na scenę jest wielkim błędem, a nawet kalectwem tego utworu. Te osoby wchodzące na to tylko, aby kilka wierszy wypowiedzieć, bądź co bądź, przypominają szopkę — na tutejszej scenie przypominały ubogą — na większej i zamożniejszéj przypominać będą bogatszą szopkę. To błąd organiczny. P. Ładnowski przybył ze Lwowa dla odegrania roli tytułowéj; snać Dyrekcya nie dowierzała jeszcze młodym i nowym siłom. Artysta ten, pełen talentu, przypomniał nam w tej roli najpiękniejsze swoje chwile, i raz jeszcze przekonał, jak oryginalną, a zarazem niepospolitą obdarzony jest twórczością; szczególniej dwa ostatnie akta, upadek ducha, rozpicie się i waryacya, oddane zostały z prawdziwą potęgą tragiczną. Jedyną niestety, dodatnią postacią dramatu jest nadreńska księżniczka, której nagrobek znajduje się w ka-

tedrze Kolońskiej, królowa Ryksa. Uosobienie to, rozumu stanu i suchej ale silnej wiary chrześciańskiej. Odegrała, a może raczéj wypowiedziała tę rolę bardzo rozumnie pani Hoffmann. Brakowało tu nieco wyniosłości a nawet sztywności, które byłyby zupełnie na swojem miejscu, bo postać ta przypomina do złudzenia w dramacie portrety starej szkoły niemieckiej, postać od początku do końca, znakomicie przez autora z nieubłaganą loiką nakreślona. Drugą kobiecą rolę, nierównie słabiej nakreśloną Dobrówki, kochanki króla, lecz dającéj artystce więcej pola do efektów, odegrała panna Kwiatyńska i wyglądała w niej, szczególniej przebrana za rycerza bardzo pięknie. Gra jej wyrażająca się pełnym, silnym głosem, niezłe sprawiła wrażenie.

V.

Kraków, 4 Stycznia.

Gdy się osiągnie to czego się gorąco pragnęło, nastaje zwykle potem chwila uspokojenia. Galicya, otrzymawszy upragnionego namiestnika, zdaje się już więcej ani zajmować, ani troszczyć sprawą jego rządów. Nastąpiło zupełne zobojętnienie, które zapewne trwać będzie aż do chwili zamianowania nowego marszałka sejmowego, gdyż, jak

to już dawniej zauważyłem, kwestye osobiste i kwestye osób, mają tu wyłączny przywilej rozbudzania umysłów i namiętności. I rzecz godna uwagi, w kraju, w którym w ogóle skarżą się na brak wybitnych osobistości, o osoby głównie idzie w sprawach publicznych. Tymczasem Lwów nader jest zadowolony z nowego namiestnika, a raczej z dostojnej pary namiestnikowskiej. Podwoje pałacu namiestnikowskiego otwarte są wieczór, dwa razy na tydzień dla licznych gości, codziennie dla szczuplejszego koła wybranych. Wielka uprzejmość, a raczej wielka znajomość świata, czaruje jednych, upaja drugich, zadawalnia wszystkich. Niemałą to będzie zasługą hr. Potockich, jeżeli zdołają rozbudzić i utrwalić na prawdziwych, zdrowych a nie sztucznych podstawach życie towarzyskie we Lwowie. Dotąd bowiem dość dziwne i dzikie miano tam o niem pojęcie. Uwzględniano jedynie to, co w niem najmniej ma rzeczywistej wartości, aczkolwiek najdrożej kosztuje — wystawność. Nieraz domy, które nie mogły olśniewać przepychem, wolały zamykać swe podwoje. Nizkie to wyobrażenie o życiu towarzyskiem, stawało się epidemicznem, i aby z tej choroby wyleczyć Lwów, trzeba było tak wielkiego pana, jak hr. Potocki, który sam stoi ponad przepychem i zbytkiem, i który może dać przykład wytwornego i prawdziwego salonu, bez służby w perukach i bez ścian kapiących od złota.

W tym i jemu podobnych kierunkach namiestnikostwo hr. Potockiego może mieć prawdziwą i rzeczywistą dla Galicyi doniosłość. Na polu politycznem, zdaniem mojem, które już w poprzednim objawiłem liście, nowe namiestnikostwo nie ma i mieć nie może wielkiej przyszłości. Hr. Potocki zbyt trzeźwo zapatruje się na rzeczy, aby sam mógł pod tym względem łudzić się; zbyt jest on lojalnym, legalnym, i jak mówią w Austryi: *korrekt*, aby popadł w śmieszność lub szaleństwo polityki na własną rękę. Tego ani się obawiać, ani też o to posądzać go nie można. Namiestnik w państwie konstytucyjnem, aczkolwiek mianowany przez monarchę, zależnym jest i być musi od ministerstwa, odpowiedzialnego przed izbami. Już to samo określa, a zarazem ogranicza jego działalność polityczną. Bądź co bądź, w tych warunkach musi on być wykonawcą. Że tak a nie inaczej przedstawia się namiestnikostwo hr. Potockiego, najlepszy mam dowód w tym fakcie, iż pomimo jego życzenia, nie zostawiono mu prawa kassowania urzędników bez odwołania się do ministra. Wprawdzie prawa tego w całej monarchii używał tylko, i to osobiście, hrabia Gołuchowski, a danem mu ono zostało za ministerstwa hr. Hohenwarta; niemniej przecież nie przyznano tego przywileju obecnie hr. Potockiemu, aczkolwiek znów mylną jest pogłoska, jakoby nowy namiestnik nie mógł nawet przerzucać starostów z jednego powiatu

do drugiego. Takiego ograniczenia, któreby uczyniło illuzoryjną władzę namiestnikowską, nie narzucono hr. Potockiemu. Z drugiej strony należy zauważyć, iż owo odjęcie przywileju, które przysługiwało hr. Gołuchowskiemu, wiele obecnie straciło na znaczeniu, gdyż zmarły namiestnik pozostawił całą administracyę obsadzoną krajowcami. Jeżeli zbyt wielkiego politycznego znaczenia nie należy przywiązywać do namiestnikostwa hr. Potockiego, to znów w kierunku administracyjnym, po tak dzielnym i rzeczywiście zdolnym administratorze, jakim był hr. Gołuchowski, niewiele, a przynajmniej nic nowego nie pozostaje do zrobienia, tem mniej do stworzenia. Tem cenniejszem i godniejszem jest uznania poświęcenie hr. Potockiego, który w tych warunkach przyjął ciężar dostojeństwa, stojącego bezsprzecznie niżej od jego dotychczasowego politycznego stanowiska. Poświęcenie to jednak o tyle zrozumiałem i cennem będzie, o ile nowy namiestnik okaże, iż po za temi dwoma wyżej wymienionemi kierunkami jest jeszcze wiele do zrobienia. I tu jest najważniejszy punkt.

Nie urząd namiestnikowski, ale naczelne stanowisko w kraju może mieć dla niego wielką ważność i doniosłość. Hr. Potocki z urzędu mało zdziałać może, stanowiskiem swojem bardzo wiele. Poprzednie lat kilkanaście dowiodły, że w tym kraju z dołu nic zdrowego ani silnego wydobyć

się nie dało; społeczeństwo to z dołu wydawało tylko wyziewy i potworki; dziwaczne wyobrażenia w dziedzinie moralnej, ubóstwo w dziedzinie materyalnej. Reforma i kuracya, a tem samem zdrowie, przyjść może tutaj tylko z góry. Takiem górnem stanowiskiem jest niewątpliwie posada namiestnika, szczególniej gdy ją piastuje hr. Potocki. Danie więc popędu pracy rzeczywistej, utworzenie ogniska dla życia umysłowego, literackiego i artystycznego, pielęgowanie literatury, sztuk pięknych, skupianie ludzi, odszukiwanie ich, łączenie z sobą tych, którzy są, a jest ich bezsprzecznie wielu, tylko są oni rozproszeni i ubezwładnieni, działanie na ducha publicznego, nareszcie rozbudzenie i towarzyskiego życia, oto liczne, a wzniosłe zadania, które świetnie zapełnić mogą rządy nowego namiestnika; oto kierunki, w których idąc, jedynie ochronić może te rządy od owej opłakanej jałowości, któremi odznaczyło się po za administracyą potrójne hr. Gołuchowskiego namiestnictwo. Że hrabia Potocki baczną zwróci uwagę na materyalne interesa kraju, o tem ani wątpić. Kraj to głównie i przeważnie rolniczy, a hr. Potocki jest z powołania rolnikiem i jednym z najlepszych administratorów jednego z największych na północy majątków. Wie on więc doskonale czego potrzeba, aby podnieść źródła bogactwa krajowego, a że w tym kierunku bezczynnym nie pozostanie, mamy dowód w jego

przemówieniu do Towarzystwa rolniczego, w którem nazwał je swojem dzieckiem. Jedna to przecież, i aczkolwiek ważna, nie najważniejsza strona zadania. Rozbudzenie, uporządkowanie i przodowanie życiu umysłowemu i moralnemu kraju, oto wedle słów Ewangelii, najlepsza strona, a nader nagląca, powiem nawet piekąca tutaj. Hrabia Potocki, jako zastępca protektora akademii umiejętności, już niejako z urzędu, ma wytkniętą pod tym względem drogę. Opiekując się, i ożywiając życie umysłowe, nadając mu zdrowy i uczciwy kierunek, mógłby niejako wytworzyć zbawcze *antidotum* tych wszystkich elukubracyi i szaleństw, któremi karmi się dotąd tutejsze społeczeństwo. Wlać nieco godności i zacności w życie publicystyczne tutejsze, byłoby to oddać krajowi niemałą usługę. Żywiołów nie brakłoby, brak tylko organizacyi, inicyatywy z góry.

Jedyną niestety w tym kierunku zasługą hrabiego Gołuchowskiego, było założenie „Gazety Lwowskiej“ urzędowej, a raczej powierzenie jej redakcyi znanemu, zdolnemu, a nieskalanemu błotem dziennikarstwa galicyjskiego literatowi, p. Władysławowi Łozińskiemu. Pomimo niełatwej pozycyi urzędowego dziennika, „Gazeta Lwowska“ w krótkim czasie, dzięki wybornej redakcyi, wyrobiła sobie poważne i poważane stanowisko i zabłysła jako istny meteor na ciemnem i wiecznie zachmurzonem niebie dziennikarstwa lwowskiego.

Już sam fakt przeciwstawienia porządnego i rozumnego dziennika, niesfornej zgrai codziennych drukowanych niesłychanych elukubracyi, był drogocennym. Raz tylko „Gazeta“, ulegając maluteczkim nienawiściom wysokiego protektora, niepotrzebnie stała się skrzynką pocztową dla grubiaństw szlacheckich, wystosowanych do tak zwanych Stańczyków tutejszych, podczas słynnej sprawy Porcyi i tem, jak na urzędowy dziennik, dowiodła braku taktu. Po za tym przecież odosobnionym błędem, odpowiada ona doskonale swojemu zadaniu; a wydawanie obok niej „Przewodnika naukowego i literackiego“, pisma zbiorowego, w którem znajdują się nader poważne i drogocenne rozprawy, dowodzi najlepiéj znaczenia i doniosłości przedsięwzięcia. Z prawdziwą więc przyjemnością zapisać należy, że ze zmianą osoby namiestnika nic się dotąd nie zmieniło w wydawnictwie „Gazety Lwowskiej“, a pogłoski jakoby ze względów oszczędności miał przestać wychodzić „Przewodnik“, poczytać należy za bezzasadne. Trudno bowiem przypuścić, aby hr. Potocki miał taką maskineryą rozpocząć swoje działanie na polu, na którem najwięcej zrobić może i powinien. W „Przewodniku“ znajdują się znakomite artykuły Małeckiego, zajmujące hr. Dzieduszyckiego, wcale niepospolite historyczne rozprawy młodego literata, p. Kubali. W „Gazecie“ zaś, oprócz doskonałego streszczenia wypadków

politycznych, jest nader ożywiony odcinek, w którym nieraz rozpoznać można świetne pióro naczelnego redaktora, autora owych nieocenionych niegdyś felietonów w tutejszym „Czasie“ pod tytułem „Szurum Burum“, w których opisał on tak dowcipnie i zjadliwie chaos wyobrażeń i cały *galimatias* lwowski. A co najważniejsza, jest w tonie „Gazety“ godność, przyzwoitość, a w jej treści rozum: trzy czynniki, których brak zupełny w innych lwowskich dziennikach, przemienia je w potworki bez nazwy.

Hrabia Potocki, przejeżdżając tędy z Wiednia do Lwowa, zapowiedział rychłe swoje urzędowe przybycie do starego grodu. Dotąd obietnica nie została spełnioną. Nie brak tu już takich, którzy twierdzą, że stołeczne miasto, nie pozwala namiestnikowi zwiedzić powiatowego miasta Krakowa. Twierdzenie to jest, zdaniem mojem, tylko objawem owej żółciowej choroby Krakowa, która się zwie Lwowem, aczkolwiek jest ona zwykle słabszą od drugiej wątrobianej choroby lwowskiej, która się zwie Krakowem. Namiestnik, który bezsprzecznie stoi pod tym względem ponad temi małostkami, nie miał poprostu dotąd czasu opuszczenia Lwowa i biur namiestnikowskich. Jeżeli kto jest stworzony, aby załagodzić ów nieznośny między Lwowem a Krakowem antagonizm, to właśnie hr. Alfred Potocki, i to będzie jedną z dobrych stron jego rządów.

Zanim Kraków ujrzy Namiestnika i przekona się, że go potomek hetmanów nie myśli wcale poniżać, namyśla się on do zimowego ożywienia. Święta ściągnęły do miasta nieco napływowego żywiołu. Przybyli też z Wiednia i posłowie do Rady Państwa. Podczas tej sessyi, dwóch posłów Krakowian odznaczyło się świetnie i dobrze zasłużyło. Poseł Rydzowski wyborną mową o lichwie, poseł Dunajewski znakomitem przemówieniem przy ogólnej dyskussyi budżetowej. Tak rzadko ludzie polityczni tutejsi umieją stanąć na stanowisku przedmiotowem, tak trudno im nie opierać się o komunały i frazesa, że doprawdy z chlubą zapisać można wystąpienie w Radzie Państwa tych dwóch panów, które zjednały im uznanie nawet przeciwników, a które miały rzetelną wartość. Chcąc was zapoznać z tutejszem społeczeństwem, najlepiej będzie zapoznawać was od czasu do czasu z wybitniejszemi osobistościami. Wszak nic bardziej zajmującego nie ma nad człowieka, a poznanie choćby jednego w mieście więcej warte niż zwiedzenie wszystkich gmachów. Do takich wybitniejszych indywidualności należy p. Dunajewski, professor ekonomii politycznej na wszechnicy Jagiellońskiej; jest on jednym z najlepszych mówców tutejszych a zarazem dobrze włada polskim i niemieckim językiem. Poseł na sejm krajowy, poseł w Radzie Państwa, p. Dunajewski, należy do tych rzadkich wyjątków, które

nigdy nie ubiegały się o popularność i nigdy nie posługują się frazeologią. Bystry i dowcipny, posiada on naukę równowagi w sprawach i działaniach publicznych. Chętnie się odznacza, lecz nie narzuca. Obdarzony zdrowym poglądem na bieżące sprawy, nie obcą mu jest pewna godziwa ambicya polityczna i umie on być bez śmieszności kandydatem na wyższe posady, których jeszcze nie piastował. Słowem, jest on z drzewa, z którego tutaj wystrugać można ministra, marszałka sejmowego lub namiestnika. Niewątpliwie jest on dygnitarzem przyszłości. Mąż to pewnych i zdrowych zasad, z któremi jednak obchodzi się jako człowiek obdarzony zmysłem politycznym; umie on się im poświęcać, nie narażając jednak dla nich swojej przyszłości. Przy niepospolitych zdolnościach, brak mu nieco tej wytrwałości i pracy, bez których tak łatwo obchodzą się ludzie, którym wszystko łatwo przychodzi. W świetnej mowie, którą p. Dunajewski miał przy ogólnej rozprawie budżetowej, najlepiej odzwierciedliła się jego indywidualność już i tem, że była to mowa, z której wykłuwa się minister przyszłości. Poglądy w niej na stan ekonomiczny i finansowy Austryi były trafne, i dlatego że spokojnie wypowiedziane, miały znaczenie i doniosłość ostrej krytyki dzisiejszych stosunków politycznych.

Nierównie gorącej, a wiele mniej doniośle przemówił p. Euzebiusz Czerkawski, rektor Uni-

wersytetu lwowskiego, w znanej sprawie ścieśnienia atrybucyi Rady Szkolnej, przy głośnym wniosku Wildauera. Mowa ta była prototypem tutejszej frazeologii. Wywołała też uznanie, fakielcugi i wybór na członka do Rady Szkolnej, bo właśnie dziwnym zbiegiem okoliczności, w przeddzień tej ognistej mowy, wakowało jedno miejsce w tej Radzie. Słowem pan Czerkawski, jeżeli nic nie zdobył swoją mową, za to wydostał się za jej pomocą chwilowo na szczyt kapitolu i znowu okazało się, że tu niezbyt daleko od tarpejskiej skały do świątyni popularności, bo nie tak dawno jak z tejże samej skały ów p. Czerkawski, broniący dziś tak gorliwie atrybucyi Rady Szkolnej, strąconym został, i to dość brutalnie, za zbyt gorliwą germanizacyjną propagandę, gdy był inspektorem szkół rządowych. Nie ma może w życiu publicznem, nic szkodliwszego od konieczności odkupienia lub zmazania przeszłości; popycha ona zawsze do przesady, zbyt często do ekstrawagancyi.

Nareszcie donieść wam mogę, że odwieczna sprawa restauracyi Sukiennic, dzięki energii prezydenta Zyblikiewicza, przeszła z dziedziny marzeń w dziedzinę rzeczywistości. Rada miejska postanowiła stanowczo rozpoczęcie robót na wiosnę, a teraz cała już rzecz zależy od prezydenta, tem samem pomyślne jej rozwiązanie zapewnione. Mała to może napozór sprawa, przecież stała się

tem ważną, że jej nierozwiązanie byłoby rzeczywistem dla prezydenta niebezpieczeństwem, boby go okryło śmiesznością. Jak wiecie, są już porobione zakłady: czy za prezydentury p. Zyblikiewicza owo herkulesowe dzieło tutejsze, ukończonem zostanie, a w razie dokończenia go, niedowiarki mają dać obiad w najlepszej restauracyi, która znajdować się będzie w odnowionych Sukiennicach.

W bieżącej kronice zapisać należy ślub panny Wandy Zamoyskiej z p. Stanisławem Grocholskim. Cały Kraków zaproszonym został i gościnnie podjętym na śniadaniu u hr. Zdzisławowej Zamoyskiej, matki panny młodej. Uroczystość ta przypomniała podobną przed kilku laty, z powodu ślubu starszej córki pani Zamoyskiej z hr. Janem Tarnowskim. Wtedy ta hetmańska para pobłogosławioną została na Wawelu przez biskupa Łętowskiego, a wspaniały orszak weselny w przepysznych strojach, odnowił wspomnienia dawno minionej przeszłości.

Dawna Resursa krakowska jest tutejszym arystokratycznym klubem, i zarazem punktem zbornym dla towarzystwa męzkiego. Nie jest on bynajmniej wyłącznym, i liczy między swoimi członkami, obok historycznych nazwisk, wiele osób, które różne zajmują tak w mieście, jak w kraju stanowiska. Stan tego klubu jest kwitnący; dotąd posiadał on statut osnuty nieco na tradycyach

byłej rzeczypospolitej, obecnie wypracował go w duchu nieco więcej monarchicznym, a w skutku tego ma wybieranego na rok prezesa. Na ten rok obrano prezesem hr. Kazimierza Starzeńskiego. Hr. Starzeński znany z wielkiego dowcipu, jest prawdziwie rycerskim, z dawnych czasów typem. Silnej woli i niezłomnego charakteru, nigdy przed nikim nie ugiął się i szedł zawsze za swojem przekonaniem osobistem, nawet wtedy, gdy ono było w sprzeczności z zapatrywaniem się ogółu. Czasy się zmieniły i obecnie zapatrywanie ogółu stało się takiem, jakiem było zawsze przekonanie hr. Starzeńskiego. W chwilach jednak koniecznej i nieuniknionej niepopularności, dostojny hrabia używał zawsze i wyłącznie wielkiego wpływu, jaki miał w Wiedniu i u dworu, dla dobra kraju i zasłaniania lub dopomagania jednostkom. Podczas wojny niemieckiej odegrał on znaczną rolę polityczną, uzbrajając tu, za zezwoleniem Cesarza, pułk, ale już wtedy zgodnie ze zmienioną poważną opinją kraju. Nie dziw więc, że pomimo niegdyś wielkiej niepopularności, hr. Starzeński otoczony jest dziś powszechnym szacunkiem i licznemi przyjaciołmi. Chciano nadać wyraz tym uczuciom, wybierając go na prezesa obywatelskiego klubu. Obecnie hrabia usunął się od wszelkich spraw publicznych, a nawet od Wiednia, którego dzisiejsza atmosfera nie dogadza mu; zamknął się w kółku przyjaciół i dobrych znajomych. Na do-

kończenie roku Resursa dała wspólną dla członków biesiadę, na której liczne wznoszono toasta, najpierwej nowo obranego prezesa, potem komitetu, prezydenta Zyblikiewicza i t. d. i t. d. Lucyan Siemieński rozweselał zgromadzenie, klejąc naprędce najzabawniejsze częstochowskie wiersze, które tem zabawniejsze były, iż wychodziły z ust tłómacza „Odyssei“.

W teatrze po wyjeździe opery lwowskiej pełno. Ale bo też puszczono prawdziwą bombę teatralną, wystawiając słynny dramat Dennere'ge autora „Maryi Joanny“: „Dwie sieroty“. Jest tam wszystko, co tylko zwabić może publiczność, od dyliżansu zajeżdżającego na scenę i dorożki przejeżdżającej ślepą dziewczynę, do śniegu spadającego obficie na scenę. Przytem jest prawdziwy w sztuce interes dramatyczny i dwie ładne role sierot, doskonale odegrane przez panie Hoffman i Urbanowicz; ta ostatnia ma trudne zadanie grania przez pięć aktów niewidomej z otwartemi oczami. „Sieroty“ ściągają tłumy i rozrzewniają je. „Giroflé-Girofla“ Lecocqa, znowu bawi i gorszy nieco. Między temi dwoma bombami dano „Krytyków“ Chęcińskiego, którzy dlatego może podobały się tutaj, że tu ich mało jest z powołania, aczkolwiek wielu niepowołanych.

Szujski kończy wielki dramat historyczny „Śmierć Władysława IV“.

VI.

Kraków 9 lutego.

„Czy rzeczywiście tutaj są tylko źli ludzie?“ zapytał mnie raz pewien cudzoziemiec, bawiący chwilowo w Krakowie. „Dlaczego pan tak mniemasz?“ odparłem. „Bo nie słyszałem, żeby tu ktoś powiedział o kimś coś dobrego, a zawsze słyszę coś złego“. Dopiero po tem objaśnieniu zrozumiawszy zapytanie cudzoziemca, odpowiedziałem: „Nie panie, ludzie nie są tu tak źli, jak sobie wyobrażasz i zapewne nie są gorsi jak gdzieindziej, ale są o wiele mniej życzliwi, a szczególniej o wiele mniej uprzejmi“.

W krótkiej tej rozmowie, mieści się poniekąd charakterystyka tutejszych obyczajów. Wielki brak życzliwości, zupełny brak uprzejmości, oto główne rysy życia krakowskiego; a tym niedostatkom w towarzyskiem i społecznem życiu, przypisać należy mało powabny i wcale niepociągający charakter tutejszych stosunków.

Zastanawiając się nad naszem usposobieniem rodzinnem, nad naszą naturą i odwiecznemi jej ujemnemi stronami, dochodzi się nieodmiennie do przekonania, że najszkodliwszą, najzgubniejszą, największą naszą wadą, wadą nad wadami, była i jest zazdrość. Zazdrość też hula jak „dusza bez kontusza“ po galicyjskiej arenie i temu to przy-

pisać należy głównie, bezprzykładny zastój, bezprzykładną martwość i bezprzykładną jałowość tutejszego społeczeństwa. Biada tutaj tym, którym się cokolwiek powiedzie! Wcześniej czy później upaść muszą — wraz z tem co się powiodło pod razami rozszalałej zazdrości. Najsilniej tutaj nienawidzą rzeczy udanych i ich twórców, współczucie i sympatya otaczają rzeczy mierne a nieudatne, udanym ogół i jednostki zaprzysięgają zwykle, nienawiść a pastwienie się nad niemi zdaje się tu być rozkoszą godną bogów. Tutaj w ogóle umieją tylko wylewać łzy krokodyle nad niepowodzeniem lub upadkiem. Dlatego też najwięcej jest niepowodzeń i upadków a tak mało rzeczy udanych. Pocieszna ta nasza choroba zazdrości, nigdzie może nie objawia się tak brutalnie, jak obecnie tutaj a oczywiście pierwszem jej następstwem we wszelkich stosunkach, brak uprzejmości, życzliwości i delikatności, które cechują cywilizowane i wykwintne społeczeństwa.

Odstrasza to od Krakowa, mało tu kto przybywa, a kto tylko może, lub nie jest związanym, ucieka, albo przemyśliwa o wynoszeniu się ztąd. Miasto pozostawione samemu sobie nie odradzając się nowemi żywiołami upada społecznie i towarzysko. Upadek ten jest z każdym rokiem widoczniejszy, pomimo setki nowowybudowanych domów. Nic też tu nie rozkwita, a cokolwiek zakwitnie, więdnieje pod tem ołowianem niebem

Wiadomo, że tam gdzie nie rośnie zboże puszcza się chwast; to też i tutaj wybujał on, a zwie się komerażem. Jest on tu czemś silniejszem od tradycyi, bo stał się już obyczajem. Tradycyonalny komeraż krakowski jest w swoim rodzaju wielce ciekawym objawem. Znacznie on teraz skarłowaciał; nie jest on wcale powabnym, czuć go pieskiem starej panny, zwykle jest poziomym, zawsze przesadnym, najczęściej nieprawdziwym, nieraz nieprawdopodobnym, a przecież wszyscy wierzą w niego przynajmniej przez dwadzieścia cztery godzin. Dziecko nudów i próżniactwa, uderza on lekkomyślnie w dobrą sławę, charakter, a nawet spokój wszystkich po kolei. Włosy stają na głowie, słysząc co tu jedni o drugich mówią, wynajdują i w co wierzą. Dziwić się doprawdy można, jak ludzie którzy ostatecznie są uczciwymi i porządnymi, mogą żyć z sobą i podawać sobie rękę, powtarzając wzajemnie o sobie podobne okropności i potworności. Ale jak wszędzie, tak i tu nadmiar złego staje się poniekąd lekarstwem: komeraż przesadny i potworny jest tu rzeczą tak zwykłą, tak codzienną, tak powszechną, że już nikt prawie na niego nie zważa, i nikomu on ostatecznie nie szkodzi, aczkolwiek wszyscy nim się trudnią. Jest on zawsze w superlatywach i najrozczochrańszych przesadach. — Kobieta którą tu wezmą na języki, zasługiwałaby na dom poprawy a mężczyzna na kryminał; nie

ma najmniejszej finezyi, najmniejszej umiejętności odcieni w komerażu krakowskim.

Niedawno temu, pewna pani, cudzoziemka, którą widywano zwykle na balach i w teatrze, przestała się pokazywać. Kraków natychmiast wynalazł, że ją zamknięto do kozy, ogłosiwszy ją pierwej oszustką i trucicielką. Pokazało się, że pani ta zachorowała na silną grypę. Oto prawdziwa próbka krakowskiego komerażu, który nawet na tę nazwę nie zasługuje, bo jest poprostu grubem kłamstwem, ponętą rzuconą dla zbyt łatwowiernych, przez licznych tutejszych próżniaków, a raczej, jak ich dowcipnie nazwał Bałucki, pracowitych próżniaków. W ogóle ludzie zajmują się tutaj nierównie więcej cudzemi, jak własnemi sprawami, i dlatego wszystkie tak źle stoją; czynią zaś to w sposób niedelikatny i niedyskretny, upatrując w tem jakieś dziwne bohaterstwo. Im przedmiot jest niesmaczniejszy i brudniejszy, tem chętniej grzebią w nim i zajmują się nim. Przez dwa lata salony krakowskie niczem innem nie trudniły się, jak najskrytszemi tajnikami, wielce niedobranego, lecz wcale niezajmującego małżeństwa tak, że pewna, bardzo rozumna pani powiedziała: „on est parvenu á rendre le mariage indécent“. Trzeba bowiem wiedzieć, że w gorszącym się i zawsze zgorszonym Krakowie, nic tak nie popłaca, jak już nie lekka ale poprostu tłusta rozmowa, która zwykle ma wszystkie ujemne

strony nieprzyzwoitości, bez jedynej możliwej do niej przyprawy — dowcipu. Ten bowiem przerażony i wystraszony, dawno ztąd już uleciał tam, gdzie niekoniecznie upatrują, jak mówi piosnka, moralność w *spojrzeniu kota*. Dodajmy do tego kilka rodzin, które własne mimowolne zboczenia okrywają płaszczem nieograniczonego pobłażania, a surowo i nieubłaganie karzą ułomności innych, a dziwić się nie będziemy, że mało tu kto przybywa, a wielu ubywa i dziwić się nie będziemy, że owemu cudzoziemcowi wszyscy wydawali się tutaj złymi. Złymi nie są, ale są mało uprzejmi, mało cywilizowani, a wielce w sobie rozmiłowani. Wady te najlepiej na jaw wychodzą, gdy się porówna sposób przyjęcia Warszawianina w Krakowie, a Krakowiaka w Warszawie. Gdy ten przyjedzie do Warszawy, na obliczach maluje się radość, zadowolenie, serdeczna gościnność, przybyły nie wie, jak sobie dać radę z wszystkiemi niezliczonemi objawami uprzejmości. Gdy Warszawianin przybędzie do Krakowa, widzi same zachmurzone i posępne twarze, zdawaćby mu się mogło, że przeszkadza, że nabawia tylko kłopotu i przerywa ważne zajęcia, bo już to każdy Krakowianin wygląda, jak gdyby na jego barkach spoczywały losy Europy, słowem, Warszawianinowi zdawaćby się mogło, że się znajduje w położeniu *d'un chien dans un jeu de quilles*. Tymczasem niewątpliwie są tu mu równie i równie

serdecznie radzi, jak Warszawiacy Krakowianinowi, tylko nie umieją tego okazać, nie umieją być uprzejmymi, nie umieją rozchmurzyć czoła; uprzejmość i wesołość zesztywniały w grodzie starych pomników. Ktoś też powiedział, że w Krakowie niepodobna być cały dzień wesołym, bo zazdroszczą nawet wesołości i zawsze postarają się o to, aby ją w ciągu doby spędzić z czoła, z ust, z serca.

Na tem tle dość posępnem, a które zdaleka szczególniej nader wydawać się musi czarnem, chociaż w rzeczywistości nie jest tak strasznem, już dlatego samego, że jak do wszystkiego tak i do tego przyzwyczaić się można — zobaczmy teraz jak się odrysowuje tegoroczne życie karnawałowe.

W świecie mieszczańskim hasło do zabaw i jakiegoś przynajmniej życia, dała jedna z najstarożytniejszych instytucyi tutejszych: „Towarzystwo strzeleckie“. Jest ono właścicielem znanego dobrze Warszawianom ogrodu strzeleckiego i tam właśnie teraz rozszerzono i upiększono znacznie salę. W sali tej odbywają się co drugą sobotę liczne i ochocze bale, a na post zapowiedziane są wieczory, przedstawienia, koncerta. Ogród ma być także przeobrażony i upiększony, a nawet mówią o wybudowaniu na wiosnę letniego teatru. Słowem, Towarzystwo strzeleckie rusza się, daje znaki życia — a rzecz to nieobojętna, bo może

ono tym sposobem przyczynić się do wytworzenia tutaj świata mieszczańskiego, który pomimo licznych żywiołów, nie istnieje dotąd jako całość. Główną w tem przebudzeniu się oddawna drzemiącego stowarzyszenia zasługę ma pan Alfred Szczepański, zięć p. Zieleniewskiego, prezesa Towarzystwa, a jednego ze znaczniejszych fabrykantów tutejszych. P. Szczepański znany niegdyś jako wielce politycznie ruchliwa osobistość, dziś zdaje się nieco poważniej zapatrywać na wielkie i małe sprawy ludzkie, a nie pozbył się przecież tej żywotności i energii, któremi się zawsze odznaczał, a które tak wielce są tu w Krakowie potrzebne, że nie można nigdy dość wysoko ich cenić, zkądkolwiek pochodzą.

W poniedziałki, w obszernym domu naprzeciw teatru, okna oświecone *al giorno:* to wznowione zebrania u prezydenta miasta p. Zyblikiewicza, o których w zeszłym roku już wam donosiłem. Jeżeli ten prezydent nie ożywi Krakowa i nie wyrwie go z gnuśności, to doprawdy trzeba będzie zwątpić o starym grodzie. Jednym ze środków są owe poniedziałki, które dotąd licznie bywają uczęszczane, a na pierwszym szczególniej znajdowały się osoby z najrozmaitszych i najdalszych stron.

Od prezydenta udaje się zwykle większa część gości na ulicę Sławkowską do księżny Marceliny Czartoryskiej, która zaprasza na tańcujące poniedziałki do nowo a wspaniale odrestaurowanego

dawnego pałacu pani starościny Wolbromskiej, znanej także niegdyś z wielkiej gościnności. Pałac ten urządzony został przez księżnę z wykwintnym smakiem artystki, z pięknym przepychem wielkiej pani i z komfortem prawdziwej Paryżanki. Przyjęcie zaś w nim nie krakowsko-uprzejme. — W tymże samym pałacu, co środa, zbiera się szczupłe grono znawców i miłośników muzyki i dla nich dostojna księżna-artystka nie skąpi czarów swego wyjątkowego, znakomitego a poważnego talentu. Są to prawdziwe biesiady muzykalne, lecz przypuszczani są do nich tylko nieposzlakowanej cnoty muzykalnej biesiadnicy. W te same środy odbywają się u hrabstwa Tarnowskich wieczory prawie tańcujące. W przyszłą zaś sobotę rozpoczną się wieczory najzupełniej tańcujące pod Baranami u hrabiny Arturowej Potockiej. Pani ta, acz złamana wiekiem, nie usuwa się od niczego, co tylko może przyczynić się do dobra, szczęścia, lub nawet przyjemności bliźnich.

Z małej liczby zamiejscowych, którzy ukazują się w tutejszym towarzystwie, państwo Żurowscy dali ładny bal, lecz z powodu zbyt szczupłego lokalu nie u siebie, lecz po amerykańsku, w sali hotelu Saskiego. Uprzejmość gospodarstwa dozwoliła zapomnieć o amerykańskim zakroju zabawy i przemieniła ją najzupełniej w staropolską.

Szereg publicznych balów rozpoczął bal na zakupno obrazu Matejki. Obraz ten wspaniały i zda-

niem mojem najpiękniejszy, nabytym został drogą składek dla sali sejmowej we Lwowie, za sumę trzydziestu tysięcy reńskich. Dotąd jednak suma ta jeszcze nie całkiem zebraną została, a zachodnia część Galicyi w tym wypadku wyprzedzić się dała przez wschodnią, dla tegotutejszy komitet zakupna uciekł się do balu, który przyniósł przeszło tysiąc reńskich dochodu.

Drugi bal publiczny danym był na rzecz Towarzystwa dobroczynności. Nosi on tu nazwę „balu dziadowskiego,“ a że opiekuje się nim hr. Arturowa Potocka, więc jak zwykle, tak i w tym roku udał się. W ogóle, publiczne bale w Krakowie, w których biorą udział wszystkie niemal społeczne żywioły, ze świata arystokratycznego, mieszczańskiego i artystycznego, są piękne. W tym roku, jednak acz dość liczne, mało są ożywione, niema w nich duszy, bo niema prawdziwej młodzieży. Niema już młodzieży! Oto okrzyk rozpaczy, który wydaje chórem płeć piękna. Jeszcze najmłodszemi są starzy *les vieux*.

Przeciw studenckim balom akademików powstała tu pewna opozycya, z powodu, iż służyły one za pretekst młodzieży do odrywania się od nauk. Dawniej każdy wydział wszechnicy urządzał swój bal, w tym roku za inicyatywą rektora Zola, zgodzono się na jeden wspólny bal akademicki, który właśnie w tej chwili rozpoczyna się.

Reforma to wcale mądra i bodajby mądrość na niej zyskała.

Ze spraw ważniejszych najwięcej zajmowano się w tych dniach obsadzeniem posady marszałka sejmowego. Cienki tu zwykle głos rozumu politycznego wola Naj. Pana; życzenia namiestnika i ministra Ziemiałkowskiego, powoływały na tę godność hr. Ludwika Wodzickiego. Jest to jedna z rzadkich, wielce sympatycznych osobistości tutejszych. Stańczyk z kolebki, obyczajów i stosunków, umiał przecież uniknąć tej czarnej niepopularności, którą inni z tej szkoły politycznej ściągnęli na siebie. Słowem, potrafił pomimo niezaprzeczonego rozumu i dzielności charakteru, pozostać możliwym w tutejszém społeczeństwie. Nie mała to zasługa. Już niejednokrotnie wyznaczany był na wszystkie trzy posady, które tu stanowią trójcę ambicyi i aspiracyi politycznych. Raz już miał niezawodnie zostać ministrem, przecież dotąd nigdy nie mógł się zdobyć na przyjęcie ofiarowanych mu godności. Hr. Ludwik Wodzicki od najmłodszych lat brał zaszczytny udział w sprawach publicznych i niewątpliwie ożywiony on jest chęcią odznaczenia się, ożywiony ambicyą i żądzą działania. Dotąd jednak w chwilach stanowczych cofał się zawsze, ile razy otwierała się przed nim szersza arena. Ubolewać doprawdy należy nad tym politycznym hamletyzmem szanownego hrabiego, który unicestwia jedną ze zdolniejszych

i szlachetniejszych indywidualności tutejszych lecz łatwiej go zrozumieć, gdy się wie, że hr. Wodzicki należy do tych, którzy nie chcą być czemś aby być, lecz na to, aby coś zrobić. Nie mając zaś przekonania, aby coś mógł zrobić, woli się trzymać ponętnej dewizy: *pouvoir et s'abstenir.* — Obecnie znowu ofiarowanej laski nie przyjął i tą odmową zasmucił trzeźwo zapatrujących się na położenie. Tu bowiem, nietylko idzie o to, aby ktoś właściwe zajął miejsce, ale przedewszystkiem aby przeszkodzić niewłaściwemu obsadzeniu. Po stanowczej odmowie hr. Wodzickiego, nie ulega wątpliwości, że marszałkiem zostanie hr. Włodzimierz Dzieduszycki, mąż prawy, największy właściciel ziemski w Galicyi, ornitolog z powołania i zamiłowania, lecz ani z zamiłowania ani z powołania polityk. Zdaje się też, że będzie on tylko przechodowym marszałkiem, na jedną sesyę, na ostatnią przed nowemi wyborami. Potem nie tracą jeszcze nadziei, że hr. Ludwik Wodzicki, któremu tym razem stanęły podobno na przeszkodzie stosunki rodzinne, przyjmie laskę marszałkowską.

Przesunął się przez Kraków, nie na wystawie, ale po kilku prywatnych domach, nowy a ładny obraz Brandt'a „Zaloty“, nabyty przez hrabiego Aleksandra Orłowskiego. Przedstawia on umizgi kozaka pojącego konie myśliwskie, do ukraińskiej dziewicy. Charakter okolicy uchwycony misternie, błogi spokój w naturze, a to wszystko ożywione

szlachetnem życiem. Każde stworzenie na tym obrazie ma duszę i każde ma inną duszę. Nawet w drzewach i liściach jest życie. A przytem wszystko starannie wykonane, znakomicie malowane. Perspektywa najdokładniejsza. Ktoś też, wielki znawca w tych rzeczach, słusznie powiedział: „że pierwszy raz patrzeć można z zupełnem zadowoleniem na rodzajowy obraz polskiego malarza“. Dlaczego? Bo góruje tu harmonia i dobry smak, których tak często niestety brak w wielkich utworach nawet potężnych talentów. Obraz, acz rodzajowy, nie jest wcale mały. Warszawa powinnaby zażądać go do obejrzenia. W zeszłym roku Brandt wraz z Kossakiem przedsięwzięli podróż artystyczną po wschodnich prowincyach, i ten obraz jest owocem owej wycieczki, podczas której dzisiejszy właściciel jego, niejedną oddał usługę naszym artystom.

Komisya konkursu dramatycznego już rozpoczęła swoją coroczną pracę. Nadesłano dotąd na konkurs czternaście utworów, lecz jeszcze do 15 t. m. trwa termin nadsyłania. Liczba powyższa jest niższą jak zeszłych lat, lecz przypomnieć należy, że tym razem konkurs jest ograniczony do dramatów i komedyi współczesnych, lub osnutych na historyi polskiej i do sztuk ludowych. Prawdziwie białym krukiem na tegorocznym konkursie jest komedya „Trzy Flory“, nadesłana z Chicago w Ameryce. Czy ten zaatlantycki ptak nie

będzie kaczką, przyszłość okaże, w każdym razie obdarzony on jest fenomenalnym lotem.

W teatrze Patti, oczywiście Charlotta, dała dwa koncerta po nadzwyczaj wygórowanych cenach. Pomimo tego Kraków, który przepada za każdą nowością, a dla którego firma jest ostatniem słowem w sztuce, pospieszył złożyć haracz śpiewającej karatynce. W liczbie spieszących na ten koncert, większa połowa przekonaną była, że idzie słyszeć Adelinę. Nie wiem, czy nastąpiło rozczarowanie, ale to pewna, że na drugim koncercie były pustki. Ale bo też Kraków, który jest obraźliwy, jeżeli się nie rozczarował, to srodze się obraził dowiedziawszy się, że ta sama Patti w wigilię dawała w Mysłowicach koncert po nader umiarkowanych cenach. — Rozwiało to w jednej chwili cały urok firmy.

Jutro w teatrze, oddawna zapowiedziana „Córka Rolanda“ w przekładzie Lucyana Siemieńskiego. O przedstawieniu tego pięknego utworu zdam wam sprawę. Dowiaduję się, iż tłomaczenie Siemieńskiego, które ma być wspaniałem, ukaże się zaraz po przedstawieniu tutaj, w warszawskiem „Ateneum“.

VII.

Kraków, 3 Marca.

Dawno nie pamiętam tak zapełnionego wypadkami i ożywionego w Krakowie miesiąca, jak ubiegły. Stary gród nie może się opamiętać i dziwi się sam sobie, że tyle w nim pomieściło się naraz ruchu i życia. Przybyli goście z W. ks. Poznańskiego i z innych stron; tak, że rzecz niesłychana, obszerne salony krakowskie nie mogły pomieścić bawiących się, a mazury o sześćdziesięciu i ośmdziesięciu parach, wstrząsły ich posadami. Kiedy dawniej dla sklejenia nielicznego balu, gospodynie musiały zapraszać miasto i przedmieścia i nie mogły się okazywać zbyt wybrednemi w układaniu listy gości, w tym roku nie tylko że mogły, ale musiały być w wyborze trudnemi, co nie jednej dogodziło próżności, jak też nie jedną ukłuło boleśnie. Role były przeistoczone; dawniej, goniono za gośćmi, i łapano ich poniekąd gdzie się dało, w tym roku ubiegano się za zaproszeniami, a opędzano się przed zbyt licznemi zastępami: bo istotnie były salony, które wszystkich pomieścić nie mogły. Gdzie szukać przyczyny tego chwilowego zelektryzowania towarzyskiego życia tutejszego? Niestety, nie w zasobach Krakowa, ale w sile magnetycznej kilku wcale okazałych posagów, które u stóp Wawelu obrały

zimowe leże. Nie jeden a przed innemi prezydent Zyblikiewicz, nie raz przemyśliwał nad środkami podniesienia i ożywienia Krakowa; ten to, tamten owo doradzał; przywiązywano wielką wagę do urządzenia tu rożnego rodzaju targowisk, gdy naraz zbieg okoliczności wskazał, że Kraków stać się może między-prowincyonalnem targowiskiem małżeńskiem, i że stworzenie tu takiego targowiska, wpłynie niezawodnie na rozwój ekonomiczny i społeczny miasta lepiej, jak cokolwiek. Ubiegły karnawał podaje przedmiot do rozprawy o wpływie posagów na rozwój mniejszych miast. Ile jeden posag obudza marzeń, aspiracyi, tyle ożywia karnawał; pomnóżcie go przez 4 czy 6, a odnajdziecie tę niewiadomą, która była przyczyną wyjątkowego, niezwykłego ruchu tegorocznego. Nie tylko z różnych prowincyi mieliśmy tu gości, ale nawet z Paryża, nawet z Chili w Ameryce. Nie twierdzę bynajmniej, aby wszystkich bez wyjątku ściągnęły powaby posagów, ale one były przyczyną pierwszą szumnego karnawału. Do niezwykłych a nader miłych gości zaliczyć należy przybyłego wprost z St.-Jago hr. Edwarda Raczyńskiego, jednego z najniepospolitszych młodych ludzi naszej epoki, wsławionego już bohaterskiemi czynami na południowych polach bitew i rozlicznemi a dalekiemi podróżami we wszystkich częściach świata. Jest to godny syn tak powszechnie w naszem społe-

czeństwie znanego i kochanego Rogiera Raczyńskiego, tego męża o wielkiem rozumie i wielkiem sercu. Słowem, nic w tym roku nie zabrakło do świetności Krakowa.

Wyliczać wszystkie uroczystości, które tu miały miejsce z powodu przybycia kardynała Leduchowskiego i świetne bale które dano w skutek owego licznego karnawałowego zjazdu, niepodobna. Nie mogę jednak pominąć balu kawalerskiego, który był jednym z najlepiej udanych. Tańcowano tu codzień, a nawet bywało i dwa wieczory jednocześnie. Bal dla szpitala dzieci, pozostającego pod opieką ks. Czartoryskiej przyniósł znaczny dochód. Na nim panie obdarzały zaraz na wstępie płeć nienadobną ślicznemi bukietami; — z początku oblicze każdego z obdarzonych rozjaśniało się na widok takiej uprzejmości, nie jeden brał to za pomyślną wskazówkę w drodze karnawałowej, inni mniemali że to nowy sposób zamawiania do kotyliona, gdy w tem raptem każdy zaszczycony bukiecikiem ujrzał przed sobą tacę na której złożyć musiał ofiarę dla biednych. Nigdy nie widziałem tak gwałtownej przemiany kwiatka w marchewkę *la carotte*, jak ją zwą Francuzi, ale tą marchewką przynajmniej pożywili się ubodzy.

Nie brakło i wzruszających epizodów; mieliśmy tu bowiem, jak wam wiadomo, pseudo wylew Wisły; zaczął on właśnie grozić miastu, a raczej przedmieściom w poniedziałek, podczas

wieczoru u Prezydenta, tak iż ten musiał opuścić gości i udać się na miejsce aby zaradzić niebezpieczeństwu, oraz telegrafować z przestrogą do Warszawy. Na szczęście, owa powódź okazała się nad wszelki wyraz łaskawą i nie stała się przyczyną żadnego dla ludności tragicznego wypadku. Omal przecież nie zatopiła balu kawalerskiego, o którym wspomniałem; liczne bowiem zaraz odezwały się głosy, aby pieniądze zebrane na ten bal poświęcić na dotkniętych powodzią. Przeciw temu powstała żwawa opozycya, dyskussya rozogniała się, gdy w tem pokazało się po sprawdzeniu, że jedyną ofiarą powodzi stał się jakiś nieszczęśliwy pies, którego fale Wisły uniosły wraz z budą i łańcuchem. Cały Kraków przypatrywał się tragicznemu końcowi tego nieszczęśliwego, którego pomimo usilnych starań uratować nie zdołano. Gdy jednak przekonano się, że nikt więcej zatopionym nie został, uratowano z powodzi i ów bal kawalerski, który miał już w niej utonąć.

Lwów nierównie mniej był w tym roku świetnym od Krakowa. Wbrew nadziejom, osierocony on został na karnawał. Nowa namiestnikowa przepędziła ten czas w Wiedniu gdzie licznych ma znajomych i przyjaciół, a namiestnik udał się na kontrakta do Kijowa, gdzie liczne ma interesa. Za to, z powrotem namiestnikostwa, obiecują tam świetny post i kilka balów po świętach.

Zdarzyło się wam niewątpliwie jechać w zimie jednym ciągiem, z naszych stref, wprost do południowej Francyi, i nie zapomnieliście zapewne doznanego wrażenia. Wyjeżdża się wśród mrozu i śniegów, otulonym w futro; żegna się martwą i skrystalizowaną naturę, a w czterdzieści ośm godzin zrzuca się futro, oddycha się jakiemś niewypowiedzianie miłem, błogiem powietrzem, widzi się wokoło zieloność, wegetacyę najpiękniejszą; jest się pod wpływem uroczego jakiegoś niedającego się określić wrażenia, a przyczynę jego siły, szukać należy w przeciwstawieniu, w antytezie tych dwóch odmiennych natur. Takiego samego wrażenia estetycznego, doznaje się dziś na przedstawieniu „Córki Rolanda“. Słynny ten dramat, jak już wam wiadomo, odegranym tu został w tłómaczeniu Luciana Siemieńskiego.

Być może, że bezwzględna wartość tego utworu, mniejsza jest jak jego sława; ale dziś, kiedy wszystkie sceny europejskie i cała publiczność przesyconą jest realizmem w sztuce i w życiu, dramat ten przenoszący nas raptem w dziedzinę najczystszego idealizmu, sprawia niewypowiedzianie błogie i przyjemne wrażenie; oddycha się w jego atmosferze swobodniej, szlachetniej; w porównaniu z całą dramatyczną literaturą dzisiejszą, szczególniej francuzką, ma on urok południowego klimatu w przeciwstawieniu z zimą na Północy. Wszystkie motywa są tu wzniosłe,

szlachetne. każda postać ma swój ideał, dla którego gotowa poświęcić się i poświęca się. Prawda, że wszystko to dałoby się może wznioślej, poetyczniej i silniej powiedzieć, przecież treść cała nie jest pozbawiona tragiczności, a, rzecz godna podziwu, rzecz niesłychanej wartości w oczach tych szczególniej, którzy głębiej zastanawiają się nad teatrem, wrażenie dramatyczne i to wielkie a szczególniej wzniosłe, osiągniętem jest w ostatnim akcie, bez jednego trupa i bez jednej kropli krwi wylanej, jedynie wielką ofiarą moralną. Ostatni ten akt jest bezsprzecznie najpiękniejszym, co także niemałą jest zaletą budowy. W nim delikatność, wykwintność, że tak powiem, uczucia rycerskiego, doprowadzoną jest do ostatnich granic, wyidealizowaną, a przecież stwierdza się ona czynem i to czynem wielkiego poświęcenia, wielkiej sprawiedliwości wymierzonej na samym sobie. Pomimo zaklęć Karola W., próśb Berty, błagań rycerzy, którzy potracili krewnych lub otrzymali rany pod Roncevaux, Gerald, syn Ganelona zdrajcy, który przez zawiść zgubił Rolanda, naprowadzając na niego Saracenów, jak tylko dowiedział się, że jest jego synem, nie przyjmuje ręki Berty synowicy Cesarza, opuszcza dwór i idzie szukać śmierci w walkach z poganami, aby zmazać zbrodnie ojca. To piękne wspaniałe zakończenie, siłą swoją moralną do tego stopnia staje się scenicznie tragicznem, że pobudza do łez i pozostawia pu-

bliczność pod głębokiem i uroczystem wrażeniem. Z całości zaś tryska to zdrowie moralne, które działa orzeźwiająco. Dodać należy, że przy nader sumiennem odźwierciedleniu w dramacie epoki Karola W., są ciągłe, nienaciągnięte, ale pełne prawdy, alluzye do dzisiejszego położenia Francyi; nie ma owych buńczucznych frazesów, któremi niestety tak do zbytku popisywali się Francuzi, przed ostatniemi klęskami, ale jest głęboka prawdziwa miłość Francyi. Alluzye te są szczęśliwe, elektryzujące, a są do tego stopnia trafne, że widocznie, bez intencyi, przypominają i marszałka Mac-Mahona i Bazaina i Sedan i Metz. Nie można się też dziwić, że dramat ten wielkie sprawił we Francyi wrażenie. Nie małem przecież było to, które tu wywarł — a to głównie, dzięki wspaniałemu tłómaczeniu Luciana Siemieńskiego. W tłómaczeniu tem rzecz cała nabrała siły, jędrności i męzkości odpowiednich epoce i ludziom epoki, a właśnie brak nieco tych koniecznych warunków w tekscie francuzkim, który jest często miękki i deklamacyjny. Tłómaczenie jest poniekąd mistrzowskiem, bo żadna myśl nie została przeistoczona lub zfałszowana, a przecież żaden ustęp nie jest niewolniczo przetłómaczony. Piękny język tłómaczenia już sam podnosi ducha i zachwyca. Jest ono wykonane białym wierszem, ale nie tym dyletanckim, który niestety tak się teraz rozpowszechnił, a który nie jest

ani prozą ani poezyą, ale tym, sumiennie i dobrze ulanym, który rytmicznie wpada w ucho. W ważniejszych miejscach są rymy, co jeszcze zwiększa wrażenie. Nie potrzebuję wam mówić, jakich sił wymaga przedstawienie zupełnie znakomite takiego utworu; że ich Kraków obecnie nie posiada i posiadać nie może zbytecznem byłoby dodawać. Przecież całość przedstawienia wypadła przyzwoicie, a były chwile dramatu znpełnie dobrze oddane. Wystawa trudna i kosztowna, względnie, to jest jak na mały teatr, dokładna. Główna rola hrabiego Amaury (Ganeleona) to potężna kreacya, wymagająca i warunków fizycznych i wielkiego ciepła. Rola to stworzona dla Rychtera, lub dla Królikowskiego. Tutaj grał ją p. Podwyszyński rozumnie, i o ile nieodpowiednie warunki fizyczne pozwalały, dobrze. Wielką rolę cesarza Karola grał zupełnie dobrze p. Szymański. Inni, a mężczyzn jest jeszcze bardzo dużo w dramacie, nie wznieśli się po nad przyzwoitość, czasem przecież w deklamacyi razili fałszywą nutą. Jedyna rola kobieca Berty, jest stosunkowo do ról męskich małą i nie efektowną. Gra ją w Paryżu wielce sympatyczna i uczuciowa artystka panna Sara-Bernard; tutaj grała ją pani Hoffmann. Ten rodzaj nie jest, że tak powiem, specyalnością tej artystki, która głównie celuje w oddaniu charakterów gorących, zdecydowanych w komedyi i dramacie współczesnym; liryzm nie wchodzi w zakres jej

talentu. Berta nie jest przecież w zupełności liryczną bohaterką; jest w niej, że tak powiem, dużo męskości, dużo siły bohatera, słowem jestto córka Rolanda, ale niedość rozwinięta. Otóż p. Hoffmann nacechowała charakter wnuczki, synowicy i córki rycerzy, i siłą rutyny i talentu wysunęła naprzód tę postać. Panna Sara Bernard wlewa w tę rolę więcej liryzmu, więcej ciepła, więcej zapału i wielkości duszy i rodu; pani Hoffmann nadała jej znamiona męskości.

Post nie zmniejszył bynajmniej dotąd tegorocznego towarzystwa tutejszego, pozostało ono niemal w karnawałowym komplecie. Wszystkie też wieczory są już rozebrane; a koncerta towarzyskie i amatorskie teatra układają się. Pod „Baranami“ u hrabstwa Potockich we wtorki mają być przedstawienia. Do poważniejszych zebrań należą środy w lokalu *Banku galicyjskiego dla Handlu i Przemysłu;* dają je dyrektorowie tej instytucyi, pierwszej w naszem mieście a raczej jedynej w swoim rodzaju po upadku Kirchmayera. Stworzyli ją ludzie zacni i rozumni, nie tutejsi, lecz którym zarówno nieznośną była bezczynność jak nieobojętną pomyślność kraju i miasta. Panom tym przyszedł w pomoc, nigdy dość nieodżałowanej pamięci Adam Potocki, oraz jeden z najrozumniejszych ludzi tutejszych hr. Henryk Wodzicki. Bank zakwitł, a co najważniejsza, dzięki rozumnemu kierownictwu, przetrwał, bez naj-

mniejszej dla siebie i innych szkody, wielką wiedeńską katastrofę finansową. Nie jestem w stanie wam opisać, ile to powodzenie, ta zasługa rzeczywista, ściągnęły na niego i jego naczelników nienawiści, złości, potwarzy i plotek. Co chwila rozgłaszano: że się chwieje, że upada, że pociągnie za sobą ruinę tysięcy. Lecz dzielni ludzie stojący na jego czele, nie zważali na te krzyki, na ten bezecny zwyczaj galicyjski, nie zważali na ohydny *komeraż* krakowski, i pracując sumiennie i wytrwale zapewnili byt użytecznej i uczciwej instytucyi. Nie ograniczając się na tem, gdzie mogą i jak mogą przyczyniają się do wlania nieco życia w tutejsze społeczeństwo. Niestety, dusza tej instytucyi i tej zacnej gromadki ludzi, p. Kurtz, złożony jest obecnie ciężką chorobą, która obawiać się każe przedwczesnej straty męża wielce użytecznego i potrzebnego tutaj, aczkolwiek oczywiście niedostatecznie ocenianego.

W tych dniach zmarł znany poeta Seweryn Goszczyński, któremu wspaniały sprawiono we Lwowie pogrzeb.

Posłowie do Rady Państwa, w tych dniach powrócili z Wiednia a nazajutrz znaczna ich liczba udała się na otwarcie sejmu do Lwowa. Już to nie ma Amerykanina, któryby był tak obarczony sprawami publicznemi jak Galicyanin, który raz wejdzie w zaklęte koło życia politycznego. Obecna

sesya, ostatnia przed nowemi wyborami, trudno aby była zajmującą lub doniosłą.

Komisya konkursowa dobiega do kresu swych prac. Słyszałem, że szczególniej w dziale utworów ludowych, mają być niezłe rzeczy. Wiele już wrzawy narobiło odsądzonie od wspólnego czytania dramatu „Ojciec Makary“ jak się dowiaduję z dzienników, p. Okońskiego autora „Niewinnych“. Podobno rzecz napisana jest z niezaprzeczonym talentem, ale jest najzupełniej niemożliwą na scenie, aczkolwiek rozgłaszają tu, że ją wystawią w Berlinie po niemiecku. Zwykłe to strachy na Lachy.

VIII.

Kraków, 4 sierpnia.

Dziś już odrysowuje się Kraków, jakim go zostawi prezydent Zyblikiewicz przyszłym pokoleniom, jeżeli obecne, nie stawi nieprzepartych przeszkód w urzeczywistnieniu rozległych i szeroko pojętych planów upiększenia i przeistoczenia starożytnego grodu, bez starcia przecież z niego onych nieocenionych znamion przeszłości, które są i pozostaną na zawsze jego poezyą, jego największą i najdrogocenniejszą ozdobą. Co może energia i dobra wola jednego człowieka wszę-

dzie — ale szczególniej u nas — dowiódł dzisiejszy prezydent miasta. W paru latach zrobił on już wiele, bardzo wiele, a z tego co zrobił, przeczuć można i odgadnąć co zamierza zrobić; a ten Kraków przyszłości, ten Kraków Zyblikiewicza przedstawia się wyobraźni nader przystojnie i pięknie. P. Zyblikiewicz należy do tej nielicznej garstki ludzi, którzy nie na to chcą czemś być aby być, ale na to aby coś zrobić. Powodują nim dwa moralne czynniki, które we wszystkich, mniejszych i większych, sprawach ludzkich, najdzielniejszemi są dźwigniami — chęć odznaczenia się, i silne zamiłowanie tego, czego się podjął. Pan Zyblikiewicz kocha się i w tem co już zrobił i w tem co zamierza zrobić; jestto umysł nader czynny, nieumiejący nie tylko próżnować, ale nawet wytchnąć, słowem umysł ten jest niejako antytezą samolubstwa, apatyi i zastałości krakowskiej. Jeżeli nie zdołał on, jak tylu innych, zmienić wewnętrznego usposobienia starego grodu, jeżeli nie udało mu się jeszcze wyleczyć go z senności, zmniejszyć rozmiary jego wątroby i śledziony, to przecież niewątpliwie wiele już zrobił w tak krótkim czasie dla odnowienia, upiększenia, wywabienia z plam i oczyszczenia jego zewnętrznej strony, jego zaniedbanych, podziurawionych i brudnych szat. Kraków, niestety, zdaje się lubować w obrzydliwym brudzie, zarówno jak w obrzydliwych plotkach: *la ville est scharmante,*

mais la selaté est dégoûtante, rzekł niedawno ktoś przybyły tu po dłuższym za granicą pobycie. P. Zyblikiewicz nielitościwie a wytrwale walczy z tym nałogiem Krakowa do brudów; zżyma się czasem Kraków, ale niczem niewstrzymany prezydent oblewa go wodą i szoruje szczotkami. Z nakazu magistratu — mylę się — z nakazu prezydenta kanały zanieczyszczone od czasu smoka i Krakusa, zostały wszystkie wyczyszczone, prawie gwałtem, czego dokonał energiczny dowódzca straży ogniowej tutejszej. Jeżeli Kazimierz W. zastał Kraków z drzewa, a zostawił go z cegły, oby p. Zyblikiewicz zastawszy go brudnym i smrodliwym, zostawił go czystym i woniejącym!!

Na owe herkulesowe dzieło wyczyszczenia miasta, Rada miejska przeznaczyła skromną, a malującą tutejsze zamiłowanie do czystości, cyfrę dwóch tysięcy reńskich; prezydent zaś, na własną odpowiedzialność, wydał dziesięć tysięcy.

Inaczej tutaj postępować nie można, chcąc coś zrobić. Nie na tem kończy się działalność ruchliwego jak żywe srebro a zapalnego jak siarka prezydenta. Gmachy szkolne wyrastają z pod ziemi, nowe domy budują się, bo przedsiębiorcy znajdują do tego zachętę; *plantacye* przeobrażone, ucywilizowane, otaczają prawdziwie uroczem swoją świeżością pasmem miasto, — te same *plantacye*, za które, jeszcze przed paru laty trzeba było Krakowianom się wstydzić, tak były zaniedbane.

Asfalt okrąża Rynek i zapuszcza zagony w sąsiednie ulice.

Było tu jedno krótkie ale straszne przejście, które charakteryzowało Kraków.

Na przesmyku prowadzącym od Rynku do teatru, publiczność musiała co wieczór brnąć w błocie a nawet nieraz łamać nogi. Obecnie, pomimo gwałtownej opozycyi właściciela sąsiedniej kamienicy, zatwardziałego konserwatysty z czasów byłej Rzeczypospolitej, a dzięki osobistemu wdaniu się p. Zyblikiewicza, niebezpieczne to przejście pokryte jest gładkim asfaltem. Drobny to rys, ale określa on stosunek energicznego i pełnego życia prezydenta do zacofanego i zgrzybiałego miasta. Lecz, co najważniejsza, oto nareszcie rozpoczęto roboty około restauracyi Sukiennic, i restauracya ta przestała być mitem, nadzieją, śmiesznością; stała sie faktem i rzeczywistością. Za trzy lata dzieło całkowicie będzie skończone. W niedalekiej przyszłości rozpoczną się roboty około wodociągów, a dzięki usiłowaniom prezydenta, niebawem już otwarte zostanie muzeum starożytności ks. Czartoryskiego.

W dalszych zaś planach naszego Haussmana dostrzedz już można pięknej i zbawiennej myśli przemienienia *błoni,* ciągnących się między Krakowem a Wolą, na spacer publiczny, którego brak daje się tu coraz więcej czuć, a który jest ozdobą, zdrowiem i najprzyjemniejszą rozrywką

każdego większego nieco miasta; urządzenie takiego spaceru wpłynęłoby niezawodnie zbawiennie na humor mieszkańców i wyleczyło ich może nieco z dobrowolnej hipokondryi. Dzięki także prezydentowi stanął tu letni teatr. Wyobraźcie sobie *risum teneatis amici,* że magistrat królewskiego miasta, nie chciał dać pozwolenia dyrekcyi teatru na wystawienie drewnianego budynku i nie mógł w żaden sposób zrozumieć, że nie może być letniego teatru, jeżeli nie ma być drewnianego budynku. Węzeł ten śmieszności przeciął, na własną odpowiedzialność, Zyblikiewicz, i oto od dwóch miesięcy stoi budyneczek, pozwalający, szczególniej przejeżdżającym z waszych stron, niesamotnie, wieczór przepędzić. Dodajmy, że w owych rozległych planach, jest naznaczone miejsce i na nowy zimowy teatr, który bezsprzecznie jest także jedną z naglących potrzeb tutejszych, gdyż stary budynek przy placu Szczepańskim nie tylko odraża brudem i brzydotą, ale sam nawet czuje, iż należałoby mu się usunąć z widowni i z każdym rokiem daje wyraźniej do zrozumienia, że radby się wycofać z towarzystwa ludzkiego.

Tak więc, dzięki prezydentowi, mógł ktoś na pół żartem powiedzieć, że Kraków pod jego rządami staje się *eine Welt - Stadt,* i że co się nie udało ks. Bismarkowi zrobić z Berlina, uda się może kiedyś zrobić z Krakowa p. Zyblikiewiczowi.

Nie myślcie aby to wszystko szło łatwo i, jak mówią Francuzi, *sur des roulettes.* Są oczywiście tacy, którzy kładą *des bâtons dans les roues.* Dużo jest przeszkód, więcej przeszkadzających. Nic niewdzięczniejszego jak przeprowadzać dzieło, wymagające spiesznego, natychmiastowego działania, a być krępowanym przez obradujące ciało. Nic trudniejszego—zdaniem mojem—szczególniej u nas, jak gdy się jest władzą wykonawczą, pochodzącą z wyborów ciała bezpośrednio kontrolującego działania tej władzy. W tem pochodzeniu tkwi już tysiące trudności i przeszkód. Mamy tego, na większe rozmiary, przykład w miłem położeniu marszałka Mac-Mahona, do którego *mutatis-mutandis* porównać można stanowisko prezydenta miasta, wybrańca rady miejskiej. Pierwsza przeszkoda: mniejszość, czychająca na rzeczywiste błędy a wynajdująca urojone w postępowaniu człowieka, powstałego z przeciwnego obozu, stawiająca z interesu i zasady trudności wszelkiemu działaniu, aby dowieść, że wybór był fatalny! Druga przeszkoda: większość z której się powstało, a z której namiętnościami i małostkami rachować się trzeba. Nareszcie, i to najważniejsza: wielu, tak z mniejszości jak i z większości, nie pragnących aby urzędujący prezydent wiele zdziałał, bo sami są kandydatami po sześciu latach, a każda jego reforma, każde dzieło, każdy czyn dodatni, to jedno zalecenie więcej, jedna

szansa więcej powtórnego wyboru! Dotąd p. Zyblikiewicz szczęśliwie żagluje pomiędzy temi szkopułami maleńkich namiętności i zazdrości ludzkich i tryumfująco pokonywa trudności. Wielka parlamentarna zręczność, bystry rozum, dar rozkazywania, nareszcie i nieco w charakterze despotyzmu, który tu nigdy nie zaszkodzi, dopomagają mu do tego. Zarzucają mu w formach nieco szorstkości, ale rozumniejsi przebaczają mu ją, wiedząc, że nie pochodzi ona z serca ale z głosu.

Szczęście to prawdziwe jak się taki zjawi człowiek u nas, gdzie — zauważyć to można oddawna — zdziałać coś może i umie tylko osobistość a nie zbiorowe ciała. W życiu naszego społeczeństwa, wytyczne słupy są dziełem wyjątkowo obdarzonych indywidualności; wszelkie zaś sejmikownaie było nam zgubne i pozostało jałowe.

Na deskach tutejszej sceny, tak zimowego, jak i letniego teatru, ukazała się sztuka, rzec można, jedyna w swoim rodzaju, a o której już słyszeliście: „Emigracya chłopska“ Anczyca. Zasługą jest tutejszego konkursu, że po długiem milczeniu, zmusił jedynego naszego ludowego pisarza dramatycznego do odezwania się ze sceny. P. Anczyc umie podsłuchać mowę i najtajniejsze myśli ludu wiejskiego, dlatego to jego „Emigracya“, równie jak „Chłopi arystokraci“, nawskroś jest prawdziwą i czaruje urokiem prawdy; czuć w niej woń sianożęcia, słychać echo śpiewu żniwiarzy.

„Emigracya“ jest wielkiem teatralnem powodzeniem, pojawiła się ona na deskach w bardzo szczęśliwej dla niej chwili, w której rzeczywiście większe rozmiary przybierać zaczyna, w Jasielskim i Tarnowskim obwodzie, wychodźtwo do Ameryki. Ogół zaczął zwracać uwagę na tę nową plagę, nawet urzędowa „Gazeta Lwowska“ umieściła znakomity o niej artykuł. Wtedy to p. Anczyc wystąpił ze swoją sztuką; nic więc dziwnego, że znalazł powodzenie na progu sceny. Ale sztuka, sama przez się, najzupełniej na nie zasługuje. Jest w niej uczciwy, szlachetny a trafny pogląd na tutejsze stosunki wiejskie, pogląd ten, dość niestety smutny, rzucił autor bez złudzeń, a przecież z miłością, z wskazaniem środków poprawy. Wystawienie jędrne tutejszych stosunków społecznych stanowi prawdziwą treść i wartość sztuki, więcej jak wplecenie w intrygę faktu, zapewne sporadycznego, emigracyi ludu wiejskiego do Ameryki. Z tego względu sztuka ta jest czemś więcej jak dziełem scenicznem, to fakt, to obywatelski czyn, mogący nawrócić zaślepionych i wskazać dobrą drogę. Tendencya zgadza się wybornie z programem tak zwanej partyi krakowskiej, żądającym oddawna wewnętrznych reform, na podstawie gminy zbiorowej i znanego wam z przeszłego sejmu wniosku posła Dunajewskiego: słowem tendencya żąda od warstw wyższych wniknięcia w rzeczywiste potrzeby ludu wiejskiego.

Społeczny ten obraz jest w najwyższym stopniu scenicznym, urozmaicony wszystkiemi możliwemi ale prawdziwemi efektami — a grany tu dobrze, coraz większe robi wrażenie i coraz większe budzi zajęcie.

Druga aktualność, którą widzieliśmy w letnim teatrze, była „Merima czyli powstanie w Bośni", Tragedya ta, ze względu na odgrywające się na Wschodzie wypadki, musi budzić zajęcie, i trudno rzeczywiście w obecnej chwili o rzecz, odpowiadającą bardziej ogólnemu położeniu.

Rzecz ta napisana oryginalnie po serbsku przez Bana, a przełożona przez Zmorskiego, rzuca jasne rodzime światło na stosunek ludności słowiańskiej do panowania tureckiego; widać tam, jak na dłoni, obydwa obozy w walce, widać jak kwestya społeczna wpływa przeważnie na wypadki. Przywiązanie do wiary ojców jest tu głównym szlachetnym motywem tragicznym. Pod względem artystycznym nie jest ten utwór bez zalet, zręcznie bowiem splata się intryga miłosna — oczywiście romans między chrześcjaninem a muzułmanką — z akcyą polityczną powstania rajasów bośniackich w pierwszej połowie tego stulecia. Są zbiorowe sceny, drugiego naprzykład aktu, robiące wrażenie; ale znać także właściwe Słowianom niedołęztwo w dramatyzowaniu i grupowaniu scenicznem: najczęściej i długo dwie tylko osoby rozmawiają z sobą na scenie; — w oryginale są

wielkie długości, które znikły w przedstawieniu, gdyż skonstatowałem, że reżysserya znaczne porobiła skrócenia. Czytałem w dziennikach, że jednocześnie wystawiono ten utwór w Petersburgu, a niebawem ma być on grany w Pradze.

Mówiono tu, że od dziesięciu lat wychodzący „Przegląd Polski“, organ tutejszych konserwatystów, tak zwanych Stańczyków, zakończy swój żywot w skutku zniechęcenia jego redaktorów. Otóż, w lipcowym i sierpniowym zeszytach tego pisma ukazał się obszerny artykuł p. Tarnowskiego: *Po dziesięciu latach*, oryginalny i niezwykły tem, że przyznaje się do zupełnej na wszystkich punktach przegranej, do zupełnego braku czytelników, do zamiaru zaniechania dalszego wydawnictwa, a zarazem oświadcza, że „Przegląd“ przecież dalej wychodzić będzie „jeżeli nie na jutro to na pojutrze, że jego redakcya bita chce być i dalej bitą!“ Jest dużo dowcipnej ironii pod tą arcypokorną formą, redakcya umieszczając ten artykuł zdaje się mówić, że społeczeństwo tutejsze nie dorosło jeszcze do publikacyi poważniejszych, trzeźwych i zdrowych a nie szubrawczych. Jakiekolwiek można mieć zdanie o zasadach stronnictwa i jego pisma, nie ulega przecież wątpliwości, iż było ono przecież niepospolicie redagowanem i że więcej warte pod względem intelektualnym, jak publiczność, która go czyta a raczej nie czyta.

Jednocześnie z powtórnem niejako wskrzeszeniem „Przeglądu“, dzięki zamożności jego właścicieli, przestał wychodzić organ złośliwie tu nazwany, *zielonej literatury:* „Szkice społeczne i literackie“. Zajmowali się tem wydawnictwem sami młodzi ludzie, między niedokończonemi studjami a partyą bilardu i jednocześnie wydawali dwa, bez humoru, humorystyczne pisma: „Djabła“ i „Harapa“. Na czele tych puklikacyi stoi młodzieniec, syn znakomitego historyka, powszechnie czczonego męża. Można było nie pochwalać tego przedwczesnego rzucenia się na pole publicystyki, mianowicie w kierunku humorystyczno-paszkwilowych publikacyi, mogło to dawać powód do żartobliwych uwag, że są ludzie, którzy piszą na to tylko, aby nie kończyć nauk; przecież jest w dzisiejszych czasach coś niezwykłego, coś szlachetnego w młodym człowieku, który, zamiast jak inni gonić za pozytywnemi zyskami, lub żyć tylko troską o byt materyalny, poświęca mienie i czas, według słów Ewangelii, lepszej części i oddaje się i to w Galicyi, choćby *zielonej* literaturze.

Z pewnością nie zdobędzie on tu ani zysków ani zaszczytów! Jest w tem przecież drogocenna iskierka, która w tylu piersiach obecnie zgasła. Przyznać trzeba, że te pisemka, pomimo młodych lat redaktorów. unikały dotąd skandalu, brudów i osobistości, i trzymały się w pewnej przyzwoitości granicach. Oczywiście, jak wszystkie na

polu piśmiennictwa usiłowania i te rozbiły się tutaj o apatję i wstręt do czytania.

„Szkice“ które podobno dużo kosztowały młodego nakładcę, zakończyły żywot. Pozostała najmniej zajmująca, najniewłaściwsza dla młodzieży, część tych publikacyi: owe niby humorystyczne pisemka. Czy może być coś smutniejszego, jak humorystyczne pismo redagowane bez dowcipu i werwy? To coś jak taniec bez muzyki. A przytem, pomimo dobrych podobno chęci właściciela, wkradają się tam teraz często brudy i małe nikczemności, znoszone przez niskiego rzędu indywidua, moralnie zszarzane i chcące swoje interesa lub osobiste zemsty podnieść do znaczenia humorystyki społecznej. Nikogo to nie bawi, bo nie ma w tem duszy, a pisemka, które podobno także śmiertelną dotknięte są chorobą, do reszty dyskredytuje.

Znaną wam jest zapewne sprawa niewłaściwej missyi p. Marescha, przysłanego do Galicyi przez ministra oświecenia, p. Stremayera, dla zwiedzenia szkół tutejszych, wbrew nieco prawom i stanowisku Rady Szkolnej. Epizod ten zajmował tutaj umysły przez dłuższy czas. Dowiaduję się z pewnego źródła, że na Radzie ministrów Cesarz nie pochwalił tego samodzielnego kroku ministra i wyraził życzenie, aby w przyszłości trzymano się dróg legalnych.

Nierównie przyjemniejszą była dla kraju wizyta ministra rolnictwa, hr. Coloredo-Mansfeld, najmłodszego członka dzisiejszego ministeryum; a który, ze znajomością rzeczy, badał tutejsze stosunki rolnicze, a po powrocie do Wiednia zdał Naj. Panu nader przychylny raport, wykazujący potrzeby i niedostatki tego kraju koronnego.

Najważniejszym i najwięcej zajmującym miejsca w tutejszem życiu wypadkiem ubiegłego miesiąca, była śmierć Fredry; do dziś dnia odczuwa ją i zajmuje się nią nasze społeczeństwo. Tak pięknie i trafnie oceniliście tę stratę, że trudno więcej i lepiej powiedzieć. Cała literacka wyższość Fredry na tem polega, że gdy wszystkie dotąd komedye polskie są śmiertelne, jego obdarzone są nieśmiertelnością. Jedyny to u nas komedyopisarz, bo on jeden stworzył nieśmiertelną komedyę, która jest kwintescencyą cywilizacyi i wykształcenia umysłowego; to też wedle wyrażenia Shakespeara, powiedzieć można o Fredrze, że między naszemi komedyopisarzami „wygląda on jak jaki Bóg między ludźmi“.

Ze rzadką tutaj zgodnością wszyscy bez różnicy oddają hołd pamięci wielkiego komedyopisarza. Pogrzeb we Lwowie był poważny i majestatyczny, ztąd dużo osób i deputacyi pospieszyło na ten obrzęd. W Krakowie: Dyrekcya teatru urządziła nabożeństwo żałobne, w dzień pogrzebu teatr był zamknięty, a 15 lipca przezna-

czono na uroczyste coroczne przedstawienie w teatrze dla uczczenia pamięci Fredry. W tym roku zapowiedziane jest także uroczyste przedstawienie na 15 sierpnia. We Lwowie: Dyrekcya teatru ustanowiła konkurs dramatyczny imienia Fredry i daje teraz cały szereg przedstawień komedyj Fredrowskich. Na prowincyi odbywają się także żałobne nabożeństwa. Tutejszy dziennik zamieścił ładny o pogrzebie odcinek, a „Przegląd“ z sierpnia zawiera artykuł o Fredrze pióra pana Kożmiana, z udzielonym mu wierszem, pozostałym w papierach wielkiego komedyopisarza. Wiersz ten objaśnia ważny a smutny fakt zamilczenia Fredry, w skutku lekkomyślnej i płytkiej krytyki jego utworów. Przytaczam go:

Nie drwijcie sobie z mej starej bandury,
Że posklejana od dołu do góry,
Jaki pan taki kram.
Nie drwijcie sobie, że mój głos już stary,
Mało w nim sztuki, ale dużo wiary,
Śpiewam co w sercu mam.
Nie łajcież mnie wy, uczone wieszcze,
Jeżeli czasem odezwę się jeszcze,
Wszakże to cichy śpiew...
A za dawniejsze, dawniejsze przewiny,
Żem kiedyś sięgał po wasze wawrzyny,
Niech zmięknie słuszny gniew.
Niegdyś młodemu czucie w piersiach grało,
Że to natchnienie, zamarzyłem śmiało,
Nuż śpiewać tak i siak!
Aż głos wasz zagrzmiał, Mistrzowie sztuki!

„Cicho z oklaskiem! tu barwy nauki,
Tu poezyi brak!“
Wprawdziem nauki nie nabrał w obozie,
Tam się machało w pospolitej prozie,
Wzdłuż i szerz — jak Bóg dał.
Chcieć więc być wieszczem bez doktorskiej czapki,
Zdroju waszego nie łyknąwszy kapki,
Był to błąd — był to szał.
Zamilkłem, milczę, uwierzyłem, wierzę,
Że w niskiej tylko kręciłem się sferze,
Że prac moich lichy plon,
Lecz nigdy, nigdy, to potomność przyzna,
Fałszu, zawiści, oszczerstwa trucizna,
Nie dotknęła moich strun!
Jakie bądź były mej myśli natchnienia,
Zawsze jednako aż przez dno sumienia,
Czysty ich płynął zdrój.
Karciłem niemi złych ludzi głupotę,
Kochałem niemi Boga, prawdę, cnotę,
Współbraci i kraj mój.
Stłukliście lutnię w mojem młodem ręku,
Niechże przynajmniej bandury pobrzęku
Nie ściga już wasz gniew!
Jeśli dziś śpiewam, to tylko pacierze,
. . . . . .
Łabędzi to mój śpiew.

Słowem, cześć oddana wiekopomnemu komedyopisarzowi jest zupełna i przystojna.

Dwa wesela w zamożnych rodzinach odbyły się w tych czasach, obydwa pokryte żałobą po bliskich krewnych. W Krzeszowicach trzecia córka Adama Potockiego — Marya, zaślubiła hr. Sierakowskiego, znanego z podróży po Indyach. Ślub

odbył się w cichości, z powodu śmierci ciotki panny młodej hr. Lizy Krasińskiej. Drugie, ale złote wesele księstwa Leonostwa Sapiehów, obchodzone było w Krasiczynie; uroczystość ta miała przybrać szerokie rozmiary, ale ograniczyła je śmierć brata młodej księżnej Sapieżyny, ks. Pawła Sanguszki; przecież poważny ten obrządek odbył się z właściwą wspaniałością.

Żniwa już na ukończeniu, wszędzie tutaj świetne urodzaje a zbiory pomyślne.

IX.

Kraków, 31 sierpnia.

Galicya przystąpi niebawem do rozwiązania ważnego w życiu konstytucyjném zadania, bo do ogólnych wyborów sejmowych na nowy sześcioletni okres. Wybory rozpisane zostały na koniec października; jak zwykle, każda kurya wybierać będzie posłów na Sejm w innym dniu, od 24-go do 31-go. Dotąd przecież zaledwie czuć tutaj, że się ta chwila zbliża. Zajmowano się już wprawdzie mechaniczną, że tak powiem, stroną wyborów, lecz ich strona polityczna i społeczna leży jeszcze niemal zupełnie odłogiem. Nikt do téj chwili nie postawił jasnego, wybitnego programu wybor-

czego i wolno przypuszczać, że tak jak zwykle dotąd, wybory rozpłyną się w komunałach, że się odbywać będą około frazesów, a nie około zasad, i że walka toczyć się będzie znowu nie o rzecz, ale o osoby. Wszystko, co dotąd mogło was dojść o tutejszym ruchu wyborczym, bądźcie o tém przekonani, jest tylko frazesem bez treści; do frazesów zaliczyć muszę hasło — wybierać ludzi fachowych! Brzmi to nieźle, ale w gruncie rzeczy nie wyraża nic, nie wytyka żadnéj drogi ani krajowi, ani jego reprezentacyi. W ciele politycznem trzeba przedewszystkiem ludzi politycznych, trzeba ludzi, którzyby przedstawiali pewne idee, pewne kierunki społeczne i polityczne a nie fachowe zatrudnienia. Takie i tym podobne frazesa, dowodzą tylko próżniactwa umysłowego i świadczą o téj chorobie tutejszego społeczeństwa, która na tém polega, że zadawala się ono czczemi słowami, bez względu na myśl i treść. Aby wybory były żywotne, aby były płodne, musi być walka wyborcza, a ta nie może się odbyć między fachami, lub między zatrudnieniami, ale między zasadami i ich przedstawicielami. Otóż takich wyborów nie można tu oczekiwać i dla tego obawiać się należy, że może będą one hałaśliwemi, ale pozostaną blademi.

Brak tu wybitnych stronnictw, bo brak silnych przekonań i zupełny brak przewodzców. Dla czego? Warto nad tém w chwili wyborów zastano-

wić się. — Główną tego przyczyną: że więcéj tu jest próżności, jak prawdziwych ambicyj politycznych; wielu tu szuka w stanowiskach zadośćuczynienia miłości własnéj, a nie środka dopiero do odznaczenia się i zdziałania czegoś użytecznego. Tam gdzie wrą prawdziwie namiętności, gdzie kieruje ludźmi silna ale szlachetna ambicya, tam wyrobią się niezawodnie przekonania, zasady, stronnictwa i przewódzcy; tam zaś gdzie idzie tylko o zadowolenie próżności, lub drobnych osobistych interesów, tam wytwarzają się tylko frazesa i koterye, i tam, w logicznem następstwie, brak jest przewodzców, czyli ludzi znaczących, około których mogłaby się skupić walka, a wielka jest obfitość powiatowych ambicyjek, które w atomy rozbijają akcyę wyborczą. — Jednym z ważnych czynników tego rozdrobnienia, żeby nie powiedzieć starcia na proszek publicznego życia w tym kraju, jest niezawodnie kierunek przeważnéj części tutejszéj publicystyki, to jest niemal jedynego nieco wiecéj ożywionego działu piśmiennictwa w Galicyi.

Do wielu dawniejszych i daleko sięgających przyczyn ubezwładnienia i zjałowienia tego kraju, o których nieraz w moich listach mówiłem, dodać należy najświeższą — dziennikarstwo tutejsze i przeważający w niem żywioł humorystyczno-paszkilowy. Ojcem téj szkoły jest Leszek Borkowski, autor głośnéj niegdyś *Parafiańszczyzny*,

najwybitniejszym jéj uczniem a dziś kapłanem iest p. Lam, słynny autor „Kronik“ w „Dzienniku Polskim“. Pan Lam w ostatnich kilkunastu latach życia galicyjskiego, był niewątpliwie najdowcipniejszym i najpłodniejszym humorystą. Niezwykły wrodzony dowcip zużył on w tuzinkowych turniejach, a bystry z natury rozum jego, zszarzał się i zmalał w ciągłéj podjazdowéj wojnie. Dziś zużył się on już nieco, a jego „Kroniki“ przejadły się. Cięty jego język stępiał, a ostre zęby wykruszyły się na twardym kawałku, bo na panu Janie Dobrzańskim, zbyt znanym redaktorze „Gazety Narodowej“, którego był uczniem i współpracownikiem, a następnie zajadłym antagonistą; kąsał on go wciąż, a co najdziwniejsza, nie mógł przecież napocząć. Były w panu Lamie żywioły prawdziwego, niepospolitego satyryka i humorysty; lecz jak tylu innych, i jego nie umiano tutaj należycie zużytkować. Z instynktu i wrodzonego dowcipu, z jakiegoś nieokreślonego poczucia estetycznego, raczéj niż z wychowania i wykształcenia, chętniej byłby niezawodnie p. Lam poszedł wprost przeciwnym kierunkiem, jak tym, którym idąc, rzucał się na wszystko, co dodatnie i mające w tutejszém społeczeństwie niejaką wartość, tém łatwiéj, że zasady lub przekonania nie krępowały go nigdy. Była chwila, w któréj można go było pozyskać dla jedynego uczciwego i poważnego dziennika tutejszego; zaniedbano téj spo-

sobności i puszczono go samopas drogą, na której dowcipkując, sam się zużył, zużywszy wielu innych. Jako szczegół zawodu tego humorysty, przytoczę, że przed kilku laty jeden z wielkich dzienników wiedeńskich ofiarował mu bardzo korzystne warunki, które on odrzucił, nie chcąc opuszczać kraju; przemawiaćby to mogło wielce za nim, bo świadczyć poniekąd, że nie uległ chorobie kosmopolityzmu, którą w jego pismach dostrzedz można; chyba że owa odmowa przeniesienia się do Wiednia była już skutkiem zmęczenia i téj niemocy moralnéj, która przykuwa do przyzwyczajeń. P. Lam obdarzony bystrym i czasem daléj sięgającym dowcipem, obracając się w ciasném nieco kole tutejszém, wpadał a szczególniéj wpada obecnie w manierę, powtarza się monotonnie; przecież zabłyśnie czasem satyrą lub żartem, które zostawiają ślad po sobie; dawniéj odznaczał się wielką werwą, złośliwością, która jeżeli nie przeszywała na wskróś, to przecież raniła i tą wytrwałością w ściganiu szyderstwem i śmiesznością ofiary, która wpijały się w nią, jak pijawka. Najbezwzględniejszy sceptycyzm, brak wszelkiéj wiary we wszystko, znacznie osłabia doniosłość i obniża poziom jego satyry. Cynizm nie zawsze dobrego smaku i pewien kawiarniany zapach, przygłusza niezła forma literacka; wogóle w jego humorystyce jest więcéj dowcipkowania jak dowcipu, aczkolwiek i jego nie brak;

dziś p. Lam padł ofiarą zgubnéj konieczności dowcipkowania na komendę co tydzień; ale niektóre jego „Kroniki“, a przedewszystkiem jego powieść polityczna *Panna Emilia*, świadczyć będą o niepospolitym talencie, o bystrości niezwykłéj, a nawet o głębszym darze spostrzegawczym. Kto wie nawet, czy *Panna Emilia* nie zostanie się? Człowiek obdarzony takiemi zdolnościami i wciąż piórem czynny, musiał wywrzeć wpływ na społeczeństwo, które wyjątkowo czytało go z chciwością i musiał stworzyć cały zastęp niefortunnych naśladowców; humorystyczny paszkwil, który niemałe ma tu znaczenie, jemu je zawdzięcza: znaczenie zgubne, bo pozbawione wszelkiéj moralnéj podstawy.

Drugim w tym kierunku czynnikiem, o którym mówić warto, jest humorystyczne pismo lwowskie *Szczutek*, którego redaktorem jest p. Liberat Zajączkowski. *Szczutek* odznaczał się dotąd bardzo nieraz trafnym dowcipem, pewną miarą w używaniu go, szanowaniem stosunków prywatnych, a przy widocznych sympatyach dla skrajnego, radykalnego kierunku, chwalebną bezstronnością. Jest to niewątpliwie najlepsze humorystyczne pismo tutejsze i niedające się nawet porównać z innemi podobnemi pismidłami lwowskiemi lub krakowskiemi; jeżeli nie zawsze kładzie, to przecież umie włożyć rękawiczki; jest ostre, ale nigdy impertynenckie; ulega wprawdzie pewnym zada-

wnionym przesądom, i, od czasu do czasu robi ustępstwa lokalnym koniecznościom. Mniéj w nim werwy jak w „Kronikach“ p. Lama, ale téż mniéj wpływu obczyzny i wiedeńskiéj humorystyki; czuć, że są rzeczy, w które wierzy i które kocha. Redaktor tego pisma p. Zajączkowski, jest człowiekiem z lepszém wychowaniem i wzięciem, a tém samém z lepszym smakiem; odróżnia się pod każdym względem pośród zgrai dziennikarzy galicyjskich z pod ciemnéj gwiazdy; ma on jeszcze pod wielu względami, ciepło wiary i miłości, i dla tego może właśnie humorystyka jego więcéj od innych jest rodzimą; charakteru i przeszłości nieposzlakowanych, ma prawo śmieléj się odzywać; pewien wrodzony instynkt mityguje w nim wrodzoną podejrzliwość względem wyższych warstw społecznych i nie tyle karci on klassy towarzyskie, jak raczéj ich czyny. Obecnie założył on codzienne pismo polityczne „Kronikę“, bez wielkiéj przyszłości, a może ulegając téj słabości natury ludzkiéj, która popycha nas często do robienia tego, do czego najmniéj jesteśmy zdolni. Niewątpliwie *Szczutek* na tém nie zyska, a już ktoś dowcipnie powiedział: że to co powinno być w *Szczutku*, znajduje się w *Kronice*, a przeciwnie to co w *Kronice*, w *Szczutku*.

O innych tutejszych humorystach wspominać nie warto; są to blade naśladownictwa, ale ich plemię rozmnożyło się w nieskończoność. Humory-

styczny paszkwil stał się tu modą, manią, chorobą; każdy piszący poczuwa się do obowiązku humorystyki; wszystko wyśmiać, z wszystkiego wyzyskać paszkwil, to hasło tutejszego codziennego piśmiennictwa; całe niemal dziennikarstwo podlega téj manii; jest to szarańcza, która padła na niwy galicyjskie i która dokończyła dzieła, rozpoczętego przed laty przez biurokracyę austryacką — zupełnego zjałowienia tego kraju; a szukając dokładnie, bodaj czyby nie można odnaleźć niejedną styczność, nie jeden tajemny i mistyczny węzeł między ową biurokracyą a dzisiejszym kierunkiem dziennikarstwa tutejszego i jego humorystyką? Te same humanitarne i socyalne wyobrażenia, te same nienawiści i żądze!

W społeczeństwach wykwintnych, w których *znają się na żarcie*, humorystyka wyższa i dowcipna satyra nie są szkodliwemi; przeciwnie, jest to sól dodająca smaku sprawie publicznéj; jest to pęcherz utrzymujący często, na powierzchni wody, pływających po morzu politycznem; jest to słowem, owa zręczna reklama, o którą nawet na Zachodzie ludzie publiczni dobijali się nieraz; w każdym razie to trefniś rozweselający społeczeństwo; lecz u nas gdzie dotąd *nie znają się na żarcie, bo biorą go na seryo,* gdzie żart nie rozwesela, lecz zasmuca jednych, zatrważa drugich a zadawalnia tém samém nienawiści i chęć zemsty wszystkich, wpływa on nader szkodliwie

i deprymująco na życie publiczne, a przestaje być szlachetną bronią; nie oczyszcza on atmosfery, ale przygniata ołowianém niebem; nie rozwesela, ale waśni; nie dodaje odwagi, ale zniechęca; nie jest on trefnisiem gromadzącym ludzi około śmiechu, jest gburem rozpędzającym ich. Dodajmy do tego znany u nas brak odwagi cywilnéj, w skutku którego nie jeden, ale wielu woli stać na uboczu, jak wystawiać się na dotkliwe, bo dotkliwie odczute żarty, a zrozumiemy, dla czego humorystyka tutejsza i ulegające jéj wpływowi dziennikarstwo, tak zgubnie oddziałały na obyczaj polityczny; dla czego stały się przyczyną braku zasad i przekonań stałych, dla czego zużyły tylu ludzi i stworzyły próżnię, w któréj słyszeć się daje tylko złowrogie echo spazmatycznego śmiechu. Humorystyka tutejsza niedość głęboka i silna, aby zabijać, czyni gorzéj, bo ubezwładnia; a rzecz godna, że w tym kraju nic nie biorą na seryo, prócz żartu. Nie ma tu jednéj osoby niewyśmianéj, niewyszydzonéj, a tego wyśmiania i wyszydzenia ogół nie umie strawić jako lekką potrawę, lecz dostaje po niéj niestrawności. Nie ma tu poważniejszych myśli i poważniejszych książek, nie ma szczególniéj chęci do czytania ich, bo smak zepsuty jest codziennem używaniem dziennikarskiéj assafetydy. Nie w saméj przecież nieudolności społeczeństwa do zrozumienia i ocenienia żartu, jest przyczyna jego szkodliwości; oto przypisać ją na-

leży jego naturze, jego treści, jego pochodzeniu. W najlepszych stosunkowo okazach, o których wyżéj wspomniałem, jest on płytki, często złego smaku, zawsze niezdrowy; cóż dopiero mówić o okazach podrzędnych, które zniżają się do rynsztokowych brudów i kalają wszystko bez smaku, dowcipu i polotu!? Tu przedstawia się nam pospolity obraz wszystkich nizkich namiętności i płaskich stron natury ludzkiéj, istna kawiarnia pod „latającą ropuchą“, tak misternie odtworzona w „Rabagasie“ Sardou. Żart i śmiech są naturalnemi potrzebami; lecz aby dobrze wpływały na zdrowie społeczeństw, muszą być same zdrowe, muszą wyrastać z własnego gruntu; żart musi pobudzać do czerstwego, do serdecznego śmiechu. Humorystyka galicyjska tego nie umie; wywołuje ona nerwowy a nie serdeczny śmiech; zamiast uzdrawiać, denerwuje; zamiast poprawiać, psuje; zamiast karcić, roztraja! A dla czego? Bo i żartu przyczyna i pochodzenie muszą być szlachetne, bo i żart musi być wypływem jakiegoś głębszego uczucia, czasem wielkiéj, byle wzniosłéj boleści! Humorystyki tutejszéj nie ożywia żadna wyższa myśl, żadne głębsze przekonanie; jéj celem wyśmianie każdego, jéj dźwignią najczęściéj zemsta osobista. Przedewszystkiem brak jéj rodziméj podstawy; nie jest to wesołość ani humor Reja, Radziwiłła Panie Kochanku, lub Biskupa Warmińskiego, Morawskiego, Henryka Rzewuskiego albo

Fredry, — to import zagraniczny, import z wiedeńskich kawiarni, lub naśladowania „Bomb“ i „Pchel“ wiedeńskich; dla tego to humorystyka galicyjska pozbawioną jest moralnéj racyi bytu, dla tego wpada ona zbyt często w pospolitość, trywialność i, zamiast uzdrawiać i zapładniać, działa zgubnie na organizm społeczny i zjaławia grunt galicyjski, już pierwéj, przed konstytucyjną erą, wypleniony zgubnem działaniem biurokracyi austryackiéj. Nie pomylę się twierdząc, że tym dwom wpływom, jednemu dawniejszemu, drugiemu bezpośredniemu — przeważnie przypisać należy nieudolność tego kraju do wszelkiéj organicznéj pracy, do wszelkiego poważniejszego zajęcia lub działania. Im także, w logicznem następstwie przypisać potrzeba ową nieporadność przy wyborach i zwykle zbyt blady ich wynik; im odwyknięcie od zasad i silniejszego odczucia przekonań; one nareszcie pozbawiły nas wybitniejszych w życiu publicznem osobistości, których brak przy wyborach dotkliwie czuć się daje.

A przecież, jeżeli te nowe wybory mają mieć jakieś znaczenie w życiu tego kraju, jeżeli nadchodzące sześć lat mają być lepiéj zużytkowane jak poprzednie, trzeba koniecznie ludzi skupić około pewnych ważnych spraw społecznych, wokoło pewnych o tych sprawach pojęć i przekonań, czyli około zasad. Natura nie znosi próżni, tém mniéj znosi ją życie społeczeństw, a szcze-

gólniéj konstytucyjne, i słusznie powtórzyć tu można, co w staro-francuzkim języku Montaigne tak pięknie o duszy powiedział: „de mesme il semble que l'ame esbranlee et esmue se perde en soy mesme si on ne luy donne prinse; et fault tousjours luy fournir d'object où elle s'abbutte et agisse".

Niezbędnym jest w chwili obecnéj taki *object*, na którymby Galicya mogła „s'abbutter et agisr"; próżnia musi być zapełnioną, a nie zapełni jéj jakaś walka nie na czasie o polityczne koncessye, lecz jedynie reforma stosunków wewnętrznych. Oto jest pierwszorzędnéj wagi sprawa wszędzie a szczególniéj u nas, sprawa najważniejsza dla kraju rolniczego, sprawa stosunków wiejskich, która wymaga zbadania sumiennego, troskliwego, odważnego. Tylko na gruncie reformy stosunków wiejskich, jako podstawy wszystkiego, odbyć się mogą poważne owocodajne wybory. Wyleczyć się z zarazy zaszczepionéj przez paszkwilowe dziennikarstwo, otrząść się z prochu, którym przysypała ten kraj biurokracya, a wziąść się śmiało i trzeźwo do pracy na polu stosunków wiejskich,— oto jedyny program wyborczy, który streszczałby się w dwóch głównych punktach: dążenie do utworzenia gminy zbiorowéj i zaprowodzenie zmian administracyjnych na podstawie wniosku Dunajewskiego. Dwie te reformy byłyby ważnym krokiem na drodze materyalnego i moralnego rozwoju tego kraju,

bo rozwiązaniem stosunków wiejskich w duchu i myśli, które tak obrazowo przedstawiła publiczności warszawskiéj „Emigracya Chłopska“ Anczyca.

Dotąd przecież pojedyńcze tylko głosy przemawiają za takim programem wyborczym, a że on na zajadłych natrafi przeciwników, o tém niestety wątpić nie można. Między owemi głosami przemawiającemi śmiało za reformą stosunków wiejskich, pierwszy dał się słyszeć głos p. Pawła Popiela, posła z ziemi krakowskiéj, w liście do wyborców, zwięźle i dobitnie stanął on w nim na gruncie gminy zbiorowéj i zniesienia dualizmu w administracyi. Mąż to światły, znany nietylko tutaj, wnuk po kądzieli ministra Marcina Badeniego, wychowany zatém w najlepszych tradycyach życia publicznego, kształcił się on we Francyi, gdzie go ścisła łączyła przyjaźń ze znakomitościami ówczesnemi stronnictwa katolickiego, Lamenais, Montalembert, Veuillot itd. W kraju należał on do najcelniejszych ludzi, — zawsze umysłowo czynny, niejedną zdrową myśl rzucił w nasze społeczeństwo; przyjaciel najznakomitszych ludzi swoich czasów: Adama Potockiego, Jerzego Lubomirskiego, Helcla, Wielogłowskiego, Leona Rzewuskiego, Maurycego Manna itd., uchodził nieraz za ich Egeryę; założyciel przed dwudziestu laty jedynego poważnego dziennika tutejszego; sam pisarz wytworny, zaprawiony na starożytnych, a

przypominający naszych klassyków, p. Paweł Popiel jest jednym z najsympatyczniejszych typów, stojących jeszcze na granicy przeszłości i teraźniejszości, a pełen niezwykłéj oryginalności; ma on woń starego węgrzyna, takiego, którego już za pieniądze dostać nie można, lecz który odziedzicza się. Silnych, a raczéj wyraziście naszkicowanych przekonań, wygłasza on je nieco ostro, a nawet ostrokątnie; przy głębokiéj nauce i talencie p. Popiel grzeszył często niezręcznością polityczną, — nieraz sprawie, któréj chciał służyć, szkodził; miał dar niewczesnego odzywania się; był czas, w którym dość było powiedzieć, że pomysł wyszedł od Popiela, aby go zdepopularyzować. Długo marzył on bezowocnie o utworzeniu u nas stronnictwa takiego, do jakiego należeli we Francyi jego przyjaciele i stał zwykle odosobniony; obecnie połączył się on stanowczo ze Stańczykami, od których dawniéj nieco stronił. O nim to ktoś powiedział, „że przerzuca zawsze wielkie idee na małe terrytoryum“. Z tem wszystkiem, ludzi tego kroju, tak obeznanych ze sprawami publicznemi i tak zacnie miłujących rzecz publiczną, mało już. Jest to też jedném świadectwem więcéj umysłowego ubóstwa tutejszego, że dopiero teraz kiedy już blisko lat siedemdziesiąt liczy, przypomniano sobie, iż mąż taki winien zasiadać w sejmie. Wybrany na przeszłą sessyą z krakowskiego p. Paweł Popiel, zajął w Sejmie poważne i po-

ważane stanowisko, odznaczył się trafnością zdania, pracą i miarą w przemawianiu, a szczególniéj pięknym wnioskiem o internatach seminaryów nauczycielskich. Już w Sejmie popierał on wniosek Dunajewskiego i reformę stosunków wiejskich, a obecnie on jeden postawił w tym kierunku zdrowy, wybitny program wyborczy, od przeprowadzenia którego zależy przyszłość tego kraju koronnego.

Ze sprawą wyborów do Sejmu, ściśle się łączy nominacya marszałka sejmowego. Zarówno życzenie rządu, jak zdanie przeważnéj w kraju większości, wyznaczają na to ważne stanowisko hr. Ludwika Wodzickiego, jednego z najcelniejszych ludzi młodszéj generacyi. Mówiłem obszernie o nim w jednym z poprzednich listów; odegra on niewątpliwie wybitną rolę; objęcie laski marszałkowskiéj przez młodego a zdolnego hrabiego, tém więcéj byłoby pożądaném, iż niezawodnie przyjąłby ją jedynie w myśli energicznego i śmiałego przeprowadzenia programu reformy stosunków wiejskich. Jako przewodniczący w Wydziale krajowym, hr. Ludwik Wodzicki umiałby brać inicyatywę, umiałby godzić sprzeczności, a żadnemu stronnictwu nie byłby zbytecznie wstrętnym. Podniósłby on poziom spraw publicznych, okazując przykładem, że nie należy w nich upatrywać jedynie osobistego interesu. Od chwili złożenia godności marszałkowskiéj, w ręce Najja-

śniejszego Pana, przez hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, który zbyt jest poważną osobistością, aby wolno go było posądzać w tym względzie o ryszardowską komedyę, nikt tu nie przypuszcza, aby wybór korony paść mógł na kogo innego, jak na hr. Ludwika Wodzickiego. O ile wiem, za tym wyborem przemawia jak najsilniéj u Tronu namiestnik hr. Potocki. Jeżeli przyszła kadencya sejmowa ma być rzeczywiście płodną, musi jéj przewodniczyć mąż przejęty przekonaniem o konieczności reformy, dość energiczny, aby jéj dać silny popęd, dość roztropny i bezstronny, aby przeprowadzając ją, nie narażać interesów kraju.

X.

Kraków, 26 września.

Przygotowania do wyborów i choroba namiestnika, choroba namiestnika i przygotowania do wyborów, przeplatane mylnemi, ale uporczywemi wieściami o przyjeździe Naj. Pana na ćwiczenia pod Gródek, oto czem żyła Galicya od ostatniego listu mojego. Jeżeli wbrew twierdzeniu, że przysłowia zawierają w sobie mądrość narodów, nigdy u nas nie sprawdziło się: że nie ma tego złego, któreby na dobre nie wyszło; [to inaczej rzecz się ma ze słabością namiestnika. Pi-

sałem w chwili nominacyi hr. Potockiego, że zadowolenie i uradowanie z jej powodu były za żywe, zbyt powszechne i jednozgodne, aby mogły trwać długo; po niespełna roku można było się przekonać, że miałem słuszność. Zaczęły się utyskiwania: to, że ustaje sprężystość w administracyi, zaprowadzona przez hr. Gołuchowskiego; to, że namiestnik nie zasłania dostatecznie kraju przed germanizacyjnemi zachciankami ministra oświecenia Stremayera; to, że nie wspiera młodzieży krajowej, oddającej się służbie administracyjnej; to, że nie reprezentuje nawet we Lwowie, tak jak się tego spodziewano; zarzuty te, mniej lub więcej uzasadnione, były nieuniknionem następstwem różnicy, która istnieje zawsze między utworami wyobraźni a rzeczywistością. Kraj spodziewał się i obiecywał sobie zawiele po nominacyi namiestnikiem hr. Potockiego, aby rzeczywistość mogła odpowiedzieć tym nadziejom. Być może, że hr. Potocki nie poszedł tą drogą, o której wspominałem w pierwszym moim liście, mówiącym o jego namiestnictwie; być może, że nie zajął tego wysokiego w kraju stanowiska, z którego jedynie mógłby wpłynąć stanowczo na jego moralną przyszłość; ale znów zarzuty, wspierane drukowaną i słowną humorystyką, zaczęły iść zadaleko, i to w tym znanym tu kierunku; który unicestwia w końcu najkorzystniejsze dla kraju osobiste stanowiska, zamiast je należycie zużytkować. Cho-

roba namiestnika i niebezpieczeństwo grożące jego życiu przez tydzień, spowodowały zwrot w opinii publicznej. Zrozumiano od razu, jak trudno byłoby z korzyścią dla kraju i interesów monarchii, znaleźć obecnie następcę hr. Potockiego; zrozumiano jak wielkiej dla prowincyi wagi jest stanowisko hr. Potockiego w Wiedniu, jak niezbędnem jest jego pośrednictwo wobec Korony i stronnictw politycznych w Austryi; odczuto jednem słowem, że strata namiestnika byłaby o tyle dotkliwszą w tej chwili, że nikt inny nie łączy w sobie tyle dodatnich dla kraju stron, które wyłącznie przywiązane są do jego osoby i jego wyjątkowej pozycyi. Dało to powód do wcale niedwuznacznych objawów współczucia, które jeszcze ściślej zespoliły kraj ze swoim naczelnikiem, które niewątpliwie staną się bodźcem dla namiestnika, a w każdym razie zniewolą go do pozostania na stanowisku, z którego radby zawsze, jak z każdego urzędu, jaknajspieszniéj się uwolnić. Z powodu tej gorącej chęci pozostania w granicach życia prywatnego, opowiadają tu ciekawą anegdotę o hr. Alfredzie Potockim. Był on jeszcze bardzo młodym, gdy pewnego dnia znalazł się w Białocerkwi, w towarzystwie kilku przyjaciół i krewnych Adama Potockiego, panów Branickich i innych; wśród wesołej rozmowy, każdy z młodych ludzi objawił czem życzyłby sobie być w przyszłości. Oczywiście, że bujna młodzieńcza wy-

obraźnia dała się porwać fantazyi; jeden p. Alfred Potocki oświadczył: „że chciałby być prostym panem“. Jak tamtych ambitniejszych, tak i jego życzenia zawiedzionemi zostały i wbrew usposobieniu musiał on przez całe życie być właśnie wszystkiem innem, tylko nie „prostym panem“.

Ruch wyborczy, dla którego tak nie w porę przypadła choroba naczelnika kraju, ruszać się zaczyna; komitety centralne dały mu pierwszy popęd. Walka z czynnikami przeciwnemi interesom kraju, pójdzie, jak się zdaje, dawnym trybem. Co się tyczy różnicy zdań czyli programów, mających na uwadze moralne i materyalne dobro kraju, to zawsze i jedynie stoi na porządku dziennym jedno tylko rozsądne i dodatnie hasło — „reforma stosunków wiejskich!“ Hasło to obejmuje przeprowadzenie przez Sejm znacznej części wniosku administracyjnego p. Dunajewskiego (który zamierza do uproszczenia tak administracyjnych, jak i autonomicznych instytucyi), dalej dążenie do utworzenia gminy zbiorowej, nadanie popędu sprawie wychowania, a szczególniej szkół ludowych; zmniejszenie ciężarów, któremi obarczeni są wszyscy, a przed innemi lud wiejski, co go zniechęca do autonomicznych instytucyj. Wobec tego praktycznego programu, popieranego przez większość dziennikarstwa, wyskoczył, trochę jak z tabakierki, program tak nazwany samborski, o którym wam już pisano; lecz ten figielek nie miał wobec szer-

szej publiczności powodzenia. Autorowie jego znaleźli się w położeniu woźnicy, co po junacku trzasnąwszy z bicza, złamał na miejscu dyszel i nie mógł dalej ruszyć. W samej rzeczy, program samborski mieści w sobie niekonsekwencyę i szkodliwy pomysł; niekonsekwencyą jest żądać od Sejmu aby odwołał uchwałę 2 marca, bo uchwałą tą Sejm wówczas obesłał Radę Państwa, a obecnie od chwili zaprowadzenia bezpośrednich wyborów, obesłanie to nie od niego zależy; szkodliwym zaś pomysłem nazwać należy strącenie na drugi plan reform wewnętrznych, które są naglące a możliwe, dla niepraktycznych i urojonych zdobyczy na rządzie centralnym. Jestto zawsze ta polityka, która, jak w bajce La Fontaine'a, porzuca kawał mięsa dla cienia. Program powyższy błahy i nie na czasie, dziecinny i płytki, policzonym być może bezsprzecznie do rzędu czczych frazesów, tem więcej, że poparł go z zapałem młodzieńczym, jedynie, niedawno powstały lwowski dziennik „Kronika“, a tylko na pół przychylnie wyraziła się o nim „Gazeta Narodowa“, niechcąca zwykle narażać sobie ludzi stawiających jaskrawe programy, lecz zawsze gotowa w każdej chwili uskutecznić odwrót, dla zabezpieczenia własnego stanowiska. Możnaby więc przejść do porządku dziennego nad tym programem, gdyby pod jego płaszczykiem nie ukrywało się coś zupełnie innego, bo niechęć i opozycya przeciw

reformie stosunków wiejskich. Program samborski, to najdogodniejszy sposób utrzymania w całości oddawna wyrobionego i przez wielu popieranego planu, który na tem polega, aby nic nie robić, lub też tak robić, aby nic nie zrobić. Dwa prądy — napozór przeciwne sobie — zawsze stawiać będą przeszkody reformie stosunków wiejskich, a ich przedstawiciele używać będą podobnej do owego samborskiego programu broni, dla jej unicestwienia. Pierwsi, których nazwę rozczochranymi, zadawalając się frazeologją, mniemają, że opozycya i agitacya są najwyższą mądrością, a łudzą się, wierząc, że krzyki i bezmyślny ruch jest życiem. Drudzy, wyrachowańsi i samolubniejsi, chcieliby za pomocą blichtru walki politycznej z Wiedniem, oddalić reformę, bo ona im nie dogadza, nie odpowiada ich drobniutkim interesom, ich egoizmowi i ciasnemu pojęciu o położeniu kraju. Dwa te prądy połączą się zawsze we frazesie, aby udaremnić wszelkie dodatnie działania a razem wzięte, przedstawiają odwieczną anarchję pojęć i czynów; oneto wywarły tak zgubny wpływ na przebieg spraw publicznych w tym kraju, a nie znalazły dotąd dostatecznej przewagi w usiłowaniach dodatnich i rozumnie reformacyjnych.

Aby dokładnie zrozumieć, dla czego tą drogą poszły sprawy publiczne, aby pojąć nareszcie wiele rzeczy, które, z daleka szczególniej, wydawać się muszą arcyniezrozumiałemi, trzeba po-

znać wpływ wywierany na tutejsze społeczeństwo przez miejscowe dziennikarstwo, a tem samem zapoznać się z tym ważnym, a nawet przeważnym czynnikiem. W poprzednim liście zwróciłem waszą uwagę na jednę stronę dziennikarstwa, obecnie zamierzam w tym i następnych przedstawić główne charakterystyczne rysy tutejszej publicystyki. Wiadomość ta konieczną jest do rozpoznania tutejszych, nieco chaotycznych stosunków, tak jak igła magnesowa niezbędną jest na morzu. Prawie zupełna i nieograniczona wolność druku, która istnieje w Austryi, podnosi dla nas znaczenie tego studium, i nadaje mu ważną, bo poniekąd obyczajową cechę.

Ludzie mało tu czytają, ale wierzą w drukowane, wierzą bez wiary, to jest że do tego stopnia dziennikarstwo obałamucało ich i okłamywało, iż stracili już zmysł służący do odróżnienia fałszu od prawdy; ostatecznie więc nie wierzą dziennikom, a przecież wszystko co wydrukowane znajduje u nich wiarę, to jest że wsiąka w nich bez różnicy, czy dobre czy złe, czy głupie czy rozumne, czy bezecne czy uczciwe, i uczy ich samych kłamstwa: kłamstwa uczuć, kłamstwa wyobrażeń, kłamstwa jednych o drugich. Takie niestety, a nie inne, jest działanie przeważnego piśmiennictwa galicyjskiego, to jest tego, które najwięcej jest czytanem. Zapoznając was więc z tutejszem dziennikarstwem, zacznę od

jego najważniejszej, bo najwięcej wpływowej części, którą z góry pozwolę sobie nazwać ujemną.

Na czele tego zastępu stoi niezaprzeczenie „Gazeta Narodowa“ i jej właściciel i redaktor p. Jan Dobrzański. Pan Jan Dobrzański — a i to niemałe rzuca światło na tutejsze stosnnki — jest bezsprzecznie jedną z najważniejszych i przeważnych w Galicyi osobistości. Wpływ jego, obecnie nieco osłabiony, był niemałym, działalność była i jest zawsze niesłychaną; najruchliwszy, najczynniejszy, najzapobiegliwszy to człowiek w tym kraju, a przecież jestto człowiek bez stanowiska; dość powiedzieć, że on, który nie jednego zrobił posła lub dygnitarza, sam nigdy nie mógł zasiąść w Sejmie, aczkolwiek pragnął tego gorąco. Dziwne to zaprawdę zjawisko, żeby człowiek mało ceniony, wywierał tak przeważny wpływ. P. Dobrzański jest też, nie powiem niepospolitą, ale niezawodnie niezwykłą osobistością; twarz jego znacząca, bystre czarne oczy nie patrzą ci się wprost; ruchy rubaszne, postawa wyrażająca siłę woli; obdarzony on jest niezwykłym, rzec można, nadzwyczajnym sprytem, któremu dorównywa brak gruntownego wykształcenia i wszelkiej prawdziwej nauki; umie tak biegle zastępować wiedzę sprytem, że nikt już rozróżnić nie może, co w nim jest jedną lub drugim, i gdzie jedna niby się kończy a zaczyna się drugi.

Jest to może jedyny tutaj człowiek, który na dziennikarstwie zrobił karyerę. Nie da się zaprzeczyć, że p. Dobrzański zna, a nawet poniekąd przywiązanym jest do interesów kraju i społeczeństwa, lecz umiał on zawsze nie tylko godzić je z własnemi, ale nawet znaleźć własną korzyść w publicznej sprawie; zręczność pod tym względem posunął tak dalece, że i tu znowu, trudno dla ogółu odróżnić, gdzie się kończy interes kraju a zaczyna się interes p. Dobrzańskiego i odwrotnie. Bystry jego i praktyczny rozum, wykształcony w szkole największego warcholstwa, skłania się zawsze do anarchii, lecz w razie koniecznej potrzeby, z niesłychaną giętkością, umie być dodatnim i organicznym. On to jest ojcem tak nazwanych słynnych *borb* galicyjskich; obdarzony talentem pomieszania w najdziwaczniejszy sposób wyobrażeń i zagmatwania najprostszych spraw — co dało powód do nazwania go *Borbifaxem* — umie on przecież siłą woli, wytrwałością i energją, przeprowadzić najtrudniejsze przedsięwzięcia i doprowadzić je do pomyślnego skutku. Dziwnie eklektycznie usposobiony, jest on dobrze w naszem społeczeństwie znanym typem człowieka zdolnego do wszystkiego; z równą łatwością prowadzi dziennik i teatr, agitacyę polityczną i sprawy finansowe, potępienie i rehabilitacyę jednych i tych samych osób; z równą biegłością włada bronią niesłusznej napaści i reklamy, przewodniczy zgro-

madzeniom ludowym lub towarzystwu gimnastycznemu; gdyby mu wypadło trąbić z wieży Maryackiej, potrafiłby doskonale, rzekł tu ktoś o nim. Dziwnym zbiegiem okoliczności pan Dobrzański był nauczycielem jednego z najwybitniejszych a zarazem najruchliwszych tutejszych oligarchów, ks. Adama Sapiehy. Nadzwyczaj wiele — w odmiennych warunkach — zostało się z nauczyciela w uczniu, a dzisiaj są to w Galicyi dwa pokrewne typy, jeden w świecie demokratycznym, drugi w świecie arystokratycznym. P. Dobrzański zwykle namiętny, umie w potrzebie być układnym; gniewa się jak Jowisz, lecz posiada także dar przebaczania; srogi w zwadzie, gotów do najserdeczniejszej zgody gdy mu ją wyższe nakazują względy. Były czasy i sprawy, w których p. Jan Dobrzański rzeczywiste oddał przysługi.

W czasach zupełnego odrętwienia, w czasach w których biurokracya i germanizacya, przygłuszały najzupełniej miejscowe żywioły w Galicyi, w czasach w których szlachta dla sprawy publicznej zobojętniała, a dwory obywatelskie przedstawiały istny obraz domu państwa Jowialskich; w czasach, gdy Lwów jedną tylko żył żądzą naśladowania Wiednia, wtedy niezaprzeczenie p. Dobrzański swoją ruchliwością, energią, podwojoną czynnością, przyczynił się wielce do obudzenia swojskiego życia, do starcia z Galicyi znamion germanizmu, a ze Lwowa pokostu wiedeńskiego.

Pod temi względami Lwów szczególniej, wiele mu zawdzięcza; ale on też jest w znacznej części twórcą i dzisiejszej Galicyi i dzisiejszego Lwowa, wyrwał je z paszczy jednego potworu, ale rzucił w objęcia innego, wprawdzie swojskiego przecież niebezpiecznego, bo w objęcia bezprzykładnego warcholstwa i anarchii pojęć i obowiązków. Wszystko co obecnie napotykamy w Galicyi, ohydne, szkalujące, nie szanujące nikogo i nie szanujące siebie dziennikarstwo; tak nazwana, podobno przez p. Lama: *tromtadracya* (galicyjska demagogia), zmienność zdania, brak zasad, osobiste interesa w sprawie publicznej, całe pokolenie dziennikarzy z pod ciemnej gwiazdy, karczemna polemika, [wszystko to Galicya zawdzięcza panu Dobrzańskiemu: on jest tego wszystkiego twórcą. Sam od najdawniejszych czasów, czynny piórem, aczkolwiek pisać poprawnie nie umie, należał do różnych dzienników i wydawnictw, a od przeszło dwudziestu lat ma swój własny organ, który zmieniając kilkakrotnie nazwę, przyjął ostatecznie głośne miano „Gazety Narodowej“ nazwanej „Narodówką“. Dziś p. Dobrzański to „Narodówka“, „Narodówka“ to p. Dobrzański. Dokończmy więc portretu człowieka, odrysowaniem głównych znamion dziennika.

„Gazeta Narodowa“ jest jedynym dziennikiem tutejszym, który znaczne przynosi korzyści i zyski, ma ona ze cztery tysiące prenumeratorów, co jest

istnym fenomenem, tutaj, gdzie liczba abonentów dziennika nie przechodzi zwykle dwóch tysięcy; ma ona znaczne dochody z anonsów, które właściciel umiał zdobyć na wszystkich znaczniejszych tutejszych instytucyach kredytowych. Redagowaną jest najczęściej niżej mierności, językiem nie polskim ale galicyjskim, nieraz pospolita i trywialna, bez literackiej wartości, umie jak żaden wyżeł angielski, wietrzyć i uchwycić zkąd wiatr wieje; umie zawsze uderzyć w słabą stronę obywatelstwa wiejskiego, nie narażając swej popularności w sferach miejskich; będąc organem demokratycznym, schlebia wszystkim złym skłonnościom szlacheckim, i tu znowu tak jest zręczną, że nigdy rozróżnić nie można, czy ona kieruje opinią publiczną, czy też daje się nią powodować; zmienia zdanie o rzeczach i ludziach z prestidigatorską biegłością, z wielką swobodą pisze dziś czarno a jutro biało, wynosi dziś pod niebiosa a jutro mięsza z błotem; o jednych i tych samych osobach, o mężach stanu, o literatach, o artystach, nie raz ale sto razy, pisała najpierw jako o wielkich znakomitościach, a w tydzień potem, jako o największych miernościach — stosownie do chwilowej potrzeby; pod tym względem „Gazeta Narodowa jest najzupełniej bezwstydną. Nikt dotąd nie mógł jej dowieść aby była przedajną, i nie jest ona przedajną, na sposób wiedeńskich dzienników; nie, ona wprost za pieniądze nic nie zrobi,

artykułu nie napisze, reklamy nie umieści, ale sprzedaje się, że tak powiem, cała i od razu *en gros,* to jest poświęca prawdę, rozsądek, godność, dla ogólnego interesu dziennika, dla prenumeraty i popularności, czasem nawet dla ważniejszego osobistego interesu właściciela. Wiadomości podaje bez krytyki, częściej fałszywe niż prawdziwe, bo — rzecz godna uwagi — fałszywe najlepiej tutejszej publiczności smakują; nie zadaje sobie nawet pracy odwoływania ich; ciska potwarze z niesłychaną śmiałością, i parę razy stała się przyczyną tragicznych katastrof; aby usunąć lub obalić to co stoi na jej drodze, lub zdaje się jej że stoi, gotowa się chwycić najostateczniejszych środków i wtedy nie przebiera w nich, osobiste napaści, niesumienna polemika, terroryzm, oto jej ulubiona broń, zasad żadnych, przekonań również, znajdziesz w niej tylko zdanie i to często zmieniające się w przeciągu doby. „Gazeta Narodowa“ broni wytrwale interesów kraju i niezawodnie gdy przyjdzie je poświęcić, zawaha się; ale nigdy nie zawaha się rzucić spraw krajowych na pastwę złych namiętności, złej wiary i kłamstwa.

Pomięszanie w niej pojęć wielkie, nigdy ona nie była i nie jest antireligijną, ale ma swoją dziwną i dziwaczną religię, swój katolicyzm, który obchodzi się bez dogmatów i Papieża. Piętno wyciska na niej p. Jan Dobrzański, aczkolwiek teraz mało pisuje; współpracowników ma

kilku, a między nimi i zdolnych i pracowitych, jak np. Platona Kosteckiego.

„Gazeta Narodowa“ posługuje się przecież zwykle, tak jak całe dziennikarstwo galicyjskie, młodymi ludźmi, którzy szkół nie skończyli, zarozumiałymi o tyle, o ile byli nieukami. Z równą oni swobodą wydają wyroki o mężach stanu i o aktorkach, o wielkich i małych sprawach tego świata, bez polotu, bez fantazyi nawet młodzieńczej, lecz z pychą ignoracyi; dla dopełnienia śmieszności, przybierają pseudonimy najznakomitszych w świecie publicystów. Plagiaty i tłómaczone żywcem artykuły a podane za swoje, sypią się z pod piór tych niepowołanych kierowników opinii publicznej. Są to jednak przemijające i zmieniające się plagi; głównym motorem „Gazety Narodowej“ jest jej właściciel, to też tak jak w jego niepoprawnym ale wyrazistym stylu, tak i w dzienniku jest pewna brutalna siła, jest śmiałość, która imponuje i narzuca się obcesowo. „Gazeta Narodowa“ jest czemś pośredniem między dziennikiem a pałką. Cóż na to powiecie, że taki dziennik jest bądź co bądź tutaj potęgą? Nie wielu, ale wszyscy boją się go, i oto sekret tej potęgi. Nie tyle z przywiązania, potrzeby lub przekonania, jak raczej ze strachu, czytają go. Nikt nie chce się dostać do „Gazety Narodowej“, każdy unika narazić się jej, nikt nie ma chęci dostania pałką po głowie, nawet najwytrawniejsi i najzręczniejsi

publicyści wymijają polemikę z nią, nikt jej nie szanuje, boją się wszyscy: jest to istny terroryzm, którego „Gazeta“ bardzo zręcznie, nie nadużywa lecz którym posługiwać się umie wybornie. Terroryzm tłómaczy całkowicie powodzenie „Gazety Narodowej“ w społeczeństwie słabem i rozbitem, które dotąd nie zdobyło się na zrzucenie z siebie tego upokarzającego jarzma. Terroryzm i monopol, oto dwie bronie „Gazety“. Monopol utrzymywała ona przez długie lata i stała na jego straży zajadle i wściekle, umiała ona w krótkim czasie zwalić z nóg każdy nowo powstały dziennik, każdy z nich we Lwowie miał przy niej tylko efemeryczne istnienie, aż nareszcie ustalił się nieco silniej obecny jej antagonista „Dziennik Polski“.

W skutku tego osłabł nieco wpływ „Gazety“, ustał jej monopol, musi się ona rachować z „Dziennikiem“. Nareszcie, wielka miłość ojcowska, która jest charakterystycznym rysem dziwnej osobistości p. Jana Dobrzańskiego, popchnęła go na niebezpieczne teatralne tory; dziś teatr ze szkodą „Gazety“ absorbuje p. Jana Dobrzańskiego, a przyznać trzeba, że jest on wcale dobrym przedsiębiercą; we Lwowie jedynym możliwym dyrektorem teatru, już dlatego że jest jedynym, który nie ma przeciw sobie „Gazety Narodowej“.

Nic może nie określa lepiej stanowiska p. J. Dobrzańskiego w tutejszem społeczeństwie, jak dwie nazwy, które mu dało to społeczeństwo:

Jana IV i *Jancia.* Ostatecznie przeważył *Jancio,* lecz ten *Jancio* jeszcze często jest istnym tutejszym *Janem IV.*

Rozszerzyłem się może zbytecznie nad „Gazetą Narodową“, ale podając jej charakterystykę, odmalowałem zarazem obraz całego owego ujemnego dziennikarstwa galicyjskiego, o którem dochodzą was różne nie raz wieści. Pan Dobrzaństki stworzył formę, a podług niej, każdy z tej kategoryi dziennik galicyjski, jest odlanym.

Pod opiekuńczemi skrzydłami „Gazety“ wychodzi we Lwowie pismo niby literackie „Ruch literacki“, prototyp mierności, a w którym popisują się młode geniusze i studenckie aspiracye literackie. Jest to pomocniczy oddział bardzo nieregularnego wojska.

Obok „Gazety Narodowej“ wychodzi we Lwowie jej antagonista „Dziennik Polski“. Jedyną rzeczywistą racyą bytu tego organu, w chwili jego założenia, było położenie końca monopolowi „Gazety“, a przecież „Dziennik“ poszedł w ślad za nią i ulanym został w tej samej co ona formie, aczkolwiek stawał w obronie odmiennych kierunków politycznych, już dlatego samego, żeby się „Gazecie“ sprzeciwiać. „Dziennik Polski“ zatem, pod względem — że się tak wyrażę — moralności publicznej, nie różni się od „Gazety Narodowej“, przeciwnie jest on krokiem naprzód, na drodze bezsumiennego i paszkwilowego dziennikarstwa

galicyjskiego. Założony pierwotnie jako organ p. Ziemiałkowskiego i jego stronnictwa, zwanego z powodu wielkiej dla naczelnika uległości, stronnictwem *Mameluków,* nie przestał sprzyjać p. Ziemiałkowskiemu, gdy ten na wyższe wydostał się stanowisko, lecz tak dalece go kilkakrotnie skompromitował, że pan minister rad nierad musiał się go wyprzeć, lecz nigdy zupełnie stanowczo. Główną siłą redakcyjną tego dziennika, jest p. Jan Lam, który w chwili jego założenia opuścił „Gazetę Narodową“ i p. Dobrzańskiego; pisałem o nim obszernie w poprzednim liście, powtarzać się zatem nie będę; nie była to przecież ani polityczna ani społeczna siła, ale rzec można, że urokiem i powabem swojego dowcipu, pan Lam stworzył i utrzymał przy życiu ten dziennik, a nadał mu chwilową racyę bytu, ciągłą, nieustającą, bezprzykładną wojną z p. Dobrzańskim, i walką przeciw wszystkiemu i wszystkim, których pan Dobrzański bronił. Jako odpowiedzialny redaktor tego dziennika wystąpił, i po raz pierwszy dał słyszeć o sobie p. Rogosz, indywidualność, około której wiele narobiono niesmacznego hałasu, lecz nad którą przynajmniej nie warto się długo zastanawiać: pospolicie ujemna to ilość. Był on najczarniejszym punktem „Dziennika Polskiego“. Po katastrofie głośnego procesu między pp. Rogoszem i Dobrzańskim, pierwszy opuścił „Dziennik“, przynajmniej pozornie; niedawno zaś wstąpił do

niego, człowiek bezsprzecznie zdolny, szczególniej mówca porywający p. Romanowicz, lecz trybun nieco teatralny, usposobienia nerwowego, bez konsekwencyi i głębszej doniosłości politycznej. „Dziennik Polski“ jak powiedziałem, w głównych rysach, zupełnie podobny do „Gazety Narodowej“, tylko że jeszcze dalej idzie w zaczepkach osobistych, w nieszanowaniu prywatnych stosunków, w oszczerstwach i potwarzach, w kalaniu wszystkich i wszystkiego. „Gazeta“ czyni to zawsze z myślą i w bezpośrednim celu, „Dziennik“ oddaje się temu platonicznie: *l'art pour l'art,* w tem jak się zdaje przekonaniu, że skandal jest najlepszą reklamą, najlepszym środkiem zdobycia prenumoratorów. „Dziennik“ jest nierównie mniej swojskim niż „Gazeta“, jest to organ kosmopolityczny, czego „Gazecie“ największy jej nieprzyjaciel nie zarzuci. „Dziennik“, to naśladownictwo wiedeńskich gazet. Bez względu na tradycyę, przekonania, a przedewszystkiem interesa kraju, hołduje on liberalizmowi wiedeńskiemu, staje się apostołem bezwzględnej wyznaniowości, rzuca się na wszystko co dodatnie w społeczeństwie z widoczną rozkoszą. W kwestyach politycznych logiczniejszym jest od „Gazety“; co się tyczy stosunku kraju do monarchii, widzi rzeczy jaśniej i na tem polu nie szuka popularności, często trafnie ocenia położenie, słowem, mniej w nim lokalnego warcholstwa, a więcej skrzywionych i spaczonych

wyobrażeń zaczerpniętych z obczyzny. Z wyjątkiem p. Lama i tego co on pisze — a p. Lam nieraz z dołu, przechodzi na pierwsze piętro i daje wstępne artykuły — „Dziennik“ redagowanym jest bez talentu, także językiem galicyjskim, bez dobrego smaku, zdradza często grubą ignorancyę, czego dowodem jego belletrystyczne rozprawy i teatralne recenzye. Zatruwa on społeczeństwo obcemi nam i z obczyzny wziętemi niezdrowemi teoryami, a równie jak „Gazeta“ zatruwa złą wiarą, kłamstwem, lekceważeniem i poniewieraniem godności pióra i słowa, cyniczną bezwzględnością w podnoszeniu kwestyi osobistych. Mniej czytany od chwili jak dowcip p. Lama nieco osłabł, nie doszedł on nigdy do ilości prenumeratorów „Gazety“, a nawet, o ile wiem, wspierany jest z kieszeni zmieniających się protektorów. Pod jego wyraźną i bezpośrednią opieką, wychodzi pismo tygodniowe „Tydzień“, w którem p. Rogosz dalej prowadzi swoją literacką karyerę, tak smutnie przerwaną; pisuje w nim także p. Lam, lecz tam niepoznałbyś jego pióra; w ogóle pismo to jest zbiorem i prototypem komunałów i różnego rodzaju napaści wydawanyoh pod firmą p. Rogosza, jako środek rehabilitacyi! I cóż powiecie, że pismo to ma więcej abenentów, niż równie mierny, lecz pod mniej kompromitującą firmą wychodzący „Ruch“. Widocznie zapach skandalu

nie prędko wietrzeje, a miłym jest tutejszej publiczności.

Aby zakończyć o tym przykrym przedmiocie, wspomnieć jeszcze wypada o świeżo założonej we Lwowie przez redaktora „Szczutka“ — „Kronice“. Mówiłem i o „Kronice“ i „Szczutku“ w poprzednim liście. „Kronika“ nie ma obecnie rzeczywistej racyi bytu, bo miećby ją mogła jedynie zrywając stanowczo i otwarcie z powyższym rodzajem dziennikarstwa; nie ma ona przyszłości, bo aczkolwiek znajduje się w uczciwych i sumiennych rękach, nie umiała utorować sobie odmiennej drogi; do tej chwili redagowana głównie nożyczkami, nie dała dowodu wielkiego zmysłu politycznego, popierając na pierwszy występ program samborski.

W kraju znanym ze wstrętu do czytania, powyższe dzienniki mają przecież czytelników i mają ich więcej niż inne, więcej niż poważne książki lub utwory odznaczające się artystycznem wykończeniem: to jedno usprawiedliwia owe dzienniki, nie wobec własnego ich sumienia, ale wobec własnego interesu. Dziennikarstwo to, jest rzeczywiście tylko interesem; namaszczenia, wyższego pojęcia o powołaniu publicystyki, daremniebyś tam szukał. Cóż niestety powiedzieć o społeczeństwie, w którem podobny interes udaje się i kwitnie, które taki interes bezmyślnie, otrętwiale, apatycznie wprawdzie, ale nie mniej dlatego grzesznie popiera? i tu niewiedzieć znowu kto winniejszy:

czy to dziennikarstwo, czy społeczeństwo, które je znosi? Dziennikarstwo to nie przedstawia nic; ani stronnictw, ani przekonań, ani zasad, ani nawet osobistości, chyba że sporadycznie weźmie którą z ważniejszych w opiekę, jak to uczynił „Dziennik Polski“ z p. Ziemiałkowskim. A przecież ten sposób pisania, ten rodzaj dziennikarstwa wsiąka w społeczeństwo tutejsze, działa na nie deprymująco, i jemu przypisać należy wiele smutnych, czasem gorszących objawów, które dla was np. zgoła są niezrozumiałemi. Punktem kulminacyjnym żywota tego dziennikarstwa był ów głośny i gorszącej pamięci proces między pp. Dobrzańskim i Rogoszem, którego przykry odgłos doszedł w swoim czasie i do was. Bezprzykładnie, do ostatnich granic nieprzyzwoitości, doprowadzoną została wtedy polemika osobista, a że nie starczyły dla niej szpalty dzienników, codziennie wychodziły dodatki zawierające wzajemne najohydniejsze oskarżenia; szczytem tego skandalu było po takich oskarżeniach, pogodzenie się wobec sądu obydwóch przeciwników. Skandal ten, uwłaczający powadze opinii publicznej, powadze dziennikarstwa i moralności publicznej, dał powód hr. Tarnowskiemu do napisania znakomitego i pięknego artykułu „Królowa Opinia“. Zdawać się mogło, że cała ta sprawa zada cios stanowczy owemu dziennikarstwu; gdzietam, nie straciło ono ani jednego czytelnika, ani straciło na wzięciu.

Przyznać jednak należy, że od owej chwili nieco zmodyfikowało się, szczególniej we wzajemnej ze sobą polemice.

Pojmiecie łatwo, do jakiego stopnia podobny stan rzeczy zgubnie oddziaływa na ducha publicznego i na sprawy publiczne; pojmiecie jeszcze łatwiej, do jakiego stopnia szkodliwym on jest w tak ważnej chwili, jak chwila wyborów, a potem nie dziwcie się wielu rzeczom, o których was ztąd wieść dochodzi.

W przyszłych listach, przedstawiając wam obraz reszty tutejszego dziennikarstwa, starać się będę zbadać: o ile ujemne znajduje zrównoważenie w dodatniem.

XI.

Kraków, 15 października.

Oryginalna komedya, uwieńczona na warszawskim konkursie, odegrana na otwarcie zimowego kursu w teatrze krakowskim, komedya napisana po polsku, a osnuta na życiu i obyczajach angielskich: oto przyznacie, dostateczne powody, aby poświęcić list ten rozbiorowi tego niezwykłego zdarzenia na niwie literatury naszéj. A jednak i te liczne powody nie skłoniłyby mnie do zapełnienia szpalt waszego dziennika uwagami nad do-

piero co odegraną tutaj komedyą, gdyby nie jakiś dziwny urok sztuki, który mnie przynajmniéj, przyciąga i zmusza poniekąd do wyrażenia na zewnątrz myśli obudzonych tą misterną komedyą, urok, który niezawodnie był także głównym powodem, że pomimo wielu przyczyn przemawiających przeciw uwieńczeniu, sędziowie warszawscy uwieńczyli ją przecież.

Czy to oryginalna komedya, czy naśladowana? Naśladownictwem komedya ta być nie może; takie rzeczy albo się pisze samemu, albo tłomaczy się je żywcem. Oskarżać zaś kogoś o taką mistyfikacyę, o podobny fałsz, o taki plagiat brutalny, o taką płaską krotofilę, z powodu komedyi tej wartości — nie wolno! Nie wolno, nie mając w ręku dowodów, jak nie wolno oskarżać o nieuczciwą grę w karty, nie mogąc tego dowieść.

Czy „Pojedynek Szlachetnych“ nie jest osnuty na nowelli lub powieści angielskiéj? Tego nie wiem, ale nic przemawiałoby to ani przeciwko sztuce, ani przeciwko autorowi, ani przeciwko konkursowi. Shakespeare wszystkie niemal swoje komedye osnuł na nowellach włoskich, Molière i Beaumarchais na hiszpańskich, Fredro na polskich, angielskich i francuzkich. Byle rzecz była pełną życia i prawdy, byle ruszała się i postępowała naprzód na scenie, byle osoby były z krwi i kości, byle efekta były jędrne i zdrowe, a wszystko niesprzeczne z odwieczną psychologią, —

słowem byle to była dobra komedya, mniejsza o to, czy bajka powstała w głowie autora podczas snu czy na jawie, lub też wziętą została z zapomnianéj, w jakimś miesięcznym „Przeglądzie“ powiastki. Nowella mogła być dobrą i mogła spełnić swoje jednomiesięczne zadanie; talent dramaturga stawiając ją na scenie, przykuwając ją do niéj, nadał jéj i wlał w nią długotrwałe i dzielniejsze nierównie życie, a tém samém spełnił swoje zadanie.

Komedyę w czterech aktach p. Sewera „Pojedynek Szlachetnych“, otacza jakaś niezwykła atmosfera, zdrowego, orzeźwiającego powietrza; a nietylko niezwykła, że wyłącznie i na wskróś angielska, ale dlatego także, że przeźroczystością i czystością swoją odmienną jest zupełnie od téj, którą wytwarzają wokoło nas teatra i literatura dramatyczna. Powiedziećby można, że „Pojedynek Szlachetnych“ pod względem ducha i treści, jest antipodem nowoczesnego teatru; a co dziwne, a zarazem przyjemne, oto że idealizm téj komedyi, wprost przeciwny dzisiejszemu realizmowi, ma przecie w sobie angielską praktyczność i to ziarnko zdrowego rozumu, którym się naród angielski odznacza. Znajomość dokładna stosunków, obyczajów, zwyczajów angielskich w najdelikatniejszych odcieniach, jest tu zdumiewającą, powiem nawet odurzającą. Najwyższą, najpierwszą zaletą tego utworu jest, że pozostaje od początku do

końca wiernym subtelnemu tytułowi swojemu. — Ciągle i wszędzie u wyższych i u niższych, szlachetność jest tu głównym motywem dramatycznym, główną sprężyną działania: istny to pojedynek między najdelikatniejszemi uczuciami ludzi ze sercem, rozumem i sumieniem, a widz obawia się wciąż, czy ta obustronna szlachetność odniesie zwycięztwo w takiéj epoce jak nasza. Oto prawdziwy interes sztuki, oto co przywięzuje do niéj, jeszcze więcéj może jak wytworne postacie, które się w niéj ukazują. Aby ta szlachetność z pozorami prawdopodobieństwa zwyciężyła, trzeba było przenieść działanie za morze, do téj staréj Anglii, w któréj siła tradycyi — i tam już gasnącéj — dozwala jeszcze w niejednym zakątku pielęgnować szlachetność uczuć, nadaje hart i męzkość, tak wewnętrznemu jak zewnętrznemu działaniu społeczeństwa, które unikając starannie zbyt gdzieindziéj spospolitowanego pojedynku, zachowało przecież obyczaj wspaniałych turniejów moralnych, podnoszących jego zacność i godność.

Przypatrzmy się więc, jako szlachetnemi obdarzeni upodobaniami widzowie, téj prawdziwie rycerskiéj, a w dzisiejszych czasach tak wyjątkowéj walce.

Oto słyszymy dźwięczny głos dziewczęcia: śpiewa walca, widocznie nie drapuje się w togę artyzmu, ani też nie choruje na muzykę przyszłości; nie wstydzi się śpiewać banalnego walca;

musi być wiele prostoty w jéj duszy. Po chwili ukazuje się w ogrodzie Lidya; w nieco długim monologu, odsłania ona stan swéj duszy. Przedstawia się tu nam z wielką precyzyą, a nie bez wdzięku, kobieta angielska nieco sentymentalna, a przecież obdarzona tą energią, która pozwala przeczuwać najsilniejsze z jéj strony postanowienia i najdzielniejsze czyny; jest w niéj coś z Ossyana i coś ze Shakespeara, a w osobie jéj widną jest ta dystynkcya, pochodząca z wewnętrznego poczucia własnéj godności, która góruje nawet nad pozorami. Przestrzedz należy, iż sztuka cała równie jak i występujące w niéj charaktery, zgoła nie mogą być zrozumianemi, jeżeli nie zna się Anglii, czy to z dłuższego w niéj pobytu, czy za pomocą intuicyi, wspartéj znajomością obyczajowéj literatury tego kraju; lecz przy téj nieco dokładniejszéj znajomości, wszystko się tu rozwija logicznie, zgodnie z prawdą, a nieraz uroczo. Lidya znajduje się w tém dziwném usposobieniu, w którém tak często, nie spodziewając się, oczekujemy przecież przybycia drogiéj nam osoby. Świadomość położenia nie dozwala jej oczekiwać przybycia Juliusza Stanleya, a przeczucie mówi jéj, że przecie przybędzie, „lecz czekać, gdy nie oczekujemy, to okropnie“. Wtem daje się słyszeć tentent konia, a Lidya wydając okrzyk: Juliusz! wybiega za scenę. Nucąc ulubionego walca, powraca z Juliuszem; zawiązuje się rozmowa; wi-

doczném jest, że Lidyi cięży na sercu jakaś tajemnica, któréj wypowiedzieć nie śmie, a któréj pozbyćby się rada. Dowiadujemy się, że Juliusz otrzymał w pojedynku lekką ranę, lecz o jego przyczynie Lidya nic nie wie; odchodzą nad brzeg poblizkiego jeziora, a Juliusz jak jaki mussetowski bohater, mówi: „Ah, jak tu dobrze, tak dobrze, że aż cicho“. Wszystko to usposabia nas sympatycznie dla téj zagadkowéj nieco pary. Od pierwszéj chwili nikt nie posądza Lidyę o pospolitą schadzkę, wyznaczoną przez źle wychowaną pannę, która przez garderobę wybiegła do ogrodu dla potajemnéj rozmowy ze swoim Adonisem. Nie zachodzi nawet potrzeba wytłomaczenia sobie téj schadzki wyjątkową wolnością i swobodą, których używają panny angielskie, bo od razu widz czuje, wie, przekonanym jest, że musi być jakiś ważny a szlachetny powód téj tajemniczéj schadzki, że to nie romansik, ani intryżka, lecz że tu w grze są wzniosłe uczucia. I w saméj rzeczy dowiadujemy się z rozmowy ex-furmana Bulla i żony jego Peggy, równie jak z powtórnéj rozmowy Juliusza z Lidyą, że nasza bohaterka, córka zmarłego lorda Brugham, a zostająca pod opieką krewnych i przyjaciół ojca, lordów Harvey i North, od kilku miesięcy poznała w szkółce wiejskiéj Juliusza Stanley. Juliusz nic nie wie o jéj pochodzeniu, ani téż że jest panią zamku Brugham; mniema przeciwnie, że jest wiejską nauczycielką. Po co

ta tajemnica, czy mistyfikacya? — Poucza nas o tém druga rozmowa Lidyi z Juliuszem, w któréj Lidya podsuwa mu ostrożnie przypuszczenie, iż może się kiedyś pokaże, że pochodzi ona z wysokiego rodu i że jest bardzo bogatą. Stanleya przypuszczenie to, uczynione niby żartem, przeraża. On człowiek pracy, on chcący wszystko zawdzięczać sobie samemu, wzdryga się na myśl zaślubienia bogatszéj od siebie, chociażby nad wszystko ukochanéj kobiety, rozwija przed Lidyą piękną teoryę o niestosowności, o nieszlachetności mężczyzny zaślubiającego bogatszą i wyższego stanowiska społecznego kobietę, oświadcza się stanowczo, gorąco, prawie namiętnie, przeciwko podobnym związkom. — Lidya wiedziała o tém. Lidya umiała czytać w duszy ukochanego, przekonaną była, że straci na zawsze Stanleya, jeżeli prawda się wykryje, i dla tego musiała się uciec do tajemnych schadzek, do podstępu niemal; ale nie dla tego, żeby miała się ukrywać przed opiekunami: nie, ona nie uważa Juliusza jako kochanka, on w jéj sumieniu jest jéj narzeczonym i bądź co bądź musi być jéj mężem. Zaiste w czasach, w których tylu ubiega się za posagami, w których jak we wszystkiém, tak i w małżeństwie dobry interes jest głównym, jeżeli nie wyłącznym celem, taki Stanley wydawać się może oryginałem, wydawać się może nieprawdopodobném zjawiskiem. A jednakże szczęściem dla go-

dności natury ludzkiéj, należy on dzisiaj nawet może do wyjątków, ale nie do nieprawdopodobieństw. Są jeszcze szlachetne serca, są delikatne usposobienia, które wzdragają się na myśl o małżeństwie z interesu, i które zamiast gonić za posagiem, cofają się przed nim, które nawet do tego stopnia posuwają wytworność uczucia własnéj godności i niezależności, że unikają i bronią się przed miłością, przynoszącą ze sobą złote kajdany; są, dla chwały naszéj cywilizacyi; bo zaiste, jeżeli najwyższem barbarzyństwem jest sprzedaż kobiety, to nikczemniejszém jeszcze barbarzyństwem cywilizacyi, jest zaprzedanie się mężczyzny. Juliusz Stanley należy do owych wyjątków; jest to człowiek pracy, pełen szlachetnych uczuć i pięknych porywów; nie wolnym on jest przecież od owych przesądów i podejrzeń względem wyższych i bogatszych warstw społeczeństwa, którym zwykle podlegają ci, którzy wchodząc w arenę życia, jedyną znajdują podporę we własnéj, osobistéj wartości. Wcale nie tai się on ze swojemi pod tym względem wyobrażeniami, lecz wyraża je umiarkowanie i wykwintnie. Wśród téj rozmowy, która odkrywa przed nami zawiązek intrygi; odkrywając zarazem nietylko sytuacyę, ale także i charaktery, a która rozciekawia widza, daje się słyszeć gwizdnięcie piszczałki, na odgłos któréj żokieje przelatują przez scenę. Gwizdnięcie to przeraziło Lidyę, żegna się pospiesznie z Ju-

liuszem i schrania się do pawilonu Peggy. Lordowie Harvey i North wchodzą na scenę; słyszeli oni rozmowę Juliusza z Lidyą i zrozumieli od razu położenie — sercem; zrozumieli że Stanley gdyby się dowiedział kto jest Lidya, nie zaślubiłby jéj; teorya jego z jednéj strony zacna, wydaje się przecie lordom wypływem zbytniéj dumy i pychy, i tu zaczyna się ów pojedynek szlachetnych uczuć, którego różne przejścia i zawikłania przemawiają sympatycznie do najlepszych, najwznioślejszych instynktów natury ludzkiéj; tu się zaczyna ta gra, ta walka nader misternych i subtelnych uczuć i pojęć osobistości w wysokim stopniu szlachetnych. Lordowie, którzy od dawna wiedzieli o znajomości Lidii z Juliuszem, zrozumieli, że ona nie może być bez niego szczęśliwą; związek ten nie bardzo im dogadza, lecz przedewszystkiem idzie im o szczęście Lidyi, o spełnienie sumienne obowiązku; muszą oni wiedzieć i nabrać przekonania, że Stanley ma w sobie moralne warunki, zdolne uszczęśliwić Lidyę; przytém chcieliby go może przekonać, że mylnemi są jego podejrzenia, nieugruntowanemi jego przesądy. — A jednak, jak dokonać tego wszystkiego, jak spełnić zadanie, skoro niewątpliwie młodzieniec zniknie na zawsze, gdy się dowie o prawdziwém położeniu rzeczy? Pomimo zatém oburzenia Lidyi, pomimo obawy Northa, co na to powiedzą Whigi, uciekają się do nieco feudalnego środka, więżą

Stanleya i każą go zawieść do zamku Harvey. — Fakt uwięzienia w dzisiejszych czasach wolnego obywatela Anglii, jak się wyraża Lidya, może się wydawać nieco nieprawdopodobnym i brutalnym, a przecież w tych granicach i rozmiarach jest najzupełniéj prawdopodobnym, a dla widza brutalnym nie jest, bo od pierwszéj chwili przywiązuje się on do tych dwóch starców, popełniających ten niby niesłychany gwałt, ufa i wierzy im, odgaduje, że oni nie zdolni popełnić nikczemności; tyle bowiem jest w nich dystynkcyi, tyle szlachetności, tyle rozumu i serca; widz czuje, że to aresztowanie jest co najwięcej serdecznym żartem, że celem jego nie jest prześladowanie, ale uszczęśliwienie, przebacza zatém, przebacza nawet, że nieoceniony North nieco humorystycznie zapatruje się na całą tę sprawę i jako prawdziwy Anglik uradowanym jest, „że go to wszystko kolosalnie bawi“, jego — który jak sam późniéj wyznaje, „rzadko, ale za to dobrze się bawi“; widz przebacza, bo w tej zabawie jest dużo serca, dużo uczciwości i szlachetności; a w chwili, gdy z końcem pierwszego aktu zasłona spada, cała ta sytuacya, w wysokim stopniu szlachetnie go rozciekawia.

Ale bo też jakżeż nie mają zaciekawić i wzbudzić zaufania te dwa przepyszne typy wielkich panów angielskich, te dwa typy lordów, należących do stronnictwa torysów, a zacnych opieku-

nów uroczéj Lidyi. Dwa te typy współczesne Welingtonów, Peelów, Palmerstonów, Dudley Stuartów, to przedstawiciele staréj, wspaniałéj, potężnéj, rozumnéj, szlachetnéj, bo szanującéj siebie Anglii, téj Anglii niknącéj już niestety — jak wszystko co dobre — wraz ze swojemi typami w mgle czasu. Jeden z tych lordów, Harvey, to typ rozumu, powagi bez przesady, energii i silnéj woli, dobrego smaku i wykwintnego humoru; zimny na pozór a pełen serca, umie on spełniać najpoważniejsze obowiązki z prawdziwie pańskiém odcieniem swobody i wesołości; widocznie musi niepospolite w sprawach swojego kraju zajmować miejsce, lecz zarazem nie zapomina o obowiązkach względem rodziny, a te, które wziął na siebie, chce sumiennie i godnie spełnić; to wielki pan; bo to człowiek wzniosłych uczuć. A ten drugi, jego przyjaciel North; co to za nieoceniona postać; to także pan, ale odmiennego usposobienia, to humorysta, to ten Anglik, który chce się koniecznie bawić, a nie umie się bawić pospolicie, facecyonista i nieco tuzinkowy polityk, ale człowiek wyborny, ale magnat prawdziwy, to trochę nasz *Panie Kochanku.* — Niezawodnie mniéj znakomity mąż stanu jak Harvey, już dla tego samego, że dużo więcéj od tamtego mówi o polityce, a boi się zanadto Whigów; lecz ileż serca, ileż ciepła, ile delikatnych odcieni uczucia w jego angielskim na wskróś humorze i komicznem go-

nieniu za zabawą. Jeżeli co dopełnić może dobre o tych panach wyobrażenie, to zaiste dopełnia je ich otoczenie i ich stosunek do służby i domowników, o którym obszerniéj pomówię niżéj. Ale już w pierwszym akcie ten były stangret Bull, zostający na łaskawym chlebie, a który „milczy i powozi“, ta zawsze nieszczęśliwa żona jego Peggy, która rumieni się słysząc dowcipy męża, ten Kidd, sekretarz Northa, który zapisuje jego dowcipy, a widocznie poprawia jego parlamentarne mowy — co to za nieoceniona galerya poczciwych oryginałów, co to za wyborne zalecenie przed publicznością samych lordów i ich patryarchalno-arystokratycznego sposobu życia. Słowem, po pierwszém już zapadnięciu kurtyny, ma się błogie uczucie, że się przepędzi te kilka chwil, nietylko w najlepszém towarzystwie, ale także w towarzystwie najlepszych ludzi.

Z rozpoczęciem drugiego aktu zapoznajemy się z najwyborniejszym, z najwięcéj typowym domownikiem zamku Harvey; jest to Pocock, stary klucznik; spotykamy się z nim w przedsionku prowadzącym do dawnego więzienia zamkowego; rozpacza on nad swoją długoletnią bezczynnością, jest on na łaskawym chlebie, stary i głuchy, cierpi przecież w uczuciu własnéj godności, iż jest bezużytecznym i niepotrzebnym, skoro już nie ma pod kluczem więźniów; na wskróś poczciwa to natura, dobry człowiek, wychowany i zestarzały

w najlepszych tradycyach rodu Harveyów, a przecież, w skutku dziwnego ale wybornego sofizmatu, jego poczciwość, delikatność i owo przykre uczucie bezużyteczności, doprowadzają go do żałowania, że już nie ma więźniów, tak dalece, iż pragnie ich z chciwością, że tak powiem, skąpca; tak samo nieco, jak wygórowane uczucia szlachetności lordów popchnęły ich do uwięzienia Stanleya. Ten Pocock, zostawiony w tym przedsionku do dawnego zamkowego więzienia, pozostawiony na miejscu i w urzędzie, pomimo zmiany czasów i obyczajów, pomimo, iż już więźniów nie ma, chyba na żart, to jedna z tych nitek, które w Anglii, tak misternie i tajemniczo łączą przeszłość z teraźniejszością, to owo poszanowanie tradycyi, które pomimo zmian, reform i postępu, jest dotąd podstawą społeczeństwa i treścią obyczajów angielskich. Nigdzie tak jak w Anglii nie umieją szanować i zachowywać ruiny, a zarazem ubierać je zielonością; jest to obraz życia i zwyczajów angielskich. Pocock jest taką ruiną.

Nareszcie gorące życzenia poczciwego staruszka spełnione; donoszą mu o przybyciu więźnia; w chwili gdy najmniéj się tego spodziewał, wprowadzają Juliusza Stanleya. „Ha, nareszcie Pocock nie je darmo chleba“, woła on uradowany. Wyborną jest naiwność starego sługi, który nie często musiał wychodzić za mury zamku, dla którego światem całym jest ów zamek, — naiwność, która

dozwala mu brać na seryo uwięzienie Stanleya i wierzyć, że się stał rzeczywiście potrzebnym. On zna swój obowiązek i spełnia go sumiennie on zna tylko jedno prawo, posłuszeństwo i zupełne oddanie się Harveyom, i wykonać je zawsze gotów z rozkoszą, z fanatyzmem przywiązanego zacnego sługi. Lecz jakże srogie są igraszki losu! W chwili gdy Pocock zabiera się do spełnienia sumiennego swoich obowiązków, wchodzi Bull; wchodzi z tajnem a ważnem poleceniem Lidyi i wypełnia je punktualnie; umie on trafić w słabą stronę Pococka, daje mu do zrozumienia, że ów więzień jest ważną osobistością, że królowa powiedziała: „do Pococka z nim“. Słowa te upajają staruszka, który się ma za najpierwszego w Anglii klucznika, wino przyniesione przez Peggy dokończa dzieła. Bull odpina klucze więzienia od pasa śpiącego Pococka, — Lidya wchodzi, a po chwili Juliusz ukazuje się na progu otwartego przez Bulla więzienia. Spotkanie stanowcze, chwila uroczysta. Następują wzajemne objaśnienia, wyświecenie rzeczywistego położenia rzeczy i z jednéj i z drugiéj strony, prawdziwy pojedynek szlachetności, który, gdy Lidya oświadcza Juliuszowi, że skoro jéj miliony i nazwisko odpychają go od niéj, wolnym jest i może odejść, kończy się, rzuceniem się w objęcia kochanków i postanowieniem przeczekania do dnia w baszcie parku, zkąd Bull obiecał wyprowadzić Juliusza, gdy ściągnięte zostaną

straże ustawione z rozkazu lordów. Lecz ktoś dostrzegł widocznie ucieczkę więźnia i doniósł opiekunom, i oto w drugiéj odsłonie tego aktu, widzimy naszych nieocenionych lordów, zdobywających na czele domowników i służby, basztę. Czy żart nie zadaleko tu posunięty? Być może, ale scena ta jest obrazową, a nie jest to zwykły i pospolity efekt sceniczny, bo i tu w grze są namiętności i uczucia. Lidya, jako prawdziwa Angielka, zapala się, unosi się nawet, staje się lwicą, gdy obrażoném jest w niéj uczucie prawa; w przytrzymaniu Juliusza, w szturmie przypuszczonym do baszty, widzi ona pogwałcenie prawa i własnéj godności; bronić się więc postanawia. Scena ta, w któréj komizm przeplata dramatyczność, daje pole artystce do popisu i do rozwinięcia obszernéj skali głosu. North zawsze humorystyczny i zawsze pomysłowy, twierdzi: że w Anglii parlamentaryzm przedewszystkiém; parlamentuje więc, lecz gdy groźną z ust Lidyi odbiera odpowiedź, gdy widzi, że oblężeni poddać się nie chcą, a Juliusz zamierza zrucać na służbę kamienie, posyła do staréj zbrojowni po tarcze i szyszaki, i pod ich zasłoną każe szturm przypuścić; ukazanie się służących i żokiejów w średniowiecznych zbrojach, sprawia wyborny efekt sceniczny; oburzenie Lidyi przemienia się w uniesienie, staje się ona gwałtowną, wyrywa z rąk Juliusza zapałki i spieszy do podziemia

baszty, — jest tam skład prochu; Harvey ją zna i wie, że w takiéj chwili przed niczém się nie cofnie; — jest to chwila dramatyczna, żart przemienia się w groźną rzeczywistość; wzniosła natura lordów objawia się tu w całéj świetności, drżą oni przez chwilę o życie Lidyi, zaparli dech w sobie, słuchają z natężeniem, oczekują strasznego wybuchu — i ci dwaj starcy, którzy przed chwilą tak serdecznie się bawili, płaczą; w tém daje się słyszeć przerażający łoskot; lecz to nie baszta wyleciała w powietrze, to drzwi, które służba wysadziła, zawaliły się; omdlałą Lidyę wraz z Juliuszem prowadzą do zamku; lordowie płaczą z radości, ciężki kamień spadł im z piersi. W tém miejscu może lordowie niepotrzebnie, zamiast spieszyć do Lidyi, zawiązują ze sobą humorystyczną rozmowę, nie stosowna to po temu chwila; nie całkiem delikatny sposób traktowania przedmiotu, nieco sprzeczny z całością utworu i charakterów; można było tego błędu uniknąć. North niespokojny i w téj chwili „co powiedzą Whigi? wydaje się tu trochę niesmacznie śmiesznym, aczkolwiek nie przestaje nigdy być sympatycznym, jeżeli jest wytwornie granym. Harvey także, po gwałtownéj scenie, pod basztą, za mało okazuje współczucia dla omdlałéj Lidyi, aczkolwiek można to postępowanie tłomaczyć sobie znaną zimną krwią Anglików, która przecież nie wyklucza głębokiego uczucia; scenicznie ta pozorna

obojętność w tém miejscu razi. Lecz i tu odsłania się piękna strona charakteru Harveya, mówi on, dając ostatnie rozkazy. „Pocock niechaj nie wie o niczém. Starzec mógłby umrzeć z rozpaczy na wiadomość o ucieczce więźnia. Należy szanować starość i przywiązanie do rodziny“. Wyrazy te określają uroczy stosunek, który w sztuce, łączy panów ze służbą i domownikami, stosunek na który chcę zwrócić uwagę, bo jest nauczającym, a zarazem jest jedną z licznych piękności komedyi. Patryarchalny prawdziwie istnieje stosunek między tymi lordami a ich domownikami,— między temi dwoma typowemi postaciami wielkich panów, a całą tą galeryą poczciwych oryginałów, zostających w zależności i zamieszkujących zamki lordow; galeryą, która już po części jest nam znaną. Panuje w tym stosunku pewna moralna poufałość, a wielkie uszanowanie z jednéj strony, względność z drugiéj we formach. North, zawsze trochę jak *Panie Kochanku*, bawi się swoim sekretarzem Kiddem, który z wielką powagą i komiczną pedanteryą twierdzi, „że w ślad za nim kroczy rozsądek i przezorność“, bawi się wiecznie nieszczęśliwą Peggy, bawi się Pocockiem i Bullem; Harvey nieco poważniejszy; nieco mniéj goniący za zabawą, bo zapewne więcéj zatrudniony w życiu, uśmiecha się także; żaden z nich nie podnosi głosu na służbę, żaden nie łaje, nie upokarza, — obydwaj unikają starannie wyrządzenia przykrości,

obrażenia lub zrażenia tych poczciwych sług; a ci słudzy, jak są przywiązani, jak oddani tym lordom, jak zgadują ich myśli! I znowu tu między panami i służbą rozgrywa się istny pojedynek szlachetności, który rzuca na całą sztukę miłe, błogie światło. Tylko tacy panowie, mogą mieć takich służących. Nauczający to przykład, szczególniéj u nas, gdzie szorstkie i nieco brutalne obchodzenie się ze służbą tak jest niestety rozpowszechnione, iż u niektórych uchodzi za dobry ton; u nas gdzie piękne pod tym względem tradycye, coraz bardziéj się zacierają. Zdaniem mojém szlachetność, a nawet starożytność rodu, ocenićby się dała sposobem obchodzenia się ze służbą i domownikami. Poszedłbym nawet daléj i do pewnego stopnia, po tém obchodzeniu się, po stosunku chlebodawców do sług, sądziłbym nieraz w społeczeństwach chrześcijańskich, nietylko o stopniu ich cywilizacyi, ale także o ich wewnętrznem zdrowiu. Wejdźmy w siebie i przyznajmy, że pod temi względami rzeczy przedstawiają się u nas nieco gorzéj jak w „Pojedynku Szlachetnych“, wyznajmy, iż należałoby z tego pięknego przykładu skorzystać i rozszerzyć go aż do ludu wiejskiego, a wpłynęłoby to niezawodnie korzystnie na moralne zdrowie naszego społeczeństwa.

Zastosowany do okoliczności monolog Harveya rozpoczyna akt trzeci, a jest zarazem zręcznem rozwinięciem teoryi i praktyki arystokracyi an-

gielskiej: *gdy się uprzedza wypadki, staje się na ich czele.* To cała głęboka nauka niezbędnych reform, które zapobiegają przewrotom, nauka zbyt często zapoznawana przez arystokracye, zbyt często zapomniana przez naszą szlachtę! A zatem, pomimo lekkiego wstrętu do wydania Lidyi za professora, ku temu celowi zmierzać trzeba, skoro bez złamania serca ukochanej wychowanicy, skoro teraz już, bez narażenia jej przyszłości i dobrej sławy, sprzeciwiać się temu nie można. Przedewszystkiem jednak przekonać się należy, czy ten professor jest człowiekiem godnym Lidyi. Zacni lordowie nie próżnowali; wysłany przez nich do Londynu sentencyonalny i punktualny Kidd, powraca ze szczegółowemi wiadomościami o Stanleyu; wiadomości te są nader korzystne i pocieszające; jednak jest i punkt czarny: pojedynek, i to o kobietę. Pojedynek w Anglii to rzecz nadzwyczaj rzadka, chociaż między słuchaczami uniwersytetów częściej się zdarza. North, stosownie do swojego usposobienia, i zapatrując się na wszystko (z wyjątkiem Whigów) różowo, widzi w tem zdarzeniu tylko dziarskość młodzieńczą, lecz wytrawny i rozumniejszy Harvey rozumuje inaczej; on w tem upatruje niedobrą wskazówkę o charakterze Stanleya, bo, albo bałamuci jedną a kocha drugą, albo kocha tamtą a chce się żenić z tą, bo może wie że bogata; pyta więc Peggy, czy Juliusz nigdy przedtem nie wiedział, kto jest

Lidya? Przybycie Lidyi wypłasza z salonu wystraszoną wiecznie Peggy; North, dzielny North, nie śmie być obecnym zwierzeniom Harveya, i on, potomek rodu, który nigdy nikogo się nie bał, ucieka do swoich pokoi, a zostawia cały ciężar przykrego wyjaśnienia Harveyowi. Scena między Harveyem a Lidyą, w której opiekun robi jej zwierzenia co do powstałych podejrzeń o postępowaniu i stałości uczuć Stanleya, pod względem delikatnych odcieni, jest jedną z najładniejszych w komedyi; to znowu pojedynek między szlachetnym starcem, a równie szlachetną dziewicą; lekki wyrzut ze strony opiekuna za brak do niego zaufania i zbyt spieszne postępowanie, miarkowanym jest co chwila, miarkowanym, ile razy Harvey odczuwa, że uraził ukochaną wychowankę; czułe porywy serca Lidyi dla opiekuna, pomimo bólu i żalu, nareszcie głęboka boleść, gdy podejrzenie, że Stanley kocha inną, dosięga jej serca — że podłym jest kochając inną i łudząc Lidyę. Lidya nie chce wierzyć, właśnie dlatego, że to podłe, a przecież oprzeć się zwątpieniu nie może, a chwila ta daje artystce sposobność do pięknej gry, szczególniej gdy kilkakrotnie, a zawsze inaczej powtarza: *a więc niech jedzie,* usta jej wymawiają te wyrazy, lecz serce zaprzecza im intonacyą głosu; czują to lordowie i nie tak łatwo zgodzą się już teraz na odjazd Juliusza; *niech jedzie* powtarza wprawdzie Lidya, lecz dorzuca, w musse-

towskim stylu, tę piękną i bolesną uwagę: *i niech zostawi za sobą pustkę nicości, której nawet nie potrafimy zapełnić tęsknotą.* Wtem wpada, jak prawdziwe *enfant terrible,* Peggy, oczywiście z nowem nieszczęściem; w prostocie ducha nie domyślając się do jakiego stopnia rani serce Lidyi, opowiada ona obszernie przybycie Letty, owej panny, za której honor Juliusz się bił, do Brougham, w celu odszukania Stanleya. Tu dramatyczność potęguje się, lordowie i Lidya cierpią niewymownie, a cierpienie zwiększa rozwlekłe opowiadanie Peggy, wyborne, właściwe osobom mniej wykształconym, a dające pole do znamienitej gry charakterystycznej artystce. Nie ma wątpliwości, Stanley kocha Letty, a zwodzi Lidyę, lub chce się z nią żenić dla majątku. To prawdziwy cios i dla opiekunów i dla wychowanki. Lidya upada pod tym ciosem; wesołe usposobienie Northa ugina się pod nim; jeden Harvey nie traci głowy, — on do końca spełni swój obowiązek. A więc przedewszystkiem trzeba wybadać ową miss, grzecznie, delikatnie; wprowadza ją Peggy i tu odgrywa się z obydwóch stron wykwintna scena; lordowie z prawdziwie pańską uprzejmością i delikatnością ludzi arcydobrze wychowanych przyjmują Letty; ona z wdziękiem młodości i naiwności przyjmuje ich grzeczności i z dziecinnem zaufaniem, na którem zaiste nie zawiedzie się, odpowiada na ich zapytania, które są po części indagacyą w wiel-

kiej sprawie. Ta Letty, ukazująca się dopiero w trzecim akcie, jest także miłą aparycyą i skończonym, zaokrąglonym w drobnych rozmiarach, charakterem. Rozmowa ta spędza powoli troskę z oblicza szlachetnych lordów; z niej bowiem okazuje się, że Juliusz jest tylko bezinteresownym opiekunem prawnym Letty, że zamierza ją wydać za pana Brick, kantorzystę *banku angielskiego*, jasne zaś wschodzi słońce i opromienia starców, gdy Letty w rozmowie twierdzi, że Stanley lubi nad wszystko pewnego walca i że ona musi mu go często grywać; z wielkim wdziękiem prostoty, na zapytanie: co to za walc? Letty; zamiast odpowiedzi, siada do fortepianu i gra owego walca; po chwili radość lordów nie zna granic, bo to walc Lidyi! Lidya słyszy go także z za kotary, lecz inaczej go sobie tłómaczy, a widząc radość opiekunów, tłómaczy go sobie najgorzej, najczarniej, a ten kontrast wrażeń sprawia znamienity efekt. Walc przekonał lordów o czystości i stałości uczuć Juliusza, a Harvey prawdziwie po angielsku odzywa się do Northa: *Ponieważ nie może być opozycyi, zdobywajmy pozycyę,* na co North odpowiada: *Po naszemu.* Akt ten pod względem finezyi i gry uczuć jest najpiękniejszy, jest ładnem w literaturze dramatycznej zjawiskiem.

Lordowie, zupełnie zaspokojeni co do charakteru Stanleya i przywiązania jego do Lidyi, pewni że szczerze ją kocha dla jej wewnętrznej

wartości, jak prawdziwi smakosze szlachetności, radują się na myśl tej uczty moralnej do której zasiędą — radują się pewnością szczęścia Lidyi, a nawet, bawiącemu się tem wszystkiem, Northowi *ciepło robi się na sercu.* Lordowie o niczem nie zapomnieli, wszystko gotowe do ślubu, notaryusz, ksiądz, goście sproszeni. Ale jak tu teraz przekonać Lidyę o szczerości i wierności Juliusza? Trudnem to nie będzie. Podczas gdy rozkoszują, myśląc o przyszłem szczęściu swoich, jak ich nazywają, przybranych dzieci, wchodzi a raczej wpada nowa postać, nieznana nam jeszcze, bibliotekarz Kuff, stary hellenista; siedział on widocznie jak mól w bibliotece, podczas wszystkich zawikłań komedyi, o niczem nie wiedząc; wpada jak bomba, dopiero w ostatnim akcie. Cóż wypędziło go z biblioteki? Oto bluźnierstwa, jak je nazywa, Stanleya o mężach starożytności i o Grecyi. Stanley, któremu Harvey pozwolił przejść do biblioteki, zgorszył staruszka swojemi nowoczesnemi pojęciami o sztuce, i zmusił do ucieczki. Doskonała to postać ten bibliotekarz Kuff, może najmisterniej, najładniej wyrzeźbiona, chociaż w dwóch tylko ukazuje się scenach. Jest w Kuffie entuzyazm dla sztuki, zapał w duszy a ogień w oczach, gdy idzie o Grecyę, fanatyczne ubóstwienie klassycznych wzorów, a przytem jest naiwność bez granic starca i uczonego, łagodność i dobroć poczciwego człowieka, który więcej miał

w życiu do czynienia z książkami niż z ludźmi. Lordowie nie mogą się nacieszyć z oburzenia Kuffa, a kiedy North bawi się wszystkiemi domownikami bez wyboru, Harvey, widocznie wykwintniejszy w swoich gustach, bawi się przeważnie naiwnym entuzyazmem swojego bibliotekarza. Staje na tem, że aby oddalić od Stanleya karę, która wisi nad jego głową, lordowie, na prośby dobrodusznego Kuffa (który pomimo zawziętości za spotwarzenie Grecyi, prosi o ułaskawienie młodzieńca, wierząc że można karać za literackie przekroczenia), dają bibliotekarzowi dwadzieścia cztery godzin do nawrócenia winowajcy na klassyczną wiarę. Przejścia Kuffa z oburzenia do litości są wyborne. Przecież trudno zaprzeczyć, że naiwność Kuffa jest zbyt daleko posunięta i że autor w tem miejscu zbyt naiwnie liczył na naiwność publiczności. Fikcya teatralna nie może iść tak daleko, żeby Kuff wierzył że mają ściąć Stanleya. Jeżeli się nie mylimy, ważny ten błąd jest następstwem innego nierównie większego: pomięszania nieco chaotycznego i dyletanckiego dwóch epok.

Wchodzi Lidya, złamana, z boleścią w sercu; lordowie nie walczą z tą boleścią, lecz przedstawiają jej konieczność, ze względów światowych i godności osobistej, zaślubienia Stanleya, skoro rzeczy tak daleko zaszły, że jak mówi North, scena w baszcie znaną jest nawet na dworze kró-

łowej; po ślubie, pozwolą jej rozłączyć się z konwenansowym mężem, a wiarołomnym kochankiem, i pozostać nadal przy opiekunach. Lidya pod naciskiem zezwala, a po zimnej i wymuszonej scenie ze Stanleyem, który dopiero przy końcu zrozumiał nową sytuacyę, wybiega ona ubrać się do ślubu, na który Stanley przystać musi dla uratowania jej dobrej sławy. Mniejsze wyborne sceny, w których Kuff donosi z dumą, że nawrócił Stanleya do Grecyi, poprzedzają rozwiązanie. Lordowie wydają ostatnie rozkazy i wychodzą po nowożeńców; po chwili wracają z niemi; następuje ceremonialne i zimne podpisanie aktu ślubnego, wobec naszych dobrych znajomych, wobec owych nieoszacowanych domowników i sług. Rozsuwają się kotary, ukazują się goście, zapewne sąsiedzi i domownicy z pobliskich folwarków, a chór śpiewający walc Lidyi wita nowożeńców. Przejście to jest może najsłabszą stroną całej sztuki, nie scenicznie ale psychologicznie, a nawet niemiłe sprawia wrażenie. Niepotrzebne dalsze pastwienie się lordów nad Lidyą, nie odpowiada ich szlachetnym naturom; wiedzą oni już, że Stanley ani kocha ani bałamuci Letty, że kocha tylko Lidyę, a nie spieszą zawiadomić o tem ukochanej wychowanicy, i narażają ją na męczarnie małżeństwa z konwenansu. Znowu żart zadaleko jest tu posunięty i rzeczywiście staje się okrutnym do tego stopnia, iż paraliżuje miłe wrażenie owego

walca Lidyi, śpiewanego przez chór! Biedaczka, jej serce złamane w tej chwili; ulubiony walc czarne i gorzkie tylko nasuwa jej myśli. Lecz niebawem wszystko się rozjaśni. Kamerdyner anonsuje miss Letty Cavendisch i mister Brick. Lordowie i o tem pomyśleli. Następuje deklaracya pana Brick, nieco zakomiczna, zanadto w takiej chwili i takiej sztuce wyrachowana na śmiech nieunikniony publiczności. Nareszcie Lidya przekonała się naocznie, że Stanley nie kochał Letty, że był tylko prawnym i prawym jej opiekunem, i że Lidyę jedynie kocha; już teraz opuścić go po ślubie nie chce, już teraz, dzięki szlachetnym opiekunom, zupełnie jest szczęśliwą. Lecz nie na tem koniec. North tak się wybornie tem wszystkiem ubawił, tak mu się ciepło na sercu zrobiło, że za pozwoleniem królowej adoptował Juliusza. Stanley stawia wprawdzie opozycyę, lecz Harvey przerywa mu i rekapitulując niejako całą komedyę, wygłasza teorye życia społecznego i publicznego w Anglii, wzniosłe, piękne, rozumne. Scenicznie przecież, ten *spech* wygląda nieco na kazanie, którego moralny sens odnajdujemy w słowach Northa; „Anglia zawdzięcza wielkość swoją temu odświeżaniu. Ród nie ginie, lecz rodziny, które go reprezentują, zmieniają się, i dlatego rody kwitną.“ Kazanie przecież odnosi skutek, bo Stanley z wdzięcznością rzuca się w objęcia Northa; przekonał się on, że ci ludzie i ten świat,

którego się tak obawiał, którego unikał, przed którym nawet uciekał, nie jest znowu tak dalece złym i przewrotnym; że umieją przecież w nim uszanować zasługę i pracę. North przyciska do serca przybranego syna i mówi te pełne znaczenia i szlachetności słowa, malujące tak wybornie obyczaj angielski, a których znaczenie gdzieindziej, a i u nas, zbyt często bywa zapoznanem.

„A chociaż jesteś Whigiem do szpiku kości, nie wymagam, nie mam prawa żądać od ciebie zmiany twych przekonań. W izbie gmin będziemy walczyć na cześć Anglii, a w domu będziemy się kochać.“

Wszyscy w dają okrzyk na cześć królowej i stare Anglii! a Bull obecny, w kolosalnej białej fontazi, którą Peggy mu przypięła, mówi: „Oto, tak się nasi panowie bawią“. Pojedynek szlachetnych zakończony, nikt w nim rany nie odniósł, nikt nie zginął, a ocalały szlachetność i wzniosłość uczuć, ocalały przynajmniej w komedyi, w tych smutnych poziomych i nierycerskich czasach!

Pomimo streszczenia głównych momentów komedyi, musiałem pominąć wiele wybornych, znakomitych scen, — szczególniej wiele scen komicznych między służbą a panami; nie przytoczyłem pełno zabawnych, trafnych a zawsze wytwornych wyrażeń to Northa, to Kuffa, Kidda, Lidyi lub Harveya. Autor tej komedyi ma zadziwiająco wprawne oko pod względem rozmiarów scenicz-

nych, nie ma tu nic zbyt krótkiego, ani zbyt długiego, wszystko jest tak jak powinno być, na swojem miejscu, jak w dobrze urządzonym domu angielskim. Zarzuciłbym tylko, że jest zbytek, wprawdzie wybornych, niejaskrawych, przeciwnie delikatnych efektów komicznych; zbytnia obfitość nawet dobrego, jest błędem estetycznym. Ale te komiczne efekta są wywołane nader zręcznie, zawsze w porę, zawsze na czasie, i to w chwili, gdy widz najmniej się tego spodziewa; jak np. zapytanie w trzecim akcie Northa do Pócocka: „Czy więzień nie próbował uciec?“ na co poczciwy klucznik odpowiada: „Ho, ho! kto się raz dostanie pod klucz Pococka nie marzy o tem — a rozumie się“.

Zarówno treść, atmosfera i forma sztuki są czyste, szlachetne, ludzie przemawiają tu do siebie zawsze przyzwoicie, zawsze z uszanowaniem dla własnej i innych godności osobistej, mówią sobie rzeczy uprzejme lub miłe, a unikają mówić nieprzyjemnych, czem chwalebnie odróżniają się od wielu postaci występujących w polskich oryginalnych komedyach. Znajdując się na przedstawieniu tej komedyi, doznaje się błogiego uczucia obcowania, nie tylko z najlepszem towarzystwem, ale także ze sługami najwykwintniejszego społeczeństwa. Żart, dowcip, jest tu zawsze dobrego gatunku; a nawet parę dowcipów ex-woźnicy Bulla — jedne nieco ślizkie — mniej są tłuste, jak

lekkie rozmowy bohaterów Dumasa. Zręcznie, powiem nawet misternie, wplecionym jest w intrygę komedyi obyczaj polityczny Anglii; wszystkie znane teorye i praktyki życia publicznego w Anglii, ciągle ważną odgrywają tu rolę, a przecież nigdzie nie obciążają zbytecznie komedyi, nie przeszkadzają ani powstrzymują akcyi.

Nie pojmuję, jak tego kroju i znaczenia komedya uchodzić mogła, przed jej ukazaniem się na scenie, za farsę; ma ona nie tylko wszystkie znamiona, ale samą duszę wyższej, w całem tego słowa znaczeniu, komedyi; bo wchodzą tu w grę, naprzemian, najdelikatniejsze i najwznioślejsze uczucia, bo występują najszlachetniejsze, tak pod względem wewnętrznym, jak i zewnętrznym, postacie. Nie ma tu nic tego co stanowi farsę, bo nie ma nic poziomego, nic rubasznego, nic jaskrawego, bo, słowem, nie ma nic coby pobudzało do pospolitego, a jest wszystko, co wzniecać może szlachetny śmiech.

Wszystkie postacie w tej komedyi są prawdziwe, misternie nakreślone, wszystkie sympatyczne. Cała ta galerya wybornych typów stanowi jednę rodzinę, a przecież każdy z nich ma swoją odrębną, dobrze oznaczoną indywidualność. Ze stanowiska, że tak powiem, technicznego, cóż stanowi dobroć sztuki? Przeważna ilość dobrych ról. Im więcej w sztuce jest dobrych ról, tem sztuka jest lepszą, to pewnik techniczny, — bo sztuka

składa się z ról. Otóż w „Pojedynku Szlachetnych“, rzeczą zadziwiającą i zdumiewającą jest, że wszystkie bez wyjątku role są dobre, wszystkie nastręczają pole popisu dla aktorów, od największych do najmniejszych; do tego stopnia, że nawet ów p. Brick, wchodzący w ostatniej scenie ostatniego aktu, jest skończonym typem nieśmiałego młodzieńca, pracowitego a zakochanego kantorzysty. Pod względem psychologicznym, najsłabiej nakreślonym, jest charakter Juliusza; los to zwykły bohaterów i amantów; tym Juliuszem rzucają nieco jak piłką, wypadki i ludzie; lecz i on ma chwile, w których sceniczne wywołuje wrażenie.

Po nad wartością sceniczną i techniczną, góruje bezsprzecznie w tej komedyi jej wzniosłe moralne znaczenie; podniesienie do ideału, w życiu codziennem i zwykłem, szlachetności uczuć, szlachetności postępowania i nieodłącznej od nich wykwintności form towarzyskich. Wobec moralnego upadku dzisiejszego, wobec zacierającego się, pod wpływem materyalizmu, uczucia honoru, delikatności moralnej a nawet delikatności w obejściu, jest to komedya, która podnosi godność człowieczeństwa. W tych czasach chciwości, brutalnego używania i egoizmu, dziwnem ale miłem zjawiskiem jest komedya, rozpoczynająca się ucieczką przed posagiem, a kończąca się adoptacyą professora przez lorda.

Niewątpliwie wpłynąć ona może korzystnie na zdrowie społeczeństwa, które się jej przypatrywać będzie i wpłynie niezawodnie na podniesienie jego poziomu moralnego.

XII.

Kraków, 9 listopada 1876.

Niema zapewne tak cichego i odosobnionego zakątka, w którymby ważne wypadki, odgrywające się obecnie na wielkiej widowni świata, i te ważniejsze jeszcze, które się przygotowują, nie oddziałały, nietylko na umysły, ale także na bieg spraw i interesów. Zatém i tutaj, w kraju graniczącym niemal z temi wypadkami, a należącym do monarchii, której warunki bytu ściśle spojone są ze sprawą wschodnią, sprawa ta i jéj coraz to nowe przejścia, niemałe zajmują miejsce w zajęciach teraźniejszości — w przewidywaniach przyszłości. Rzecz jednak godna uwagi, że, z wyjątkiem kilku lub kilkunastu wyborowych umysłów, ogół przypatruje się rozwijającym się wypadkom, bez zapału, spokojnie, jak zwykły i sumienny ale obojętny czytelnik dzienników. Dotąd wyraz neutralność, zdaje się określać najlepiéj usposobienie ogółu tutaj, tak jak dotychczasową oficyalną politykę rządu — neutralność nawet nie zbrojna, ani wojskowo ani też w sympatye lub antypatye. Jak

długo wyraz ten wystarczy do określenia położenia i usposobienia, trudno odgadnąć — przewidywać niepodobna. Zdawało się jednak rzeczą pewną, że w dyskussyi w radzie państwa nad interpelacyami w sprawie wschodniéj, posłowie galicyjscy, odezwaniem się swojem, nacechują stanowisko określone owym wyrazem, a jednocześnie staną na gruncie interesów monarchii i państwa. Niewytłomaczone ich milczenie tém więcéj zdziwiło i niezadowolniło.

Wśród tych ważnych wypadków, przypadły właśnie nowe, na dalszych sześć lat, wybory ogólne do sejmu lwowskiego. Odbyły się one w tych dniach, a ostateczny ich rezultat już jest powszechnie wiadomy; był on niespodziewany i niezwykły, jedyny od chwili zaprowadzenia w Austryi rządów konstytucyjnych. Wpłynie to więc oczywiście i na skład, i na fizyognomię sejmu. Sejm lwowski uwolniony od więzów krępujących lub utrudniających wszelką pracę parlamentarną, będzie mógł teraz przystąpić bez przeszkód, do przeprowadzenia niezbędnych dla pomyślności prowincyi reform. Ale czy zechce i czy potrafi? Oto pytanie; a jeżeli zabraknie na nie twierdzącéj odpowiedzi, będzie to tém smutniejszym objawem, że już teraz nie będzie żadnéj racyonalnéj wymówki, że nic nie zdołałoby wytłomaczyć opieszałości, nieudolności lub egoizmu sejmu. Wątpliwości pod tym względem o tyle są

uprawnione, że w porównaniu z wyborami włościańskiemi, wybory z większéj własności wypadły blado; gdy tamte wysłały do sejmu najzdolniejszych ludzi i najwięcéj politycznie znanych, te nie wysunęły naprzód prawie żadnych osobistości, nie przysporzyły z małemi wyjątkami nowych sił lub zdolności i zamknęły się, jak zwykle w ciasnem kółku zacności i cnót powiatowych, lub przyzwyczajenia do tych samych osób. Były to, rzec można, najmniéj inteligentne wybory; miasta nierównie już zdolniejszych i lepiej obeznanych ze sprawami publicznemi wysłały przedstawicieli. W sejmie zaś przyszłym przeważać będzie, widocznie, żywioł większéj własności, można zatém obawiać się, iż niedostatecznie skorzysta z nowego składu reprezentacyi, tak jak nie umiał zużytkować własnych wyborów—i że wyda sobie znowu świadectwo nieudolności. Wybory w ogóle i przeważnie wypadły w duchu konserwatywnym, lecz przyszły sejm zadać może dotkliwy cios tutejszemu konserwatyzmowi, jeżeli większość jego— nie stanie śmiało, odważnie i szczerze na czele reformy—a cios ostateczny, jeżeli zgoła nic zrobić nie zechce lub nie potrafi w tym kierunku, któremu nawet rząd przyszedł w pomoc, wnosząc do rady państwa dwie wielkiéj wagi ustawy dla tego kraju przeciw lichwie i pijaństwu. Niemałą przecież należy pokładać nadzieję w dziś już prawie niewątpliwym fakcie, że kierownictwo

przyszłego sejmu wraz z laską marszałkowską, Najjaśniejszy Pan powierzy — jak to już dawniéj wam pisałem — hr. Ludwikowi Wodzickiema, który, bezwątpienia, nie zechce być ani malowanym ani tekturowym marszałkiem, lecz przeciwnie starać się będzie o zużytkowanie wyjątkowych warunków, w których przyszły sejm się znajdzie na rzecz roztropnéj reformy, któréj przeprowadzenie uprawnić dopiero może moralnie kierunek, w którym poszły wybory. Będzie to tém więcéj obowiązkiem większości, że widocznie i niezaprzeczenie wybory odbyły się przeważnie pod godłem, o którém już nieraz wspomniałem — reformy stosunków wiejskich! Jedni szczerze, drudzy może nieco obojętnie, ale, bądź co bądź, niemal wszyscy, pod różnemi formami, występowali z tym programem i pod jego opieką przeprowadzali lub przeprowadzać usiłowali swoje kandydatury.

Najdobitniéj i z największą stanowczością wywiesili program reformy stosunków wiejskich krakowscy konserwatyści, tak nazwani Stańczyki, w październikowym zeszycie okrzyczanego ich organu: *Przeglądu*. Z tego powodu, a jeszcze więcéj dlatego, że to co tam stronnictwo powiedziało, rzuca niemałe światło na położenie społeczne i ekonomiczne tego kraju, należy się zastanowić nieco nad owym zeszytem „Przeglądu“. Jeden z redaktorów tego pisma, p. Kożmian, umieścił w nim artykuł: „Nasze stosunki“, z powodu ukazania się

w Warszawie drukiem Ungra, ludowéj sztuki Anczyca: „Emigracya Chłopska“. Pan Koźmian widocznie skorzystał tylko z téj sposobności, aby zastanowić się nad ważniejszemi sprawami tutejszemi. Artykuł ten, jako wyraz przekonań dobrze zorganizowanego, acz nielicznego stronnictwa, nie przeszedł niespostrzeżony; jest w nim obfitość poruszonych spraw; wielu tu twierdzi, iż przypisuje on panu Anczycowi myśli daleko sięgające, które wysnuć można wprawdzie z tego niepospolitego utworu, ale które się tam nie znajdują. Mnie się zaś zdaje, że się tak zwykle dzieje z niezwykłemi utworami dramatycznemi. Autor przejęty główną myślą, często bezwiednie rozrzuca w dziele doniosłe szczegóły harmonizujące z pierwotnym pomysłem, a dopiero krytyka odkrywa i wskazuje ich znaczenie i spójnię z całością. Tak, *mutatis mutandis*, stało się z Shakespearem, w którym krytyka, a mianowicie niemiecka, odkrywała wciąż nowe kryjówki pełne złota i klejnotów. Nie ulega wątpliwości, że p. Anczyc, pisząc „Emigracyę“, miał na myśli i *reformę stosunków wiejskich* w Galicyi, dlatego sztuka ta mogła posłużyć do wysnucia programu stronnictwa, które, trzeba mu to przyznać, oddawna wytrwale, a nawet czasem namiętnie, przemawia za tą reformą.

Artykuł „Przeglądu“ wychodzi z tego punktu widzenia, że interes dramatyczny i grozę tragiczną „Emigracyi“ stanowi, równie jak położenia obe-

cnego, powolne wywłaszczanie ze ziemi żywiołu miejscowego, przez Mendla i Schultzego. „Zawiązuje się między Starżą i Jędrzejem, mówi autor artykułu, patryarchalna rozmowa nad zobopólną biedą; dowiadujemy się z niéj, że brat starszy Starży „zmęczony stosunkami w Poznańskiém“ sprzedał majątek i wyniósł się do Ameryki, a Juliusz Starża, udał się tam po spadek; dowiadujemy się, że dziś właśnie Mendel ma wystawić na licytacyę grunt i chałupę Jędrzeja; że Starża, przegrawszy jakiś proces, widzi się także zagrożonym licytacyą swojego majątku: „podajcie mi rękę, Jędrzeju, i szlachcic i chłop pójdą ze swojego dziedzictwa odwiecznego z torbami“. Piętrzy się tu groza tragiczna, a w tych prostych słowach, w téj prostéj sytuacyi, jest jéj zaprawdę tyle co w *Edypie*. I nasuwa się pytanie, ażali i tu nie cięży jaka wina, jakaś fatalność, która... chłoszcze nieubłaganie, ściga wciąż i popycha w objęcia Eumenid.“

Dalej mówi autor artykułu: „Bijącém w oczy i widocznėm jest, że Juliusz Starża występuje zawsze w dramacie jak *Deus ex machina*. W sztuce ludowéj nie jest to bynajmniéj błędem, już dlatego, że lud przypuszcza zwykle bezpośrednie mięszanie się Opatrzności w sprawy ludzkie... Ale tutaj, ta ciągle opatrznościowa rola Juliusza, to jego, jakby z umysłu, źle umotywowane ukazywanie się na scenie, jako zbawcy zstępującego

z obłoków w złych chwilach, wyraża, może nawet bez zamiaru autora, głęboką prawdę czy przywarę, i nieco innego jak owo — *jakoś to będzie!* Wszystko już stracone, grunt i chałupa Jędrzeja mają się dostać w ręce żydowskie, folwark Starży obdłużony idzie na sprzedaż, wieś wyludniona w skutku wyjazdu włościan do Ameryki, a przecież — *jakoś to będzie!* i w saméj rzeczy ukazuje się — *jakoś to będzie!* pod postacią nie wujaszka ale synalka z Ameryki, unikata zaiste u nas, który wszystko ratuje, zawiązuje na nowo, tak że — *jakoś to będzie!* Mimowolnie czy nie, uchwycony przez p. Anczyca rys ten jest wyborny, charakteryzuje on doskonale to wieczne spuszczanie się na coś nieokreślonego, na szczęście, a nieradzenie złemu siłą woli, hartem duszy, pracą, rozumem, reformą, dopóki czas, dopóki można; to niekorzystanie z okoliczności, ale spuszczanie się na wypadki. A przecież, nie radzilibyśmy zbytecznie ufać pojawianiu się takich z komedyi postaci! Jeżeli Juliusz p. Anczyca przypadkowo przedstawia sławetne — *jakoś to będzie!* to rzeczywiście przedstawia on zupełnie co innego. Przedstawia on należną, konieczną opiekę wyższych warstw nad niższemi. Juliusz mówi w końcu autor artykułu przedstawia tu oczywiście cały stan, całą warstwę społeczną, a widząc, z jaką troskliwością, z jaką umiejętnością zajmuje się losem ludu wiejskiego, jak w każdém niebezpieczeństwie, w każdéj po-

trzebie przychodzi mu z ratunkiem i pomocą, uderzmy się w piersi i wyznajmy, że nie jest niestety, zgodnym z rzeczywistością.“ Po wypowiedzeniu téj gorzkiéj prawdy, artykuł wysnuwa z „Emigracyi“ p. Anczyca program: „konkluzye Emigracyi Chłopskiéj prowadzą wprost do reform administracyjnych, objętych wnioskiem p. Dunajewskiego, nakazują dążyć do gminy zbiorowéj któréj, zdaniem naszem, zbornym punktem winna być parafia, nakazują wznosić szkoły oparte na podstawie chrześciańskiéj, usunąć lichwę, pijaństwo i karczmę taką, jaką ona jest dzisiaj, a to w celu zapewnienia wyższym warstwom przynależnego im we wsi wpływu moralnego, przywrócenia w niéj harmonii społecznéj, równowagi ekonomicznéj, ulżenia ciężarów niższym warstwom i uratowania ziemi... Przypatrzywszy się zatém naszym stosunkom i zastanowiwszy się nad niemi zimno i sumiennie, wywieszamy program, streszczający się w słowach: reforma stosunków wiejskich“.

P. Szujski poseł, profesor i sekretarz Akademii, w formie listu do p. Popiela, opierając się na powyższym artykule, do tych samych dochodzi konkluzyi, a między innemi mówi: „Nie trzeba chorować na Zachód i jego walki, trzeba się uczyć od Zachodu, co jego siłą, a gotować na walkę z nim, na walkę z mnogimi jego sojusznikami. *Et haec facienda et illa non omittenda.* Czas

powiedzieć, że wahanie się długie z podjęciem *reformy gminy*, było małodusznością bez granic, hołdem wygodnictwu klassy oświeconéj, kuszeniem do złego dobrych instynktów ludu, przez pozostawienie w jego rękach, niezdolnych niestety dotąd, tyle ważniejszych interesów bezpieczeństwa, zdrowia i dobrobytu gminy... Lakoniczność i pewna nerwowość mego listu mogła cię zdziwić, szanowny panie, ale wyrozumiesz ją, jeżeli ci się wyspowiadam z spostrzeżenia, że w tém naszém galicyjskiém życiu od lat dziesięciu, zdaniem mojém, brakowało lakoniczności czynów, zniecierpliwienia, nerwowości i choćby odrobiny zapału".

Nie wiem jakim będzie w sejmie los programu: *reformy stosunków wiejskich;* być może, iż w egoizmie jednych, w apatyi drugich, natrafi on na nieprzeparte przeszkody, ale to pewna, że wybory odbyły się pod jego godłem, że on jeden z licznych pozostał programów i że stoi dziś jeszcze niezachwianie. Pierwsze to swoje zwycięztwo zawdzięcza on niezawodnie poważnemu i dodatniemu dziennikarstwu tutejszemu, którego stan obecny zobowiązałem się wam przedstawić, podawszy w poprzednich listach charakterystyczne główne rysy, ujemnego, jak je nazwałem, dziennikarstwa galicyjskiego.

Z pism codziennych lwowskich unikatem, pod względem dodatnim, jest urzędowa „Gazeta Lwow-

ska“, której naczelnym i wyłącznym redaktorem jest p. Wład. Łoziński. O tym dzienniku i o jego szanownym i utalentowanym redaktorze, wspomniałem obszernie, w chwili objęcia namiestnictwa przez hr. Potockiego. Przy tem „Gazeta Lwowska“, jako rozpowszechniona w Cesarstwie Rossyjskiem, znaną wam jest. Zwalnia mnie to od podania jej szczegółowego, a raczéj drobiazgowego życiorysu. Nie mogę przecież, chcąc przedstawić dokładny obraz tutejszego dziennikarstwa, zamilczeć o głównych jéj znamionach.

Pan Łoziński rozwiązał arcytrudne zadanie publicystyczne, bo stworzył dziennik urzędowy, nie blady, nie nudny, lecz przeciwnie nader zajmujący. Jest to człowiek wielce wykształcony, znany już w innych gałęziach literatury, nietylko zaszczytnie, ale co rzadsza, sympatycznie, szczególniéj jako powieściopisarz, wyjątkowo nie nużący, nie banalny, a zawsze dobrego smaku. Sam dobrze wychowany, ma poczucie przyzwoitości i piękna, ma miarę i zmysł krytyczny: przebywał on długo zagranicą, mianowicie w Paryżu, i umie łączyć lekkość francuską formy z wytrawnością i poważnym poglądem, właściwym narodom północnym. Jako osobistość jestto wyjątkowy literat we Lwowie, nigdy nie szedł on szlakiem dziennikarzy tego miasta; zna na wylot ich usposobienie, ich wady i zdrożności, smagał nie raz ostro śmieszności, niewłaściwości i anarchię lwowską,

a sam przecież słyszałem jak mówił, że nieumiałby żyć gdzieindziej jak we Lwowie. Pan Łoziński złożył niemały dowód chwalebnéj odwagi cywilnej, stając otwarcie na czele dziennika urzędowego, lecz zarazem złożył dowód wielkiéj zręczności i rozumu, stwarzając zajmujący, wyborny, rzec nawet można, znakomity dziennik. „Gazeta Lwowska“ jest organem namiestnictwa i, w ścisłem tego słowa znaczeniu, dziennikiem urzędowym, a przecie jest to pismo mające jasny pogląd, wytrawny a do pewnego stopnia bezstronny sąd; jest ono urozmaiconem i zajmującem. Ma tę wielką zaletę, iż jest jedynym we Lwowie dziennikiem, który przeczytawszy, można być spokojnym, iż nie zostało się okłamanym i w błąd wprowadzonym, tak co do wewnętrznych jak i zewnętrznych spraw, tak co do ważniejszych jak też co do drobniejszych faktów. „Gazeta Lwowska“ wybornie nawet wytwornie redagowana, pięknym polskim językiem, umieszcza tylko pewne wiadomości, umieszcza je krytycznie a nigdy tendencyjnie, ze znajomością rzeczy i stosunków tak monarchii jak i Europy; ma ona obfitą ale przyzwoitą kronikę drobnych zdarzeń; ozdabia, ją wyborny i wyborowy felieton, ma doskonałe, treściwe, oczywiście zgodne z rządowem zapatrywaniem, przeglądy polityczne, kilka znamienitych korrespondencyi, np. ze Stambułu i Wiednia. Nie ma ważniejszego zdarzenia w świecie umysłowym,

artystycznym, naukowym, o którymby natychmiast nie zdała sprawy w sposób zajmujący i poważny, że wymienię tylko *kroniki paryzkie*. Słowem, jest to, pod względem formy, dziennik niepospolity, poważny, wytrawny, a który, nietylko że rozwiązał trudne zadanie dziennika oficyalnego, nie bladego i nie nudnego, ale dokonał jeszcze może trudniejszego dzieła, bo stał się we Lwowie pismem, tak treścią jak formą, zupełnie porządném. Unikat godny podziwu! kto zna tutejsze stosunki, ten przyzna, że ta druga część zadania była najtrudniejszą. Rzecz zdumiewająca i godna pożałowania, że téj wartości i doniosłości dziennik, samém już swojem istnieniem i przykładem, niezdołał dotąd zadać stanowczego ciosu ujemnemu i gorszącemu dziennikarstwu lwowskiemu; widocznie jest on zarozumny, zawytrawny, zamało skandaliczny i paszkwilowy, niedość rozczochrany, niedość pieprzny i tłusty, dla znacznéj części publiczności. Smak nieda się tak prędko naprawić, a kto przyzwyczai się do potraw pływających w starém maśle, kto jadał przez dłuższy czas na smalcu, ten niezaraz potrafi ocenić, prostotą swoją tak znakomitéj kuchni angielskiéj, lub wykwintnéj kuchni francuzkiéj. Bądź co bądź, stworzenie i utrzymanie przy dobrém zdrowiu tego dziennika było klęską, przedewszystkiém moralną, dla prasy lwowskiéj, a niewątpliwie z czasem jeszcze większy przyniesie jéj uszczerbek. Ztąd też te srogie

gniewy i miotanie się na „Gazetę Lwowską“. Jéj odrodzeniu pod kierownictwem p. Łozińskiego, przypisać już należy osłabienie wpływu dziennikarstwa lwowskiego. O ile mi wiadomo, „Gazeta Lwowska“ ma dość poważną liczbę abonentów, a ich koło rozszerza się, może nie tak znacznie, jakby sobie tego życzyć należało, ale przecież w sposób znaczący. Zarzucićby można „Gazecie Lwowskiéj,“ że jako urzędowo-krajowy dziennik, zbyt ignoruje ona Kraków i tę część prowincyi. Czy należy to przypisać atmosferze lwowskiéj, którą oddycha? Niemałe za sobą pociąga koszta wydawanie, obok gazety, wielce cennego, literacko-historycznego pisma: „Przewodnik Naukowy“, o którym wspomniałem już dawniéj. Zasługa p. Lozińskiego jest tém większą, iż nietylko może, ale musi on powiedzieć jak Medea: *Moi dis-je et c'est assez!*.

W saméj rzeczy jest on nietylko duszą ale także ciałem dziennika, a „Gazeta Lwowska“ najzupełniéj i wyłącznie absorbuje go teraz; i nie może być inaczéj, bo p. Łoziński niezdołałby oczywiście znaleźć ani między starymi, ani między młodymi dziennikarzami lwowskimi współpracowników, na którychby się mógł spuścić zupełnie; szkoła p. Dobrzańskiego niemogła wytworzyć ani wytrawnych, ani wytwornych, ani nawet przyzwoitych publicystów, a jednak redaktor „Gazety Lwowskiéj“ musi uczniami z téj szkoły posługiwać

się w braku zupełnym innych, a zatem do olbrzymiéj pracy redagowania dziennika, tego znaczenia i tych rozmiarów, przybywa jeszcze trudniejsza: kontrolowania i czuwania nad niesfornemi, znarowionemi żywiołami, wytworzonemi duchem p. Dobrzańskiego! Jestto bezsprzecznie najcięższa strona zadania. Pojmiecie ile taktu, ile finezyi i delikatnego poczucia potrzeba aby redagować taki dziennik jak „Gazetę Lwowską;“ tych zalet nie mogą posiadać uczniowie szkoły p. Dobrzańskiego, zastępować ją zatém musi wyłącznie niepospolita osobistość naczelnego redaktora. Rzecz ta jest do tego stopnia prawdziwą, że nie daléj jak podczas ostatniéj bytności p. Łozińskiego w Wiedniu, już czuć się dała w dzienniku jego nieobecność, już ohydna i obrzydliwa metoda dziennikarstwa lwowskiego zaczęła pokazywać swe rogi w szpaltach „Gazety Lwowskiéj,“ choćby tylko w bezsensownych i śmiesznych dopiskach do telegramów, w wykrzyknikach i znakach zapytania, niewłaściwych i gorszących, nietylko w urzędowym, ale w każdym poważnym organie, a które wielce zaczęły dziwić zwykłych czytelników Gazety, którzy znaleźli wytłomaczenie dopiero w wiadomości o nieobecności naczelnego redaktora. W części literackiéj zadanie było mniéj trudném, już dla tego, że p. Łoziński znalazł a raczéj odszukał lub stworzył siły rzeczywiście niepospolite, jak p. Kanteckiego, młodego, praco-

witego historyka, który zdaje się chcieć kiedyś zastąpić Szajnochę — daléj sympatycznego autora *kłopotów starego komendanta* Maurycego Dzieduszyckiego, p. Kubalę i innych.

P. Łoziński stwarzając taką „Gazetę Lwowską“ jaką jest obecnie, oddał prawdziwą, rzetelną przysługę, i w kraju — w którym tylu ogranicza się na frazesach, a wielu twierdzi, z godną podziwienia rezygnacyą, że nic nieda się zrobić — on dowiódł, że przy rozumie, wytrwałości i odwadze, najtrudniejsze nawet rzeczy nie są i tu niemożliwemi do przeprowadzenia.

Najdawniéj w Galicyi wychodzącém pismem codziennem, jest tutejszy krakowski dziennik („Czas“); należy on do rzadkich nader zjawisk w tym kraju, bo do rzeczy udanych i trwałych. Założony w pierwszych chwilach życia parlamentarnego w Austryi, bo około 1848 r., liczy on już blizko trzydzieści lat istnienia. Pierwotnymi jego założycielami byli Paweł Popiel, Lucyan Siemieński, Adam Potocki. Niebawem dziennik ten przeszedł na własność głośnego i znanego bankiera Wincentego Kirchmayera, aczkolwiek nie przestał nigdy zostawać pod moralną opieką pierwotnych założycieli. Jedną z licznych a niemałych tutaj zasług, dzisiaj więcej nieszczęśliwego jak występnego Kirchmayera, było sumienne, troskliwe i rozumne opiekowanie się tym dziennikiem. Prawda, że dziennik oddawał mu to sowicie

dając, mu *ipso facto* pozycyę, którejby bez niego nie miał. Kirchmayer był to, rzec można, właściciel *model*. Nie skąpił na utrzymanie dziennika, w pierwszych szczególniéj czasach, zajmował się nim; przecież nigdy nie wywierał na niego pressyi, zostawiając znakomitéj jego redakcyi zupełną autonomię. Po smutnéj, bolesnéj, a tak lekkomyślnéj katastrofie finansowéj Kirchmayera, grono ludzi, których przekonania, stosunki i, powiedzieć można, szczere przywiązanie łączyły z dziennikiem, nabyło go i obecnie jest on jego własnością.

Dzienik ten założonym został od początku, nie jako spekulacya, nie jako interes, ale w celu bronienia pewnych zasad i przekonań w celu mianowicie bronienia zdrowych pojęć społecznych i ekonomicznych, w obec pojawiających się w 1848 roku socyalizmu i komunizmu. Temu pochodzeniu swojemu pozostał on zawsze wiernym; można się zgadzać z nim lub niezgadzać, ale to mu przyznać trzeba; że zawsze występował w obronie pewnych dobrze określonych zasad i przekonań, nigdy nie spekulował, nie frymarczył, nigdy nie stał się interesem. Odpowiednio do tego postępowania, nigdy wprawdzie nie kosztował on, o ile mi wiadomo, i nie narażał swoich rozmaitych właścicieli na straty, lecz też nigdy nieprzynosił im zysków a nawet często nie przynosił procentu od wyłożonego kapitału. Być może, że za Kirchmayera, w połączeniu z drukarnią przynosił niejakie zy-

ski, lecz rzecz to trudna do sprawdzenia z powodu nieładu, który, jak wiadomo, zapanował w interesach tego bankiera.

Nie da się zaprzeczyć, że pismo to jest jedynym tutejszym dziennikiem, około którego skupia się stronnictwo, stronnictwo konserwatywne, szczególniéj téj części kraju, we wszystkich swoich odcieniach, począwszy od ultramontanów, umiarkowano-zachowawczéj szlachty i mieszczaństwa, aż do Stańczyków. Jako właściciele figurują osobistości, jeżeli nie zupełnie jednakowych przekonań, to wielce do siebie zbliżone w głównych i najważniejszych zapatrywaniach, dość wymienić niektóre, aby się o tém przekonać. Głównymi właścicielami są: hr. Artur Potocki, Stanisław Tarnowski, Bank Galicyjski, hrabiowie Ludwik i Henryk Wodziccy, daléj hr. Lasocki, ks. Sanguszko, panowie Badeniowie, Paweł Popiel, Paszkowski, książęta Lubomirscy, Stanisław Koźmian, Henryk Lisiecki, redaktorowie i współpracownicy pisma i t. d. i t. d. W ten sposób około własności dziennika, skupiły się siły i dążenia gotowe we ważniejszych sprawach iść wspólnie, pomimo odcieni, które je między sobą różnią. Pierwotne grono właścicieli było mniéj liczne, lecz następnie zwiększyło się dla zakupienia drukarni, która jest niezbędną podstawą bytu dziennika. Drukarnia, własność *Banku Galicyjskiego*, zakupioną została na rzecz spółki złożonéj z p. Lisieckiego, głównego

właściciela i firmowego wspólnika, z hr. Artura Potockiego i p. Kożmiana, który we współce téj przedstawia tylko właścicieli dziennika, mających znaczny w tym interesie udział. Właściciele powierzyli kierownictwo dziennika *Redakcyi*, któréj pozostawili najzupełniejszą, najrzeczywistszą niezależność, pod względem politycznym, społecznym, religijnym i literackim; czuwają oni tylko nad materyalnemi interesami dziennika i zbierają się w tym celu poufnie, raz lub najwięcéj dwa razy na rok. Ta niezależność *Redakcyi*, jest kamieniem węgielnym i główną podstawą całej instytucyi, bez niéj zapanowałaby anarchia lub samowola. Właściciele objąwszy własność dziennika po Kirchmayerze, pozostawili skład *Redakcyi* niezmieniony, i jéj powierzyli nieograniczenie mozolne kierownictwo losami dziennika. *Redakcyę* tę składają pp. Maurycy Mann, Aleksander Szukiewicz, Antoni Kłobukowski i Lucyan Siemieński, który wyłącznie dzierży część literacko-artystyczną. Aby dokładnie dać poznać dziennik, wypada powiedzieć słów kilka o każdym z jéj filarów, a więc o każdym redaktorze.

Maurycy Mann, powołany z Poznańskiego w pierwszych chwilach istnienia dziennika, jako główny jego redaktor, nieprzestał nigdy być jego duszą, jego, w całém tego słowa znaczeniu, moralnym kierownikiem, zrósł się on z nim i dziś stanowi z nim jednę nierozłączalną całość. Wykształcony

wszechstronnie, wychowany za granicą, mianowicie w Szwajcaryi i Francyi, Mann należał zawsze do najlepszych i najwyższych towarzystw, jest to w całém tego słowa znaczeniu człowiek światowy, a przecież nigdy nieprzestał ani na chwilę być dziennikarzem. Jestto typ dziennikarza *gentlemana*. Wielka prawość, wielka zacność charakteru znamionują tego męża, a umiał on te główne cechy własnéj osobistości nadać dziennikowi, którym blisko już od trzydziestu lat kieruje; nadając mu jednocześnie ten ton przyzwoity i wykwintny dobrego towarzystwa, tak rzadki u nas w codziennéj publicystyce. Mann jest więcéj jak dziennikarzem, to człowiek w najszlachetniejszym tego wyrazu znaczeniu. Jako literat, znanym on jest nietylko na polu dziennikarstwa. Głośną się stała jego książka „Podróż na Wschód“, podróż którą odbył z Adamem Potockim; pisał także dla teatru, a w utworach tych, pomimo usterek, znajduje się niezaprzeczenie siła dramatyczna i oryginalność pomysłów; niektóre jego dramata przedstawione były w Krakowie i Poznaniu. Jako dziennikarz, Mann obdarzony jest talentem, miarą, instynktem, ma on doskonałą znajomość stosunków europejskich, i tę siłę, którą nadaje oparcie się o pewne stałe przekonania społeczne i religijne. Jedyną może jego wadą, iż przez wielką miłość dla dziennika, obawia się on zbytecznie pomylić się, co hamuje

czasem jego inicyatywę; przecież umie ją brać na czasie w sprawach krajowych, czego dowiódł kierunkiem jaki nadał dziennikowi, w chwili przyjścia do władzy p. Schmerlinga—a ówczesny wstępny artykuł dziennika o stanowisku Galicyi w Austryi, pozostanie pomnikiem dziennikarskiéj siły, rozumu i inicyatywy. Mann miał tę wielką cnotę, wspólną z innymi redaktorami tego pisma, że umiał zawsze poświęcić własną osobistość dla dobra dziennika; nadawało to organowi niemałą siłę, aczkolwiek niewiem czy sam na tém dobrze wyszedł. Złączony przyjaźnią z najznakomitszymi ludźmi swojego czasu, nietylko w kraju ale i zagranicą, tak z przekonania jak z obyczaju, przedstawiał on w dzienniku zasady, wyobrażenia i dążności wyższych warstw społecznych, lecz nigdy niedał się porwać ich namiętnościom, nigdy niepoświęcił im rzeczywistego interesu kraju i dziennika; silnych przekonań religijnych niezaparł się ich nigdy, lecz fałszem jest, aby podporządkowywał im istotne dobro kraju lub społeczeństwa. Znamienite jego stosunki, wiele przyniosły i przynoszą dziennikowi korzyści, za ich to pośrednictwem ukazywały się w nim prace lub myśli najznakomitszych ludzi tegoczesnych, za ich pomocą dziennik dobrze był obsługiwany i do dziś dnia miewa korrespondencye i wiadomości z najlepszych źródeł. Dziś trzydziestoletnia wytrwała i nieprzerwana praca, nadwątliła jego zdrowie, niezłamaw-

szy ducha; pisać tyle ile dawniéj, obecnie niemoże, lecz nieprzestał on być moralnym kierownikiem dziennika; nieprzestał zasłaniać go i otaczać tą powagą zacności, prawości i rozumu, tak niezbędną aby utrzymać mir i znaczenie pisma, które nie jest interesem.

Rzadkim, a szczęśliwym trafem, Manna dopełnia w dzienniku najdawniejszy jego kolega Aleksander Szukiewicz. Mąż to silnéj organizacyi, żelaznéj pracy, stanowi on fachową podstawę dziennika, obdarzony zmysłem krytycznym, posiadając dokładną znajomość spraw politycznych, władając wybornie językiem, jest on *la cheville ouvrière* pisma; niezmordowany, nieznużony, a chociaż nie raz ugina się widocznie pod nawałem roboty codziennej, nie lubi jéj komu innemu odstępować. Obeznany ze sprawami świata, stworzył on sobie świat odrębny, w którym wyłącznie żyje, a tym światem jest dziennik, który nieraz zawdzięczał istnienie, jego wyjątkowéj zdolności do nieustającéj pracy. Podczas gdy Mann przedstawia wyższe warstwy społeczne w dzienniku, Szukiewicz najdoskonaléj przedstawia w nim zacną, uczciwą, rozumną średnią klasę, i tém właśnie dopełniają się oni w piśmie; to czego może Mann nie odczułby zawsze dostatecznie, odczuwa Szukiewicz i odwrotnie. Szukiewicz, cięty w polemice, nie wolnym jest czasem od pewnej szorstkości, dowcip jego jest dotkliwy, lecz zwięzłe

jego odpowiedzi na zaczepki mają w sobie siłę i nacechowane są znajomością warunków dziennikarskiego życia. Niezwykła wprawa, rutyna, że tak powiem, sceniczna w zawodzie dziennikarskim, czynią z Szukiewicza wyjątkowego publicystę, który z największą swobodą potrafi w razie potrzeby, zapełnić dziennik od dołu do góry, od kroniki i odcinka do wstępnego artykułu, napisanego zawsze wytrawnie z jasnym i zdrowym poglądem. Oczywiście, że dwie te osobistości, że Szukiewicza i Manna nietylko łączy długoletni zawód dziennikarski, ale ściśle spajają te same moralne przymioty, objawiające się u jednego i drugiego w odmiennych formach. Stanowią oni nierozerwalną całość i siłę dziennika; są to, niepodobni do siebie z rysów twarzy, bracia Siamscy, zrośnięci już po urodzeniu za pomocą pisma, które serdecznie kochają. I rzec można, że Mann-Szukiewicz to dziennik, a dziennik: to Mann-Szukiewicz.

Obok nich, a raczéj z nimi, dzieli w skromniejszych rozmiarach od najdawniejszych lat codzienną pracę, Antoni Kłobukowski, który podpisuje dziennik, jako odpowiedzialny redaktor. Przypomina mi to zabawną anegdotę, malującą niski, niestety, poziom wykształcenia naszéj czytającéj publiczności, a którą zwykł był opowiadać znany z dowcipu Leon Skorupka. Podsłuchał on w restauracyi rozmowę czytelników dziennika,

o którym mowa, dopiero co przybyłych z prowincyi, którzy, widząc na końcu gazety podpis Antoniego Kłobukowskiego, nie mogli się nadziwić i wychwalić pracowitości męża, który codziennie tak obszerne pismo zapełnia utworami własnego pióra. Oczywiście, że p. Kłobukowski niezapełniał ani też zapełnia, jak mniemali owi naiwni czytelnicy, dziennika wyłącznie własnemi artykułami, ale był on zawsze i jest tém koniecznem w machinie kołem, które przyczynia się do jéj regularnego ruchu—umie on nastroić się do ogólnego tonu dziennika, umie odpowiadając za niego przed władzą zachować z taktem granicę między legalnością a potrzebami publiczności; spokojem i zacnością zdania dopomaga nieraz kolegom do utrzymania w dzienniku niezbędnéj dla poważnego organu równowagi. Pracownik sumienny, wytrwały i wierny w złéj i dobréj doli, dzielił on losy dziennika i odpowiadał za niego nietylko podpisem ale i czynem. Od pewnego czasu dzierży on wyłącznie krytykę teatralną, nie łatwą do prowadzenia w tutejszych stosunkach, gdzie zarówno zważać trzeba na rozwój sceny, jak na zachęcanie nielicznéj a apatycznej publiczności do wspierania teatru; gdzie nie należy psuć aktorów i kierowników sceny zbytniemi pochwałami, ani też zrażać publiczności lub dawać jéj pretekst do odsunięcia się od przybytku sztuki. Granic tych umie p. Kłobukowski przestrzegać, rzec można,

wybornie. Obeznany od dawna praktycznie z teatrem, posiada on niezaprzeczenie znajomość przedmiotu, aczkolwiek zamyka się czasem we formułkach; nazwany krakowskim Jules Janin, ze zimną krwią i taktem umie on przepływać przez szkopuły, publiczności, dyrekcyi i aktorów, chociaż nieraz narażony jest na niejednę z tych teatralnych burz, które i wam dobrze są znane; oskarżany często o zbytnie pochwały dla tutejszéj sceny, zdanie jego ma przecież w sprawach teatralnych znaczenie, a dość mieć nieco wprawy i inteligencyi, aby wybornie, między pochwalnemi wierszami jego recenzyi, wyczytać ostrożną, łagodną w formie, ale niemniéj znaczącą naganę i krytykę. Krytykuje on i gani nieraz, ale nie szkodzi teatrowi, a jest to niemała w tym kraju zasługa, gdzie nie umieją inaczéj odszukać siedliska choroby, jak zabijając chorego i dopiero trupa potrafią auskultować. Ile tu rzeczy zabito, chcąc je leczyć!

Na czele felietonu stoi Lucyan Siemieński, pierwszy literacki założyciel dziennika. Nazwisko to wymowniejszem jest od tego, cobym mógł powiedzieć, a zbyt ono jest powszechnie znane, zbyt wielkie w dziejach literatury zajmuje miejsce, aby nie było ubliżającém dla czytelników chcieć ich objaśniać pod tym względem. Jest to zaszczytem i sławą dla dziennika mieć takie nazwisko w składzie redakcyi, mieć nazwisko poety-krytyka

i autora, który tyle pięknych i wspaniałych stworzył rzeczy, a który niedawno temu obdarzył społeczeństwo mistrzowskiem tłomaczeniem *Odyssei*. Siemieński jest dla dziennika czémś więcéj jak współpracownikiem, on jest firmą, przed którą uchyla się głowę. Pierwszy ten dziś, niewątpliwie, stylista u nas, zasilał nieraz dziennik niezrównanemi dowcipem, świetnością stylu i trafnością uwag, artykułami i krytykami, lecz, niestety, zamało, zarzadko, nigdy systematycznie; prawda że téj wartości rzeczy, nie dadzą się wyrabiać na godziny, na funty ani na łokcie, bo to nie tuzinkowe wyroby. Te świetne meteory, które ukazywały się, a teraz coraz rzadziéj ukazują się w dzienniku, nie zastępowały porządnego i ciągle starannego obrobienia odcinka, lecz zaprawdę okupywały ten brak.

Obok tych głównych redaktorów, jest zastęp współpracowników, między którymi wyszczególnia się hr. Dębicki, który rozpoczął swój zawód w szkole Walerego Wielogłowskiego, a następnie stał się uczniem Manna i fanatycznym jego wyznawcą; pisarz nie bez talentu, nie bez treści i myśli, nieco rozwlekły, zanadto czasem jednostronny, aczkolwiek wędruje od felietonu do wstępnego artykułu; uczeń pojętny mistrza, piszący ze zbytnią łatwością, lecz widocznie wyrabiający się z każdym dniem, pod wybornem kierownictwem, człowiek przekonań, i to tak silnych, że

w potrzebie umie stanąć czynnie w ich obronie, co mu powszechny zjednało szacunek, nawet ze strony przeciwników. P. Cyfrowicz, wyborny sprawozdawca spraw miejskich i sądowych, przedstawia pewne prądy miejskie. Oprócz tych, są inni młodzi współpracownicy, którzy, oby wyrobić się potrafili!

Rzecz godna uwagi, że szkoła tego dziennika łatwiej wytwarza publicystów, jak własnych współpracowników; jest ona w tem nieco podobna do teatru krakowskiego, który zasila inne sceny artystami, a sam z trudnością — prócz kilku wiernych — zachować może lepszych. Siłę redakcyi stanowi poniekąd, iż jest w sobie zamkniętą, iż ma swoją tradycyę, nieprzystępną dla wszystkich, iż ma swoje zwyczaje, nawyknienia, swoją metodę i swoje przesądy. Wszystko to stoi przecież na przeszkodzie wytwarzaniu następców. Nie jeden nowy żywioł, czując się po pewnym przeciągu czasu, na siłach, woli opuścić dziennik, jak podrzędne w nim zajmować stanowisko; ztąd też pełno jego współpracowników znajduje się, czy to w miesięcznych przeglądach, czy w Sejmie, czy w Wydziale Krajowym, lub w biurach ministeryalnych w Wiedniu, najmniéj zaś ich pozostaje w piśmie, z którego powstalii.

W ten sposób złożony dziennik, jest niemal jedynym tutaj sumiennym i rozumnym a niezależnym rzecznikiem interesów kraju. Przedewszystkiém ma

on tę wspólną z „Gazetą Lwowską“ zaletę, wielce drogocenną tutaj, że nie zwodzi, nie okłamuje publiczności, pod względem tak większych jak i drobniejszych faktów; podaje on z wielką skrupulatnością wiadomości tylko pewne, podaje je krytycznie, sumiennie, tak, że nawet woli zgrzeszyć zbytnią ostrożnością, choćby się nawet dał czasem wyprzedzić. Niema w nim języka galicyjskiego i wogóle pisany jest dobrą polszczyzną; raczéj podchwytują czasem w tém piśmie, które uchodzi za ultramontańskie, gallicyzmy! Rzeczywiście zdarza się, że dziennik ten używa zwrotów francuzkich, do których nawykł, pisząc o sprawach europejskich, i zajmując się kwestyami dyplomatycznemi. — Wyrażenia i zwroty te streścił Bałucki w owym wstępnym artykule, nad którym poci się biedny radca. W treści swéj, w dążnościach, broni on konsekwentnie pewnych zachowawczych zasad społecznych, broni uczciwie, sumiennie, trzeźwo i zawsze przyzwoicie; z zasady unika osobistych zaczepek, szanuje stosunki prywatne. Jeżeli nie on wyłącznie rzuca w społeczeństwo zdrowe i poważne myśli, to rzec można, że niema od trzydziestu blizko lat jednej zdrowéj myśli, jednéj uczciwéj dążności, jednego żywotnego interesu kraju, którychby nie popierał, za któremiby wytrwale i sumiennie nie przemawiał.

Jemu zawdzięcza ten kraj, że nie zupełnie dał się owładnąć i obałamucić warcholstwu i prze-

wrotnemu dziennikarstwu. Pisany poważnie, spokojnie, przyzwoicie, po europejsku, jest to jedyny organ, którego słowa mają jeszcze jakie takie znaczenie za granicami prowincyi, a był czas, że miały znaczenie niemałe. — Zasługą jest jego, że umiał sobie wyrobić to stanowisko, aczkolwiek, czasem przeceniając je, popadł w słabość częstego polemizowania z „Timesem“ lub „Journal des Debats“, które nie czytają go. Nie goni on, a nawet starannie unika tuzinkowéj popularności, a przecież ma znaczenie w kraju i społeczeństwie, ma to stanowisko, które daje wypróbowana zacność, rozum i poświęcenie, a każdy człowiek poważny i uczciwy, dwa razy się namyśli, nim pójdzie wbrew jego zdaniu. Nie można powiedzieć, aby ogół za nim przepadał, ale nakazuje on szacunek, i bądź-co-bądź imponuje. Zbyt poważny, zbyt staranny, a nawet wykwintny w formie, aby mógł zupełnie przypaść do zepsutego czy niewykształconego smaku tutejszéj publiczności, poważanym jest i ma pozycyę tej powagi, którą wszyscy uznają, aczkolwiek niejednego nudzi, krępuje, a czasem niecierpliwi.

I cóż powiecie na to, że dziennik ten nigdy nie doszedł do liczby prenumeratorów, któremi poszczycić się może taka „Gazeta Narodowa?“ Ma on stałych, wiernych prenumeratorów, na których zawsze liczyć może, lecz koło to nie rozszerza się nigdy znacznie. Każdy się pyta co powie-

dział dziennik? Nie wszyscy go czytają. Smutny to objaw i mało zalecający przykład dla uczciwego dziennikarstwa. Materyalnie wspierają go bardzo znaczne anonse, które przybywają i cisną się do niego, szczególniéj z Wiednia i zagranicy. Dziennik ten jest zadobrze, zaroztropnie, za wstrzemięźliwie, jedném słowem zasumiennie redagowany dla gustu tutejszéj publiczności; aby mu odpowiadał zupełnie, musiałby się zmienić, a tém samém przestać być tém, czem jest. Nawet zwolennicy jego, nieraz zarzucają mu, że jest zaciężki, czasem nudny, zamało urozmaicony. Urozmaiconym on jest dosyć, ale w kierunku poważnym, który nie odpowiada wyobrażeniu o rozmaitości większéj części czytelników; ciężkim być musi nieco, pisząc sumiennie, konsekwentnie i biorąc do serca sprawy, o których pisze; że zaś czasem jest trochę nudny, na to słusznie odpowiada: abym był zabawny, jak to wielu rozumie, musiałbym przyjąć metodę lwowskich dzienników; czy życzycie sobie tego, czy nie widzicie do czego to prowadzi? Być może, że należałoby znaleźć środek i pójść pośrednią drogą. — Przypominać przecież nie trzeba, że to dziennik poważny, który wobec wyuzdania i pospolitości tutejszéj prasy, nie może zgrzeszyć zbytnią ostrożnością i wstrzemięźliwością, i tak formą jak treścią, stać winien wytrwale na straży godności pióra.

Widzimy z tego, co powyżéj powiedziałem, że nie małemi są zasługi tego dziennika, że jest on jedyną tutaj siłą, neutralizującą ujemne dziennikarstwo; pomimo usterek nieodłącznych od rzeczy ludzkich, jest to organ przynoszący zaszczyt tutejszemu piśmiennictwu — i, rzec nawet można, przynoszący wogóle zaszczyt literaturze i zawodowi dziennikarskiemu. Nie wzbogacił on ani właścicieli, ani redaktorów, a ci dzielni pracownicy, ci sumienni i znakomici publicyści, po trzydziestu latach wytrwałéj i zacnéj pracy, żyją ze skromnych redaktorskich pensyj tak samo, jak w chwili w któréj rozpoczynali zawód — a w dniu, w którymby nie mogli pracować, znaleźliby się wobec najzupełniejszéj nędy; ani urzęda, ani zaszczyty nie spłynęły na nich; okrom największego, poczucia spełnionego sumiennie i zacnie do ostatniéj godziny obowiązku.

A społeczeństwo, dla którego pracowali, co uczyniło dla nich? Ze smutkiem wyznać trzeba, że nic, zgoła nic; skąpiło im nawet głośnego uznania, oddając je poniekąd mimowolnie w cichości. Smutny to objaw, powtarzam raz jeszcze, przykra strona tutejszych stosunków, wśród których zbiera się dowoli laury skandalu, lecz nie zdobywa się obywatelskiego wieńca za prawdziwą zasługę. — Rozważcie ten charakterystyczny rys, że nie pomyślano nawet o wysłaniu do sejmu jednego z tych ludzi tak politycznie wytrawnych,

tak obeznanych już przez samą rutynę ze sprawami publicznemi, tak im sumiennie oddanych! Jest to może jedyny przykład, żeby w życiu konstytucyjném nie zasiadał w reprezentacyi żaden członek dziennika, będącego organem znacznego stronnictwa — przykład, który jest zarazem świadectwem ubóstwa politycznego wyborców. A jednak tych ludzi i ich organ cenią niezawodnie tutaj, skoro nigdy nie powiodły się liczne próby założenia w Krakowie dziennika w rodzaju lwowskich. Próbowano pod różnemi formami i nazwiskami, bezowocnie i monopol pozostał zawsze przy dzienniku, którego charakterystykę podałem, a który trzeba mu to przyznać, może strzedz lubi tego monopolu, lecz nietylko nie nadużywa go ale umie używać go z wykwintnym taktem, z miarą i sumiennością. Zaczepiany wiecznie przez lwowskie dzienniki, umie być wstrzemięźliwym i przyzwoitym w polemice, a w niecnie, przez tamte, podniecanym bezrozumnym antagonizmie Lwowa z Krakowem, zajmuje on jedynie odporne stanowisko. Jest to jedyny dziennik galicyjski, któremu nie idzie o osoby ale o rzecz. Można, powtarzam, nie zgadzać się z nim, można wytknąć mu tu i owdzie błędy, usterki, lecz ktokolwiek się szanuje, nie odmówi mu szacunku.

Niedawno temu ukazał się tu dzienniczek niepolityczny „Kuryer Krakowski“, o którym nic jeszcze stanowczego powiedzieć się nie da; chyba

że dość szczęśliwie zaczyna naśladować „Kuryery Warszawskie“, że jest przyzwoity; że, jak się zdaje, nieuczciwym nie będzie, i że w ostatnich dniach nieco się ożywił.

Pozostaje mi jeszcze, dla dopełnienia obrazu dziennikarstwa tutejszego, pomówić o miesięcznych pismach, oraz wspomnieć o mniejszych publikacyach ludowych i fachowych. — Odkładam to do następnych listów.

XIII.

Kraków, 12 grudnia.

W życiu publicznem galicyjskiem nastała po wyborach stagnacya. Wedle wskazówek nadchodzących z Wiednia, sejmy nie tak prędko się zbiorą, bo prace Rady Państwa w sprawie ugodowej potrwają do lata. Gdyby jednak przyszło do zmiany ministeryum, prawdopodobnie nastąpiłoby rozwiązanie Rady Państwa i wcześniejsze zwołanie sejmów. Po za temi ważnemi sprawami, wcale dotąd niewyjaśnionemi, inne drobniejsze idą zwykłym trybem, lecz nie przedstawiają nic takiego, coby godnem było wzmianki na tem miejscu. Wrzekome zachcianki jakiejś chorobliwej ruchliwości, po za granicami poważnych i rzeczywistych kwestyi krajowych, nie warte nawet

wspomnienia, rozbijają się o zdrowy rozum i praktyczność ogółu; są to poprostu objawy warcholstwa jednostek, bez jutra, a które żadnego nie znajdują w społeczeństwie odgłosu. Do ich rzędu policzyć należy zamiar pewnej lwowskiej kliki, powołania posłów tamtejszych do Rady Państwa, aby wytłómaczyli się z postępowania swojego podczas obrad nad polityką zewnętrzną monarchii. Zamiar ten nie znalazł najmniejszego poparcia w opinii publicznej, która natychmiast zaliczyła go do rzędu „tromtadratycznych“ nawyknień lwowskich. Posłowie odmówili stanąć przed wyborcami, a nawet p. Smolka miał bardzo stanowczo i ostro odpowiedzieć na to nieuprawnione wezwanie; nareszcie namiestnictwo najrozumniej postąpiło, zabraniając zwołania owego zebrania, które było wymysłem zaledwie kilku indywiduów. Wszystko to świadczy najwymowniej, że, jak wam pisałem, kraj chce się trudnić tylko rzeczywistemi swojemi interesami i pragnie zachować ową neutralność, o której w ostatnim liście wspomniałem.

Jak już wiecie i jak już donieśliście, straciliśmy na niwie owych rzeczywistych interesów krajowych dzielnego i znakomitego pracownika, Maurycego Manna. Kilka dni przed jego tak niespodziewaną śmiercią, nakreśliłem główne rysy tej postaci. Teraz, gdy go już między nami nie ma, nie mam nic do dodania lub ujęcia z tego, co powiedziałem o nim. Świadczy to najlepiej,

iż był to mąż, o którym całą prawdę wypowiedzieć można było za życia. Z tego, co wtedy napisałem, osądzić możecie ważność i doniosłość poniesionej straty; jeżeli ona jest dotkliwą dla piśmiennictwa i społeczeństwa, to tem dotkliwszą jest dla dziennika, którego Mann był duszą, a w wielu wypadkach tarczą. Dziennik ten jednak opiera się o dość silną grupę ludzi, zatem niewątpliwie pomyślą oni o jego przyszłości; a tymczasem, wspierany wyborną tradycyą i doświadczonemi a wypróbowanemi siłami, które pozostały, spełniać będzie dalej swoje powołanie. Już 4 b. m. odbyło się zebranie właścicieli, w celu porozumienia się i zastanowienia nad położeniem dziennika; odłożono przecież podobno ostateczną decyzyę do przyszłego miesiąca, prosząc i upoważniając pozostałą Redakcyę, aby dalej kierowała nawą dziennika.

Świat naukowy tutejszy poniósł także znaczną stratę w osobie prof. Skobla. Był to cichy, spokojny człowiek, oddany wyłącznie nauce, a wojowniczym był tylko w sprawie czystości języka ojczystego. Nad grobem jego miał mowę prezes Mayer. Dr. Skobel był w swoim rodzaju typową postacią, a nawet oryginałem; należał on do epoki, która wytwarzała jeszcze typy, gdy nasza coraz jest w nie uboższą. Jakby dla zrównoważenia ich braku w życiu, ujrzemy niebawem cały ich szereg na scenie nakreślony ręką mistrza w odtwarzaniu

ich i chwytaniu na gorącym uczynku. Już znany wam jest rezultat narad *Rady*, powołanej przez syna Fredry, do rozpoznania pośmiertnych jego dzieł scenicznych. Narady te odbywały się głównie tutaj, dokąd w tym celu przybył hr. Jan Aleksander Fredro. Spis pozostałych po nieśmiertelnym komedyopisarzu utworów najwymowniej świadczy, jak ważną i doniosłą jest jego spuścizna dla naszych teatrów. Należałoby dla dobra sceny, aby tak publiczność, jak i krytyka, wyjątkowo nastroiły się do przyjęcia tych utworów; ażeby tak, jak czynił Machiavel, gdy zasiadał do czytania starożytnych autorów, przybrały świąteczne szaty; a przez to rozumiem, aby tak publiczność jak krytyka, pozbyły się w tym wypadku wszystkich już wyszarzanych drobniutkich i poziomych względów i względzików, aby zawiesiły formułki, a przystąpiły do tych przedstawień w pełnym stroju zamiłowania i znawstwa, o ile stać na to ostatnie. Utwory pozostałe po Fredrze nie mogą być w żadnym razie pospolitemi, bo by je autor spalił, lub syn jego i powołana Rada nie dopuściły na scenę, na to aby niemi zaćmić najczystszą sławę. Mierzyć te utwory zwykłą miarą, byłoby meskinerią. O ile sądzić mogę, z rozmów z członkami rady, płody te, wielkiego talentu, są w każdym razie wyższe i znamienitsze od tego wszystkiego, co się na naszych scenach ukazało od zamilknięcia Fredry. Są przecież między niemi

różnice i stopnie wyższe i niższe, tak samo, jak w znanych już utworach. Zdaje się, że w ogóle obawa, iż dla aktorów dzisiejszych trudnem będzie zadanie występowania w pośmiertnych komedyach Fredry, była płonną; nie ma bowiem podobno w nich owych zaginiony typów przeszłości ze „Zemsty“ lub „Pana Jowialskiego“; przeciwnie, Fredro ze swego pokoju śledził bacznie ruch i postęp świata, i nieznane jego komedye mają być zastosowane do bieżących czasów; ma nawet być w nich ruch nierównie większych, jak w znanych już, i tem mają się zbliżać do komedyi francuzkiej, zachowując przecież piętno oryginalności Fredrowskiej, i w wysokim stopniu charakter krajowy. Rada bardzo roztropnie postąpiła, dzieląc przedstawienia tych siedemnastu utworów na trzy lata. Widocznie pamiętną ona była tej zasady, że najlepsza rzecz podana w zbytniej obfitości może przesycić. Są i inne względy, które przemawiają za postanowieniem Rady: komedye Fredry winny być z największą dokładnością i możliwą doskonałością wystawione; otóż niepodobna, aby aktorzy w jednym roku mogli należycie i artystycznie wystudiować siedemnaście utworów tego znaczenia, siedemnaście utworów zawierających w sobie niewątpliwie wielką ilość pierwszorzędnych typów scenicznych. Nareszcie, choćby to było możliwem, niepozostałoby miejsca dla innych nowych oryginalnych sztuk w repertuarze,

coby było niesprawiedliwością i ze szkodą dla kiełkującego rozwoju swojskiej literatury dramatycznej. Zapewniono mnie, iż rozkład przedstawień tak jest ułożony, że nie od razu, ale w każdej seryi ukazywać się będą najcelniejsze utwory, obok utworów niższej względnie wartości. Teraz nie pozostaje nam, jak oczekiwać z artystycznem namaszczeniem, a broń Boże! z banalną ciekawością, ukazania się na scenach pierwszej seryi utworów pośmiertnych Fredry; to nie gazeta, — w którejbyśmy mogli szukać nowin i nowinek, to dzieło, do przeczytania którego trzeba nam zasiąść z pewnem przygotowaniem. Mentorem, a raczej Arystotelesem publiczności w tym wypadku, winno być poważne dziennikarstwo. Tutaj, w Galicyi, krytyka teatralna, z małemi wyjątkami, jest zbyt pobieżną, zbyt zaniedbaną, a we Lwowie zupełnie pauperską. Nie wątpię przecież, że w tym wypadku poważna część dziennikarstwa tutejszego, o której pisałem w poprzednim liście, potrafi sprostać zadaniu. Pisma nie trudniące się, w zwykłych okolicznościach, zbyt często teatrem, nie zechcą zapewne pozostać w tyle za innemi, gdy przyjdzie ocenić pośmiertne dzieła Fredry. Przybędzie wtedy sąd hr. Tarnowskiego w tutejszym „Przeglądzie“; krytyk ten dowiódł już, że zna się na pięknościach komedyi Fredrowskich.

Przyznać trzeba, że jeżeli nasze pisma miesięczne w zwykłych okolicznościach nie zawsze

odpowiadają zadaniu, to w nadzwyczajnych umieją one nastroić się do ważności chwili lub przedmiotu; powiedziałbym nawet, że jest to ich głównem znamieniem. Stosownie do wziętego zobowiązania, zamierzam właśnie podać wam dziś ich charakterystykę.

A przedewszystkiem z niekłamanem zadowoleniem zapisuję, że obadwa „Przeglądy“ miesięczne wychodzące w Galicyi, należą do dodatniego piśmiennictwa; zadowolenie moje łatwo pojmiecie, bo czujecie niewątpliwie, jak przykrem i wstrętnem jest dotykanie się tak niesmacznego i cuchnącego przedmiotu, jakiem jest całe tutejsze dziennikarstwo, które w przeszłych listach podciągnąłem pod nazwę dziennikarstwa ujemnego.

We Lwowie wychodzi od lat, jeżeli się nie mylę, sześciu „Przegląd Lwowski“ dwa razy na miesiąc, 1-go i 15-go; każdy zeszyt ma od pięciu do sześciu arkuszy druku. Jestto pismo niemal wyłącznie religijne i znajduje też największe poparcie w duchowieństwie; prawie każdy proboszcz abonuje je, co mu pozwala dosięgnąć do liczby ośmiuset prenumeratorów, liczby, z którą tutaj pismo miesięczne — może poniekąd żyć o własnych siłach. Przytem ma on podobno zamożnych protektorów, a miał ich z pewnością w chwili, gdy go założono. Głównym jego redaktorem jest ksiądz Edward Podolski; między współpracownikami znajdują się: hr. Ludwik Dembicki, pisujący do tego

pisma z Krakowa, znany autor hr. Maurycy Dzieduszycki, wymowny a przeważnie polemiczny kaznodzieja, ks. Golian; wielu światłych i uczonych członków Zakonu Jezusowego, a między nimi głównie ks. Załęski. Ks. Podolski odznacza się pewną ruchliwością, ożywieniem, inicyatywą i odwagą w popieraniu i obronie przekonań, za któremi stoi; posuwa on nawet czasem tę odwagę aż do lekkomyślności, mogącej szkodzić sprawie, dla której naraża siebie i pismo swoje. Będąc przedmiotem pocisków humorystyki, ma on zbyt często pochopność do walczenia z nią, jej własną bronią. Ks. Podolski przezwany przez paszkwilistów tutejszych *Edziem*, marzył o stworzeniu humorystyki katolickiej, i chciał ją wyprowadzić w pole przeciw bezwyznaniowości; spostrzegł się przecież, że taka ruchawka nie daje żadnej rękojmi, że gotowa zawsze przejść do nieprzyjaciela, bo natura ciągnie wilka do lasu; zaniechał też tego płochego zamiaru. Przecież ciągła polemika z dziennikarstwem lwowskiem popycha nieraz „Przegląd Lwowski“ do zbyt namiętnych wycieczek i do używania zwrotów i wyrażeń, których nie powstydziłaby się „Gazeta Narodowa“ lub „Dziennik Polski“. Pismo to wyraża się nieraz gwałtownie. Pojmiecie łatwo, iż z natury swej jest ono jednostronnem. Czuć je sutanną. Rzecz godna uwagi, jak często, w najszanowniejszych pismach religijnych mało jest miłości chrześciań-

skiej. Jestto niewątpliwie skutkiem zbyt silnych acz godnych szacunku przekonań. U nas jest jeszcze inna tego przyczyna, u nas prawie wszyscy dziennikarze i literaci religijni zachorowali w polemice na *veuilliotyzm*. To co u Ludwika Veuillot jest wrodzonem, werwa, sarkazm, siła w wyrażeniach, sztucznem jest u jego naśladowców. Wielu z nich mniema przecież, że spełnienie całkowite obowiązku polega na naśladowaniu formy używanej przez słynnego ex-redaktora „Uuivers“; są oni poronionemi płodami rozgorączkowanego sumienia. W zapale „Przegląd Lwowski“ strzela czasem nie tylko do przeciwników, ale nawet do naturalnych sprzymierzeńców. Przed paru laty uderzył on na tutejszy arcykonserwatywny „Przegląd Polski“, upatrując w nim bodaj czy nie początki nowej herezyi, którą ochrzcił nazwą *moderantyzmu*. Walka ta skończyła się przecież zgodą i, lojalnem ze strony „Przeglądu Lwowskiego“ poparciem „Przeglądu Polskiego“, gdy ten ujrzał się obskoczonym ze wszech stron w niebezpiecznym przesmyku owych głośnych *Porcyi*. „Przegląd Lwowski“, jak każda rzecz ludzka, a jest nią i to pismo, pomimo swej pobożnej treści i religijnej dążności, ma wady i niedostatki. — W sprawach krajowych ma barwę wyraźnie federalistyczną, już przez sympatyę do konserwatywno-klerykalnego stronnictwa w Austryi. Nienawiść jaką mu zaprzysięgło ujemne dziennikarstwo,

podnosi jego znaczenie i wartość w oczach ludzi uczciwych i rozsądnych. Ma on tę zasługę, iż rzuca nieco światła w szeregi tutejszego duchowieństwa, które nie błyszczy umysłowem wykształceniem. Życzyć sobie należy, aby kiedyś nie popadł w to, co pewien mój przyjaciel dowcipnie nazywa *tromtadracyą* konserwatyzmu i klerykalizmu; bo wtedy, broniąc nawet najlepszej sprawy, zbliżyłby się bezwiednie formą i metodą do tych, z którymi dziś wytrwale walczy — i zamiast jednej *tromtadracyi*, którą pogardzać można, mielibyśmy drugą, nad którą ubolewać by trzeba.

Najwybitniejszem z tutejszych dodatnich pism jest niezawodnie „Przegląd Polski“, wychodzący zeszytami dziesięcioarkuszowemi, raz na miesiąc, pierwszego. Stanowisko społeczne i polityczne jego założycieli i redaktorów nadało mu od razu wyjątkowe znaczenie. Powstał on w roku 1866, w chwili nader ważnych wypadków, bo podczas wojny prusko-austryackiej. Czterech, wówczas młodych ludzi, czując potrzebę pracy dla siebie i innych, czując, że im większa była próżnia, tem skwapliwiej należało ją zapełniać, powzięło myśl założenia pisma peryodycznego, przedstawiającego trzeźwo, sumiennie, a przedewszystkiem rozumnie, istotne interesa społeczeństwa. Od początku zatem pismo to wolnem było od wszelkich spekulacyjnych zachcianek, lecz nie wolnem zarazem od pewnego dyletantyzmu i złudzeń; aczkolwiek

w ważnych sprawach brało sobie za zadanie walkę ze złudzeniami. Pod względem formy, założyciele widocznie *schwärmowali*, że użyję tego obcego wyrażenia, do „Revue des deux Mondes“ i marzyli o założeniu dla naszego społeczeństwa coś podobnego do znakomitego pisma kierowanego przez p. Buloz. Pismo założonem było przecież głównie pod głębokim wpływem niedawnych smutnych wrażeń a może i wyrzutów sumienia.

Ziawiskiem to było zaiste u nas, aby *des fils de famille*, zamiast oddawać się zabawie, lub smętnemu rozpamiętywaniu, zamiast gonić za osobistemi zyskami lub wyczekiwać filozoficznie lepszych czasów, wzięli się do pracy i wstąpili od razu z podniesioną przyłbicą, bo z własnemi podpisami, w szranki publicystyki i literatury. Było to więcej jak założeniem pisma, bo czynem obywatelskim i dobrym przykładem.

Panowie hr. Stanisław Tarnowski, hr. Ludwik Wodzicki, Stanisław Koźmian i Józef Szujski, założyli „Przegląd Polski“ w r. 1866 r. i pierwszy jego zeszyt wyszedł 1 lipca tegoż roku pod odpowiedzialną redakcyą p. Koźmiana, z programowym artykułem dzisiejszego ministra, p. Floryana Ziemiałkowskiego, a przy odgłosie dział z pod Sadowy.

Zanim pomówię o dalszych losach pisma, winieniem powiedzieć słów kilka o jego redaktorach, tem więcej, że w tym wypadku osobistości wię-

kszego może są znaczenia, jak samo przedsięwzięcie.

Hr. Ludwik Wodzicki, nie mieszkając stale w Krakowie, nie mógł brać czynnego udziału w redakcyi pisma, przecież zasilał je czasem zdrowemi artykułami o sprawach krajowych, zawsze był z niem moralnie związany, wpływał na jego kierunek, a chociaż może, szczególniej później, nie zawsze pochwalał pewne excentryczności „Przeglądu“, przecież lojalnie solidaryzował się z nim i stał w jednym szeregu z jego czynnymi redaktorami. Charakterystykę przyszłego marszałka sejmowego podałem już w jednym z poprzednich listów; nie będę jej zatem tu powtarzał. Dziś zajmuje on jedno z wybitnych stanowisk w tym kraju, i zbyt jest znanym jako członek sejmu, poseł do Rady Państwa, zbyt wiadome są powszechnie wysokie godności, które mu często ofiarowywano, a których dotąd, dla różnych powodów nie chciał przyjąć, abym potrzebował rozwodzić się nad tą osobistością, która wiele obiecując, ma jeszcze przed sobą zadanie zapełnienia karty, zwanej w życiu publicznem — niewiadomą.

Hr. Stanisław Tarnowski, piórem i kieszenią najczynniejszy współpracownik „Przeglądu Polskiego“, zdobył sobie od chwili założenia pisma, tak głośne i wybitne stanowisko w literaturze, że jeżeli zawdzięcza to po części „Przeglądowi“, to bezsprzecznie, „Przegląd“ jemu zawdzięcza mo-

żność nadawania rozgłosu. Jestto, tak pod względem serca, jak i umysłu, wyjątkowo szlachetna i bogata organizacya; jest to jedna z tych osobistości, które czynią zaszczyt każdemu społeczeństwu, a które w takich jak tutejsze stosunkach i okolicznościach, są ich ozdobą i stają się drogocennym czynnikiem życia umysłowego i w ogóle wszelkiego życia. Hr. Tarnowski znanym jest, jako mówca, publiczności warszawskiej. Nabrał on w ostatnich czasach wielkiej wprawy w wymowie, na której zbywało mu w początkach. Mówi łatwo, zajmująco, pociągająco, czasem w dykcyi trąci nieco przesadą, aczkolwiek sam wysoko ceni prostotę. Lekki odcień afektacyi, który możnaby mu zarzucić, nie jest mu wrodzonym, pochodzi on raczej z nieśmiałości, której, pomimo tylu publicznych wystąpień, nie mógł się dotąd całkiem pozbyć. Jako krytyk, hrabia Tarnowski włada niezrównanie piórem; to co pisze jest często zabawniejszem i więcej zajmującem, jak to o czem pisze. Umie on rozciekawić, nawet rozmiętnić do przedmiotu, o którym mówi. Widzi on zawsze wszystkie piękności dzieła i umie je roztoczyć przed czytelnikiem, czasem upatruje błędy, których nie ma lub które niewarto podnosić. Obok wspaniałego sposobu podniesienia dodatnich stron, zanadto jest drobiazgowym w odszukiwaniu usterków. Nienawiść do mierności stała się u hr. Tarnowskiego namiętnością, która jak każda

namiętność, zaślepia i skłania do przesady. Uznaje on tylko to, co stoi u szczytu piękna, i umie to po mistrzowsku ocenić; zapoznaje lub pastwi się nielitościwie nad całą skalą, łączącą szczyty z poziomem, a nawet zbytecznie nieubłaganym jest dla poziomu. Dlatego krytyka jego, kiedy opuszcza szczyty, przemienia się w niezrównany dowcipem i sarkazmem pamflet, ale w pamflet. Z temi zaletami pierwszorzędnemi i oryginalnemi wadami, hr. Tarnowski jest niezaprzeczenie jednym z najświetniejszych u nas krytyków; czyta się go, już nie dla tego, aby zapoznać się z przedmiotem, który rozbiera, ale ażeby dowiedzieć się, co on o nim myśli.

Jako publicysta, hr. Tarnowski ma niesłychaną, może zbyteczną łatwość pióra; przejęty zawsze stroną moralną przedmiotu, rzuca świetnie na papier zdrowe myśli; czuć w tem co pisze: sumienie! Czuć, że spełnia obowiązek, a w ważnych sprawach niknie literat wobec obywatela. Ta gorąca miłość rzeczy publicznej, może go czasem popchnęła niebacznie za daleko, lecz zawsze w dobrej wierze, w najszlachetniejszych zamiarach, a bez myśli o sobie, lecz z miłością dla rzeczy. Wielka odwaga znamionująca „Przegląd“, jest także wybitnym rysem hr. Tarnowskiego, jako publicysty, posuwa on ją nie raz do bezprzykładnej śmiałości. Jest to rycerz który walczy dzielnie, czasem nawet zapamiętale, bo walczy zawsze

z przekonania. Połączenie niezwykłego uzdolnienia umysłowego, niezwykłej organizacyi literackiej, z wszystkiemi pierwszorzędnemi zaletami i, powiem nawet, wadami człowieka, stanowi urok tej osobistości. Czytając świetne artykuły hr. Tarnowskiego, pełne werwy, dowcipu, sarkazmu, czasem namiętne, mało kto mógłby się domyślić, że pierwszym początkiem jego zawodu literackiego nie było co innego, jak głębokie poczucie obowiązku; a przecież tak jest, i hr. Tarnowski jest przedewszystkiem człowiekiem obowiązku. Należy on do tych, dla których świetne imię i stanowisko są tylko wskazówkami Opatrzności, iż im przypada zadanie pracowania dla innych i za innych! Tem uczuciem powodowany, szukał on zawsze namiętnie sposobności do pracy i okazał się w niej niezmordowanym. W dojrzałym już wieku, niezadawalniając się pracą w „Przeglądzie“, sejmie, Radzie Państwa, postanowił zostać profesorem wszechnicy Jagiellońskiej i w przeciągu roku zdał liczne a trudne egzamina, które potrzebne były do zajęcia katedry; zdał je ze zdumieniem egzaminatorów, a przy moralnych oklaskach całej zdrowej i uczciwej publiczności. Dziś, jedyną ujemną stroną jego egzystencyi jest, iż zbytecznie jest obciążonym pracą i zbyt wiele bierze na swoje barki. Hr. Tarnowski zawiele pisze i o zbyt rozmaitych przedmiotach; uniwersalność jest dla tej pięknej organizacyi szkopułem, którego strzedz się po-

winna. Nie należy drobną monetą roztrwonić tak drogocennego a rzadkiego u nas kapitału, nie należy o wszystkiem przemawiać, kiedy się ma przywilej przemawiania skutecznie w ważnych sprawach i decydujących chwilach. Lecz ten wyjątkowy człowiek, ten człowiek obowiązku, ten nielitościwy krytyk, ten Jowisz piorunujący na mierność, ten smok, połykający na śniadanie tuziny tuzinkowych poetów i artystów a nigdy nie nasycony, ten Cato czy Skarga we fraku, chłoszczący największe i zbyt drobne zdrożności naszego społeczeństwa, jest najlepszym i pełnym serca człowiekiem. Niczego odmówić nie umie, od wielkiej usługi do drobnej, od mowy pogrzebowej nad mogiłą znakomitych ludzi, do nekrologu o zupełnie nieznanej osobistości; nie umie zaś przedewszystkiem usunąć się od żadnej pracy, i dlatego obarczają go nią zbytecznie. Hr. Tarnowski jest zbyt znakomitą osobistością, aby miał się stać *un homme pour tout faire!*

P. Koźmian, przechodząc z „Czasu do „Przeglądu Polskiego“, przynosił ze sobą najwięcej fachowych dziennikarskich wiadomości; był on pod tym względem najmniej dyletantem, objął też i nadał kierunek polityczny pismu, redagując w niem przez dziesięć lat „Przegląd polityczny“ i umieszczając w dość wielkich odstępach artykuły o ważniejszych sprawach zewnętrznych i krajowych. Obdarzony trafnym zmysłem politycznym,

umiejący dotknąć najważniejszego punktu każdej sytuacyi, z powodu nieco rozrzuconego sposobu życia, nie zawsze chce, czy umie sobie zadać pracę wyrobienia przedmiotu. Rzuca on myśli, zostawiając innym opracowanie szczegółów. Styl jego, czasem poprawny a nawet świetny, zbyt często w skutek zaniedbania, jest „szlafrokowym“ a nawet ten wyraz utarł się już tutaj, aby określić jego sposób pisania. Zwykle czuć, w tem co pisze, pośpiech, chęć prędkiego skończenia rozpoczętej pracy; czuć, że artykuł pisanym był między próbą w teatrze a partyą w klubie. Ma on zasługę odważnej, otwartej, czasem także zbyt daleko posuniętej walki z głupstwem i z brakiem odwagi cywilnej. Karcił on zawsze nielitościwie, zapamiętale te dwie wady społeczeństwa. Zaprawiwszy się na tej każdomiesięcznej walce, zasmakował w niej i doszedł widocznie do tego, że z nieukrytą przyjemnością zaczepiał i gromił przeciwników, czasem nawet bez potrzeby. Nie mogąc czy nie chcąc być popularnym, starał się o rozgłos który daje niezwykła niepopularność. Było w tem zapewne wiele prawdy, wiele głębokiego przekonania, ale było niewątpliwie także wiele chęci zwrócenia na siebie uwagi. Żadnego też może z redaktorów „Przeglądu“ tak zajadle i systematycznie nie szarpały tutejsze dzienniki i tutejsza humorystyka, jak p. Koźmiana. Odwdzięczał się im sowicie. Przez długi czas, nie tylko nie unikał

ale poszukiwał z zapałem polemiki, a ktoś o nim powiedział: „że jego zadaniem jest kłócić się ze wszystkiemi“. Jak hr. Tarnowski upatrzył sobie ofiarę w mierności literackiej i artystycznej, tak p. Koźmian obrał sobie za przedmiot prześladowania—chęć popularności, twierdząc, iż ona była i jest źródłem wszelkiego u nas złego, a tak dalece posunął jednostronność i namiętność w tym względzie, że popadł w przeciwną ostateczność, to jest, że doszedł tam, gdzie niepopularność szkodzić już zaczyna, nie tylko człowiekowi, ale rzeczy, nie tylko osobistości ale i sprawie której się broni. Obrany posłem z tarnowskiego a następnie członkiem Rady Państwa, wypełniając te nowe obowiązki nie bez znajomości rzeczy, lecz z pewnem artystycznem lekceważeniem i wygodnem *dolce farniente,* a z wielką stanowczością zdania i drażniącym sposobem wyrażania go, sam jeden oświadczył się przeciw opuszczeniu Rady Państwa w r. 1870 czy 1871 r., i niezadługo doszedł do najzupełniejszego nieporozumienia z wyborcami. Od owej chwili objął, jak wiadomo, dyrekcyę teatru tutejszego, nie przestając być politycznym redaktorem „Przeglądu“. Człowiek to niezaprzeczenie obdarzony od natury, lecz nie chcący czy nie umiejący dostatecznie rozwinąć i zużytkować wrodzonych darów, zastępujących u niego niezupełnie gruntowną naukę. Mniemano przez długi czas, iż zachowuje się na ważniejszą chwilę życia

publicznego, lecz jakoś ta chwila nigdy nie nadeszła. O nim to powiedział ów Wainінger, dziś oskarżony w sprawie nie legalnie nabytych starożytności w Wiedniu, lecz człowiek nader sprytny, że Kożmian *das ist liegendes Capital*, czyniąc dowcipnie alluzyę do zbyt długiego spania deputowanego do Rady Państwa. Określenie to złośliwe było trafnem. P. Kożmian zerwał w publicystyce z utartemi formułkami, lecz w polemice dochodził czasem do ostatnich granic, po za któremi mogło nastąpić zetknięcie się z metodą ujemnego dziennikarstwa tutejszego. Po słynnej sprawie *Porcyi*, w której czynny i wybitny, a w skutkach szkodliwy, wziął udział, zaprzestał pisywać „Przeglądy polityczne“ i dopiero w tym roku odezwał się w artykule o Fredrze i w owym programowym artykule o „Naszych stosunkach“, którego treść jest wam znaną. Określić dokładnie p. Kożmiana, nie jest rzeczą łatwą; dla tutejszej szlachty ten publicysta ultrakonserwatywny, tak w społecznym jak i religijnym kierunku, a zarazem, chociaż z urzędu, gość zakulisowy i członek czynny kilku klubów, jest zjawiskiem, z którego sobie dokładnie zdać ona sprawy nie może; niewątpliwie są tu sprzeczności, a zdaniem mojem, pochodzą one głównie ztąd, że p. Kożmian zbyt często zapomina, że nie jest w Paryżu ani w Wiedniu, ale w Krakowie. Dość, że aczkolwiek jest on tu w ogóle lubianym a nawet cenionym, przecież stał się je-

dną z najniepopularniejszych osobistości i, w wielu kierunkach, z własnej winy, osobistością zneutralizowaną i ubezwładnioną: *ein liegendes Capital.*

Spotykasz nieraz człowieka z włosami i brodą w nieładzie artystycznym, ze staremi książkami pod pachą, spieszy on roztargniony, a raczéj zamyślony z „Akademii“ na Sławkowskiéj ulicy do „Uniwersytetu“ na ulicy Ś. Anny, lub odwrotnie; mija idących znajomych, lecz gdy go zaczepisz, wita cię tym serdecznym i miłym uśmiechem, w którym odbija się niejako dusza jego; to Józef Szujski, trzeci redaktor „Przeglądu Polskiego“ i jedna z najsympatyczniejszych i najszlachetniejszych postaci tutejszych.

Pan Szujski zbyt jest znanym jako historyk i poeta dramatyczny, abym rozwodził się nad nim pod temi względami; ramy tych listów nie wystarczyłyby zresztą na pomieszczenie sumiennego ocenienia tych niepospolitych prac, na których osobistość czcigodnego autora wycisnęła swe piętno.

P. Szujski jest przedewszystkiem człowiekiem serca; to co miłuje, miłuje gorąco i właśnie dla tego wzywa na pomoc rozumu, wiedząc, że bez téj pomocy szkodzi się zwykle temu, co się miłuje. Poeta w duszy, prawdziwy zatém poeta, nie tylko w rymach, ale w każdym „calu“ swojego jestestwa, nie był on nigdy wolnym od pewnych porywów i entuzyazmów; dopiéro ową wielką

miłością doszedł do pohamowania ich w tém, czém mogły się stać szkodliwemi, doszedł do zupełnéj równowagi ze samym sobą i do ujęcia w karby rozumu postępowania swojego, swojéj fantazyi i swoich porywów. — Była niezawodnie chwila w jego życiu, w któréj nie stał na tém stanowisku, jakie dziś mężnie i wytrwale zajmuje; tém samém był on (nigdy zupełnie), ale nieco oddalonym od wyobrażeń „Przeglądu Polskiego“.— Przystąpienie jego do założenia tego pisma, miało zatém znaczenie i doniosłość; dowodziło, że zacne serca i wyższe umysły czuły potrzebę zmienienia dotychczasowych zgubnych dróg. Wejście p. Szujskiego na tę drogę, powitane przez jednych z radością, srodze przez drugich potępione i nazwane odstępstwem, było ważnym faktem, który wzmocnił w tym kraju sprawę rozsądku i uczciwości publicznéj, przynosząc jéj pomoc zaszczytnéj przeszłości, sumiennéj pracy i niezwykłego talentu. P. Szujski obeznany wszechstronnie z dziejami, wniknąwszy w ich istotę; czerpał i czerpie z nich naukę życia i postępowania w teraźniejszości. — Warcholstwo i anarchia przedstawiły mu się w dziejach, jako najzgubniejsze, najujemniejsze znamiona charakteru narodowego, karci je zatém nielitościwie, jako publicysta, ale karcąc, nie przestaje miłować; wszystko, co z pod jego pióra wychodzi, ma w sobie to ciepło, które ogrzewa a nie parzy. Pisząc, nigdy nie myśli o sobie. Wśród

niezliczonych piękności stylu i myśli; wciskają się niekiedy pewne niejasności, nie pochodzą one z nieświadomości celu i zamiaru, ale z bujnéj fantazyi, z wykwintnego sposobu myślenia, nie zawsze przystępnego dla ogółu. P. Szujski zanadto liczy na domyślność publiczności, a idąc za polotem wyższéj myśli, nie dość wyraźnie wciela ją. Jest on artystą, dla którego wstrętném jest kładzenie zbytniego nacisku. Rozmiłowany w ideałach piękna, chciałby je widzieć urzeczywistnionemi w postępowaniu i czynach społeczeństwa, lecz zbyt jest rozumnym, aby oddawał się pod tym względem złudzeniom! Aspiracye zatém jego pozostają platonicznemi i nikt nie umie tak trafnie dojrzeć i określić wad naszych, tak odważnie i szlachetnie je karcić. Lecz jeżeli p. Szujski jest nieubłaganym dla anarchicznych i bałamutnych dążeń, to wcale nie jest zaślepionym pod względem własnego stronnictwa; zna wybornie jego wady, widzi niebezpieczeństwa, na które się ono nieraz dobrowolnie i bezużytecznie naraża, i całym swoim wpływem usiłuje powstrzymać je na drodze mogącéj doprowadzić do śmieszności, lub, co gorsza, do samolubstwa. Prześladowany zawzięcie przez ujemne dziennikarstwo tutejsze, znosi jego pociski ze wspaniałym spokojem, który jest czemś więcéj, jak zwykłą pogardą. Mimo tego, w gruncie rzeczy, wzbudza on ogólny, powszechny szacunek, i o granitową podstawę tego szacunku

odbijają się pociski nieprzyjaznéj mu prasy. Pan Szujski jest przedewszystkiem człowiekiem pracy, twardéj pracy. Jeżeli dla p. Tarnowskiego praca jest obowiązkiem; dla p. Kożmiana jedną rozrywką więcéj, to dla p. Szujskiego jest ona potrzebą, jest tym żywiołem, w którym żyje i czynnikiem głównym moralnego i fizycznego jestestwa. Profesor Uniwersytetu, sekretarz „Akademii“ i jéj dusza, jak prezes Mayer jest jéj głową, poseł na Sejm ze Sandeckiego, redaktor „Przeglądu Polskiego“ p. Szujski poświęca noce badaniu dziejów, a jeszcze znajduje dość czasu, aby napisać jaki dramat o głębokich myślach, jak niedawno wyszły pod tytułem „Śmierć Władysława IV“. — Jest to najzacniéj zapełniona pracą egzystencya, jaką zdarzyło mi się tutaj spotkać.

Trzy te osobistości, stanowiące główną podstawę „Przeglądu“, już dostatecznie dają go poznać i znamionują pismo; tém więcéj, że każda z nich wycisnęła na niém swoje piętno a wszystkie razem wzięte, układają się do pewnéj równowagi, tak pod względem treści, jak i formy.

Każdy z tych trzech redaktorów ma, oprócz „Przeglądu“ inne ważne zatrudnienia: p. Tarnowski katedrę, p. Szujski katedrę i Akademię, p. Kożmian teatr. Każdy z nich zatem trudni się pismem, nieco mimochodem; ztąd pewien szkodliwy zakrada się dyletantyzm, ztąd we formie ważne usterki, — jak nieregularne ukazywanie się

zeszytów, które tu przeszło w przysłowie, niemiłosierna korrekta i, obok rzeczy znakomitych, artykuły umieszczone widocznie na to tylko, aby zapełnić zeszyt. Sporadycznie „Przegląd“ bywa świetnym, ale brak mu systematyczności w zdawaniu sprawy z ruchu społecznego, umysłowego i artystycznego. Tysiące rzeczy pomija on milczeniem, lub mówi o nich zbyt pobieżnie. Nad tą częścią zadania czuwać ma specyalny redaktor, który zwykle podpisuje się na okładce, jako odpowiedzialny. Był nim przez długi czas p. Ludwik Powiday, następnie p. Skrochowski; obecnie, nie podpisując się jako odpowiedzialny, jest nim profesor Zataj i zdaje się, że nareszcie pod tym względem, „Przegląd“ dobił szczęśliwie do portu. Widoczne i znaczące bowiem nastąpiło polepszenie, czuć umiejętną rękę, kierowaną silną wolą; czuć chęć utrzymania ładu i porządku w piśmie, które przemawiając za ładem i porządkiem w społeczeństwie, samo przez się dawało przykład anarchii i nieregularności. Do tego „Przegląd“ pozyskał, jako politycznego kronikarza p. Szukiewicza, głównego redaktora „Czasu“, pisarza doświadczonego i umiejętnego; a tak, w chwili, w której zaczęto mówić o jego zgonie, odrodził się on.

Wpływ „Przeglądu“ na wyobrażenia i życie publiczne tutejsze, był znaczny i doniosły. Stanowi on przełom w życiu duchowém społeczeństwa i, ani dzisiaj, ani tutaj, nie podobna go należycie

ocenić. „Przegląd“ zadał cios ostateczny postępowaniu opartemu na złudzeniach i porywach; a z drugiéj strony on, w największéj części, przyczynił się do wytworzenia dzisiejszego stosunku prowincyi do monarchii. Pod względem zaś psychicznym, „Przegląd“ dał przykład, mało dotąd naśladowany przez innych, lecz który nie pozostał bez wpływu na cały organizm — odwagi cywilnéj; téj odwagi cywilnéj, tak mało u nas znanéj a zupełnie niemal zapoznanéj w dziedzinie publicystyki. „Przegląd“ wogóle ma większe, zdaniem mojém, znaczenie jako *czyn*, niż jako *pismo*. Odpowiednio téż do tego, ma on więcéj doniosłości niż abonentów. Każdy ważniejszy artykuł „Przeglądu“ staje się niemal wypadkiem, wywołuje admiracye, gniewy, polemikę, czasem nawet straszne burze, jak to miało miejsce z powodu *Porcyi*, lecz „Przegląd“, jak mnie zapewniano, nigdy nie miał więcéj; jak pięciuset prenumeratorów. Zawsze właściciele jego dopłacali i dopłacają, a temi pieniądzmi, które na niego wydano, możnaby kilka pism peryodycznych założyć. Raz tylko znacznie zwiększyła się liczba prenumeratorów; raz tylko, rozrywano sobie pojedyńcze zeszyty „Przeglądu“, oto wtedy, kiedy ukazywała się w nim głośna i osławiona „Teka Stańczyka!“ Był to téż kulminacyjny punkt pisma, pod względem jego zasad, jego moralnego znaczenia w społeczeństwie i wpływu na umysły. Burza, którą wtedy „Prze-

gląd“ wywołał, zapewniła mu pierwszorzędne stanowisko; i wtedy to, czego dokonać nie mogły usiłowania najznakomitszych ludzi, dążenia poważnych dzienników, to czego bezowocnie pragnęli tacy ludzie, jak Jerzy Lubomirski, Adam Potocki i inni, stało się za pomocą *pamfletu*: powstało stronnictwo społeczne i polityczne, powstało od chwili, w której przeciwnicy ochrzcili jego członków mianem — Stańczyków. Można potępić, lecz niepodobna zapoznawać doniosłości i znaczenia pamfletu, który tyle miał w sobie twórczej siły, że dał początek stronnictwu. Musiał on być z talentem napisany i głębiej obmyślany.

Talentów i głębszych myśli nie brak w „Przeglądzie“, prócz prac redaktorów, ukazują się tam prace ludzi niepospolitych; przemawiali w nim i przemawiają nietylko literaci i publicyści, ale także mężowie ze znaczeniem i doświadczeni w sprawach publicznych. Brak przecież tam czegoś: oto głównie (nie zniżenia się, czego w żaden sposób wymagać nie można), ale zrozumienia i obrachowania się z poziomem, dla którego ostatecznie się pisze; brak także niektórych drobnych szczegółów, niezbędnych dla zadowolnienia publiczności. „Przegląd“ zbytecznie zamykał się zawsze w swéj niezaprzeczonéj wyższości. Z murów téj fortecy prażył on na lewo, a czasem i na prawo, aż nareszcie wywołał zniecierpliwienie i wytrzymać musiał walny szturm tych, których chorągiew po-

wiewała na baszcie fortecy. Była to chwila stanowcza; przekonawszy się, że na nikogo i na niczyją pomoc rachować nie może, spostrzegł, że trzeba było albo opuścić fortecę, albo kapitulować. Tymczasem zajął on wyczekujące stanowisko i pomyślał, jak wszystkie dziś państwa, o reorganizacyi armii. Czy ona się powiedzie i czy będzie skuteczną, przyszłość okaże. To pewna, że dotąd naczelnicy chcieli prowadzić wojnę nieco na dawny sposób, nie tyle licznemi jak wyborowemi siłami. Wszyscy trzéj chorowali na wyłączność i ta wyłączność oddziaływała na pismo. Ma ona w sobie niezaprzeczenie coś szlachetnego i wykwintnego, a nieraz staje się potężną siłą. Ale gdy nie ma do niéj dostatecznych warunków, lub odpowiedniego gruntu, okazuje się zwykle nieniedostateczną. Wyłączność redaktorów „Przeglądu“, pozbawiła ich wielu sił, a szczególniéj wielu sympatyi, a nie ochroniła pisma od miernot i mało nieraz zajmujących artykułów. Pozostała ona dumną w teoryi, nierównie będąc skromniejszą w praktyce.

„Przegląd“ broniąc pewnych stałych zasad, będąc pismem konserwatywném i katolickiém, miał przecież w początkach widoczny zamiar zachowania miary, omijania wszelkich śmieszności i przesad zerwania z małostkami i małodusznością, zbyt często przyczepiającemi się do tego kierunku. — Chciał okazać, że można go obrać bez zaślepienia

lub zdzieciniałości. W ogóle starał się on wytrwać w tém roztropném przedsięwzięciu; przecież zbiegiem okoliczności, fatalizmem rozwijających się wypadków, a czasem namiętnością piszących w nim, tracił niekiedy równowagę i przekraczał granice, które sobie sam nakreślił: „Dokąd to zaszedł „Przegląd“, od chwili, w któréj ja mogłem w nim napisać programowy artykuł“ miał kiedyś powiedzieć minister Ziemiałkowski. Przytaczam te wyrazy tylko jako anegdotę, gdyż rzeczywiście w téj mierze nie mogą one mieć rozstrzygającego znaczenia. P. Ziemiałkowski, którego zdolności a nawet i zasług pewnych, bynajmniéj nie zapoznaję, zanadto przecież całe życie związanym był i przesiąkniętym wyobrażeniami wiedeńskiego liberalizmu, aby mógł odczuć dostatecznie, co w pewnych chwilach, odpowiadało rdzennym interesom kraju. Ale to pewna, że „Przegląd Polski“ zgrzeszył nieraz przesadą, a kierownicy jego nie powinni zapominać, że tam gdzie się zaczyna przesada, tam się kończy istotna siła.

Wielką, niezaprzeczoną zasługą „Przeglądu“ pozostanie, że zawsze i wytrwale przemawiał za reformą stosunków wiejskich, i że dziś reformę tę wywiesił, jako swój sztandar.

Przedstawiłem wam stan obecny tutejszego dziennikarstwa i tutejszéj publicystyki. Mało mi już pozostaje dodać, aby dopełnić obrazu. Oprócz pism, o których wspomniałem, wychodzą tu pu-

blikacye fachowe, których opis nie przedstawiałby dla was szczególnego zajęcia. Wychodzą tak we Lwowie jak Krakowie, tygodniki prawnicze, lekarskie, poświęcone rolnictwu, leśnictwu i myślistwu; wychodzi tu „Przewodnik rolniczo-ekonomiczny“ wydawany przez p. Szczepańskiego a będący w związku z wielką i znamienitą fabryką narzędzi rolniczych p. Zieleniewskiego. Wszystkie te pisma mają mało czytelników i niewielkie niestety! znaczenie; wszystkie muszą być wspierane, aby istnieć, i często też przestają istnieć, a publiczność nawet nie wie o ich zgonie, tak jest pod temi względami obojętną. „Przegląd krytyczny“ znany i u was, gromadzi około siebie kilkunastu ludzi wielce inteligentnych; prace ukazujące się w nim są sumienne i ze znajomością gruntową rzeczy pisane; lecz właśnie z powodu zalet swych i ścisłéj objektywności, nie jest on dla tutejszéj publiczności przystępnym, — jest dla wszystkich z nadzwyczaj małemi wyjątkami, martwą literą. Podobno ma on też przestać wychodzić. Publikacye coroczne *Zakładu Ossolińskich* i nierównie liczniejsze i donioślejsze *Akademii*, mają wartość i znaczenie, lecz nie ma komu tych zalet ocenić i służą one głównie do zbogacenia bibliotek. — Apatya, brak szerszego umysłowego życia, brak czytającéj publiczności, pozbawia wszystkie powyższe przedsięwzięcia wszelkiéj żywotności. — Dział peryodycznych pism ludowych, jest prawie

zupełnie zapomnianym, co tém dziwniejsza, że kraj ten posiada niezrównanego w tym rodzaju pisarza Anczyca; a tém więcéj pożałowania godném, że dość już znaczna ilość szkół ludowych przysparza co roku po wsiach czytelnikow, potrzebujących zdrowego, umysłowego pokarmu. Ludowe pisma peryodyczne wydaje obecnie ks. Stojałowski; jest ich, jeżeli się nie mylę, dwa: „Wieniec“ i „Piast“. Nie umiem nic powiedzieć o ich paktycznéj wartości. Redaktor ich puszcza się często na wzburzone morze dziennikarskiéj polemiki galicyjskiéj, a nie zawsze szczęśliwie; *il nage entree deux eaux,* żeby nie użyć polskiego przysłowia.

Chciałbym abyście mogli powziąć jasne wyobrażenie o stanie publicystyki tutejszéj z przedstawionego wam w moich listach obrazu; bo jest to niezbędném do rozpoznania się w tutejszych stosunkach, a dla mnie koniecznem, abym był nadal zrozumiałym dla czytelników waszego dziennika.

Okazuje się z tego obrazu, że liczba ujemnych i dodatnich pism równoważy się niemal; lecz niestety, wpływ pierwszych, jest nierównie dotąd większy, nietylko że mają więcéj od dodatnich czytelników, ale mają nierównie więcej wzięcia; robią nierównie więcéj złego, aniżeli tamte dobrego.

Najgłówniejszą przeszkodą, najważniejszą tutaj dla prawdy zaporą, jest apatya, ospałość, wstręt

do czytania, które przebudzić i poruszyć zdolnym jest skandal, cynizm, bezczelność, ale nigdy słowo wyrzeczone w imieniu zdrowego rozsądku, sumienia i obowiązku. Jest tu publiczność bawiąca się dziennikami, nie ma publiczności umiejącéj czytać dzienniki. Przerzuca się tu pisma i chwyta się w lot co one piszą i co skłamią, ale brak zupełny zastanowienia nad wartością tego, co się czyta, brak zdrowéj i roztropnéj krytyki; i to właśnie stanowi całą siłę ujemnego, a całą słabość dodatniego dziennikarstwa. Ci nawet, którzy uczyli się czytać, nie umieją tutaj czytać.

Przypomina mi to zdarzenie, którém zakończę powyższy pogląd na tutejsze piśmiennictwo. — Przed laty redakcye wszystkich pism miejscowych dały obiad dla Libelta, wnoszono niezliczoną ilość toastów na cześć autorów, literatów, dziennikarzy; w końcu powstał jeden z biesiadujących i rzekł: „Wnosiliście panowie zdrowie piszących u nas, a ja teraz pozwolę sobie wnieść zdrowie czytających i umiejących czytać; tych jest najmniéj, a są oni najdrogocenniejszymi, gdyż bez nich nie podobnaby pić zdrowia piszących“.

Dodam, co może wydawać się będzie paradoksem, że bodaj czy tutaj nie ma więcéj ludzi umiejących pisać, jak umiejących czytać, więcéj piszących, jak czytających.

XIV.

Kraków, 30 grudnia.

Kończąc pierwszą seryę listów moich do „Gazety Polskiej“, chcę rzucić kilka pobieżnych uwag o tutejszem życiu społecznem i towarzyskiem, chcę wspomnieć o jego moralnej i psychicznej stronie. Będzie to niejako dopełnieniem poprzednich uwag nad tym krajem, a zarazem objaśnieniem na przyszłość. Każde społeczeństwo ma tysiące drobnych na pozór właściwości — a tutejsze może ma ich więcej jak inne — które poznać trzeba, aby należycie zrozumieć i ocenić istotne położenie rzeczy. Starałem się dać wam je poznać w głównych zarysach; dzisiaj, na zakończenie roku pomówię o mniejszych szczegółach, o małostkach, jeżeli chcecie, które, będąc przecież nieodłączne od natury ludzkiej, budzą zawsze zajęcie i godne są uwagi, w jakiejkolwiek formie ukazują się. Przedmiot to ogólno-ludzki, a rozmaitość form, które przybiera, czyni go ponętnym dla myśli i wyobraźni. Obejmuje on to, co Philarete Chasles nazywa: *les étranges variétés de l'espèce humaine.* Ludzie podobni do innych zamieszkują ten kraj, ale kształty drobnostek i małostek ich ludzkiej natury mają specyficznie lokalne piętno, niezwykłą oryginalność, są nieraz arcydziwacznemi, czasem śmiesznemi. Jak na wszystko co ludzkie, należy

się na nie zapatrywać, nie tyle z goryczą i oburzeniem, jak raczej ze *spokojną filozofią*, i szukać trzeba ich początku w tem, co Montaigne z takiem uszanowaniem zwykł nazywać *mère nature*.

Główne ogniska życia, a są niemi większe miasta, wszędzie, a więc nawet i w tutejszem wyjątkowem położeniu, niemały wywierają wpływ na całość organizmu społecznego, a szczególniej na tę jego stronę, która nas tu przeważnie zajmuje.

Mówić zamierzam głównie o Krakowie, jako najlepiej mi znanym, a myślący czytelnik będzie miał przyjemność, którą piszący winien mu zawsze pozostawić, domyślenia się dalszych wniosków i skutków.

Zbyt wcześnie zmarły pisarz i artysta, a przedewszystkiem człowiek gorącego serca i miłego dowcipu, Leon Kapliński, porównywał Kraków do *mateczника*. Przybywał on z Paryża, gdzie przez długi czas zamieszkiwał; a był to z usposobienia i wykształcenia Paryżanin, nie w bulwarowem, ale w wyższem, prawdziwem tego słowa znaczeniu. Pojmiecie zatem, jakie, pomimo szczerej do Krakowa sympatyi, miasto to mogło na nim zrobić wrażenie, i ocenicie trafność, a nawet głębokość porównania. Mówił on, że jak w *mateczniku* zwierzęta, tak tutaj ludzie przychodzą składać stare kości, — że się tu spotyka owe typy z wyrosłemi pazurami, zakrzywionemi dziobami i wylenioną siercią:

Nie giną nigdy bronią sieczną ani palną,
Lecz starzy umierają smiercią naturalną.
Mają też i swój smętarz, kędy blizcy śmierci,
Ptaki składają pióra, czworonogi sierci.
Niedźwiedź gdy, zjadłszy zęby, strawy nie przeżuwa;
Jeleń zgrzybiały, gdy już ledwie nogi suwa;
Zając sędziwy, gdy mu już krew w żyłach krzepnie;
Kruk, gdy już posiwieje; sokół gdy oślepnie;
Orzeł, gdy mu dziob stary tak się w kabłąk skrzywi,
Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi.
Idą na smętarz; nawet mniejszy zwierz, raniony
Lub chory, bieży umrzeć w swe ojczyste strony.

Istny to, uderzający podobieństwem, obraz Krakowa, do tego stopnia, że każdy powyższy szczegół można w nim odszukać, każdy typ odnaleźć, a nawet upatrzyć podobieństwo w przyczynach, które tu niejednego zapędziły człowieka, jak tam niejedno zapędzają zwierzę. Obraz ten ma niezaprzeczenie swoją poważną i szanowną stronę i tej urągać nie myślę; ale jeżeli postacie tego obrazu są żyjącą illustracyą Krakowa przeszłości, Krakowa pamiątek i grobów, to dziwne a czasem dziwaczne sprawiają wrażenie, w zetknięciu z dzisiejszą rzeczywistością, z życiem chwili obecnej, a wpływ ich na nią, na jej nieuniknione potrzeby i wymagania, jest psychologicznie wyjątkowym, czasem arcyzabawnym, to znowu deprymującym a dla niewtajemniczonych, zgoła niezrozumiałym.

Lecz obce mu ich wnętrze serca tajemnice,
Wieść tylko albo bajka wie co się w nich dzieje.

Gdyby znamiona zwierząt z *matecznika* mieli tu tylko ci, którzy czują już potrzebę spoczynku na smętarzu, nie byłoby to ani dziwnem, ani szkodliwem:

Te pary zwierząt główne i patryarchalne,
Ukryte są w jądrze puszczy, światu niewidzialne,
Dzieci swe ślą dla osad za granicę lasu,
A sami we stolicy używają wczasu.

Ale tak nie jest bynajmniej; atmosfera tutejszego *matecznika* wywiera swój wpływ na wszystkich i na wszystko; pod jej tchnieniem nikną moralne różnice starości i młodości, i nigdzie zapewne nie ma tylu młodych starych i starych młodych, jak w Krakowie; a ztąd powstają liczne najczęściej niewinne, czasem przecież szkodliwe dziwactwa.

Woda tych studni sklni się plamistą rdzą krwawą,
A z wnętrza ciągle dymi, zionąc woń plugawą,
Od której drzewa wkoło tracą liść i korę;
Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,
Pochyliwszy konary, mchem kołtunowate,
I pnie garbiąc, brzydkiemi grzybami brodate,
Siedzą wkoło wody, jak czarownic kupa,
Grzejąca się nad kotłem, w którym warzą trupa.

Wyobrażenia, pojęcia, sposób życia starych i młodych wiekiem, nie różnią się tu od siebie. Nie wszyscy umieją tu być starymi, a nikt nie umie być młodym, ztąd wytworzył się, dla przeważnej części ludności krakowskiej jakiś fantastyczny wiek, z którego właściwościami trudno jest bardzo zapoznać się i obliczyć.

Atmosfera *matecznika* jest silną, odurzającą; nie tylko że działa usypiająco na młodość, nie tylko że przeistacza ją w przedwczesną starość, ale wywiera ona wpływ swój na każdego kto z weselszych, cieplejszych i mniej posępnych stron przybywa. Widziałem nie raz ze zdumieniem, jak osoby — w najlepszem tego słowa znaczeniu — cywilizowane, które życie swoje przepędziły w Paryżu, i to w najwykwintniejszy sposób, gdy przybyły do *matecznika* i zamieszkały w nim jakiś czas, stawały się wzorowymi jego obywatelami, przyswajając sobie wszystkie małostki, śmieszności i drobne nawet nikczemności jego odwiecznych mieszkańców.

Pojmiecie łatwo, jak w takim *mateczniku,* miłem, łatwem, uroczem być musi położenie tych stworzeń, które nie chcą się poddać śmiesznym przesądom i krótkowidzeniu *par zwierząt głównych i patryarchalnych,* zasłaniają się wszelkiemi sposobami przed wpływem dusznej atmosfery i wyziewów z owych *studni,* i chcą ostatecznie pozostać ludźmi żywymi i żyjącymi pośród tych starych murów, tych starych pamiątek i tych żyjących ruin. Biada im!

Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni,
I siecią zielsk zarosłych i kopcami mrowisk,
Gniazdami os, szerszeniów, kłębami wężowisk.

Uciekać przed temi osami, szerszeniami i wężami, zapewne najwygodniej; ale nie każdy może,

a wielu nie powinno. Nie pozostaje zatem, jak znowu odwołać się do *spokojnej filozofii* i jej nauk, i z jej punktu widzenia przypatrzeć się, jak to uczynię, temu zdumiewającemu zjawisku *matecznika,* wybornie zachowanego, nad linią kolei żelaznej, o parę mil od prawdziwej cywilizacyi i ognisk życia ludzkiego.

Mówiłem już dawniej o braku uprzejmości Krakowian i wrodzonej tu niemal wszystkim posępności; małe to wady w porównaniu z innemi przywarami, które tu zwią się cnotami. Brak tu zbyt często w praktyce prawdziwej miłości chrześciańskiej, brak jej w tem mieście, które zkądinąd jest rzeczywiście pobożnem. Przyczyną tej krzyczącej sprzeczności, jak wszystkiego złego, jest krótkowidzenie i zasklepienie się w nader ciasnem kółku. Ludzie są tu krótkowidzącymi i dlatego potrącają jedni o drugich; ciasno tu nieco, i dlatego ludzie sturchają się łokciami.

Są kobiety, które osiadają w Krakowie dla pokuty, które chcą pobytem w starym grodzie odkupić dawne, zapewne urojone grzechy, a którym zdaje się, że najłatwiej i najwygodniej naprawić przeszłość, dokuczając innym, prześladując srodze większe i mniejsze ułomności ludzkie; nazywa się to przechowywaniem tradycyj krakowskich. Wyradza się ztąd spóźniona moralność, praktykowana kosztem innych, a wypłaszająca z *matecznika* wszystko co pełniejszem żyje nieco

życiem, wszystko co się brzydzi obłudą, lub co nie umie dość zręcznie udawać. Niewesołą tu jest dola każdego, kto z usposobienia, humoru, wyobrażeń, jest prawdziwie młodym; będzie on wcześniej czy później wyklętym przez spóźnioną moralność w imię tradycyi krakowskiej. Niewesołą jest dola każdej niemal młodej a ładnej kobiety; żeby była Genowefą, Joanną lub Zuzanną, nie może ona po za pewien kres przedłużyć tu swojego pobytu; spłoszy ją natychmiast plotka, prześladować będzie spóźniona moralność, tem silniej, im sama więcej ma czasu straconego do odzyskania,—a w końcu wypędzi ją po za mury Floryańskiej bramy, zazdrość posługująca się potwarzą. Dlatego też piękna kobieta jest w Krakowie przemijającem zjawiskiem, nie osiedla się tutaj stale; jak wędrowne ptastwo odlatuje pod cieplejsze niebo. Bywały i bywają ładne i piękne kobiety w Krakowie, ale każda z nich po dłuższem lub krótszem doświadczeniu, odlatuje, znika lub rozpływa się we mgle. *On lui rend la vie trop dure!*

Ten tak surowy, czasem nawet nielitościwy, rdzenny świat *matecznika*, nie jest gorszym ale także z pewnością nie jest lepszym od innych. Ogranicza się on na moralności kosztem drugich. a sam jest ludzkim, a zatem, posiadając niezaprzeczone cnoty, ulega przecież słabościom ludzkim, jak każdy inny; a tylko ta zbytnia dla

innych surowość i ta, kosztem innych moralność, stanowią jego wyjątkową niemoralność. Chcąc wmówić w siebie, że jest świętym, staje się świętoszkiem; chcąc być poważnym, staje się śmiesznym, a chcąc być tradycyjnym, staje się nudnym. Mógłby zaś być i pobożnym i poważnym i tradycyjnym, nie siląc się na to, a wtedy stałby się i miłym.

Nic zabawniejszego, jak kiedy w samej głębi *matecznika,* pomiędzy najczystszymi, najwybrańszymi, wybuchnie jakiś głośny, nie dający się ukryć skandal, — a zdarza się to i zdarzało nie raz — bo inaczej być nie mogło i nie może; jest to istnem uderzeniem piorunu, płoszącem *pary zwierząt głównych i patryarchalnych.* Mniemały one, że surowością dla innych zabezpieczą *matecznik* jakby wałem, przed niedyskretnym wzrokiem obcych; a tymczasem każdy taki lokalny skandal nabiera niesłychanego rozgłosu, który rozchodzi się daleko po zagranicę puszczy i tem większą wywołuje radość, tem silniejsze szyderstwo, tem głośniejszy śmiech, im mieszkańcy *matecznika* czuli się moralnie wyższemi od zwierząt zamieszkujących inne okolice, a im mniej one chełpiły się cnotami, moralnością i surowością obłudy! Jeden z moich przyjaciół zwykł nazywać ową moralność seraficznem kłamstem. Moralność ta, wznosząc się w najwyższe sfery zachwytu, zapomina o niższych krainach, w których pobła-

żanie i miłosierdzie są niezbędnemi. Tem to dziwniejsze, że miłosierdzie materyalne wykonywanem tu jest na wielką skalę, prawdziwie po chrześciańsku, w cichości, bez chęci popisu, a pod tym względem Kraków jest godzien podziwienia; umie on być pięknie miłosiernym. Te same panie, które dla odpokutowania za własne niezawodnie urojone winy, lub rzeczywistsze najbliższych im nie wahają się rzucać klątwę, nie wzdrygają się przed narażeniem dobrej sławy mniej chwilowo od nich seraficznie usposobionych istot, umieją wynajdywać nędzę materyalną, umieją przyjść jej ze skuteczną pomocą, wykwintnie, bo z prostotą. Są to niemiłosierne siostry miłosierdzia. Dla chwały naszego grodu, są wspaniałe, imponujące wyjątki, są wysoko usposobione natury, które gojąc materyalne rany, nie drażnią moralnych, które przygarniając do siebie nędzę materyalną, nie odpychają z nielitościwą dumą moralnych ułomności; te stoją u szczytu, — czemuż tak mało mają naśladowców! Nie ma nic nielitościwszego od krótkowidzenia. Nie tyle z braku serca, jak raczej w skutku ciasnych poglądów, wyradza się zbytnia surowość dla innych. Dla innych, powtarzam! Bo ci wszyscy, którzy tak skorymi są potępiać, skwapliwie czynią wyjątki dla swoich, dla najbliższych. Istoty najbardziej zagłębione w seraficznym kłamstwie i praktykujące na wielką skalę spóźnioną moralność, mają zwykle

bliższych i dalszych, którzy są także ludźmi; muszą one zatem mieć dwie miary, jedną przed, drugą za drzwiami własnych domów. Nic też zabawniejszego a zarazem tragi-komiczniejszego dla bezstronnéj, nieseraficznych śmiertelników, jak potworne nielogiczności tej bezwzględnej surowości, uderzających w obcych a oszczędzającej swoich, tej niepraktycznej moralności, która winnaby zacząć wielkie dzieło oczyszczenia od najbliższych. Moralność niemoralności jest nadużyciem, któremu, czującym własną godność, najtrudniej przychodzi się poddać. A przecież jest to straszny przywilej, którego żadna ustawa nie zdoła znieść, ani nawet ograniczyć. Jest to bożek, który potrzebuje ofiar, a że rzeczywistość nie zawsze może nasycić jego łakomstwo, oddają mu usługi oszczerstwo i najusłużniejszy z dworaków — plotka, i zdarza się często, że ktoś bezpodstawnie prześladowany, może w końcu rzec do siebie, jak ów zazdrością żony trapiony w komedyi mąż: Czyżbym ja, nie wiedząc o tem, popełnił jaką niewierność.“

Nie trudno odgadnąć, jak prądy te oddziaływają na wszelkie, a przedewszystkiém na towarzyskie stosunki. Był czas, w którym Kraków miał towarzystwo niezbyt liczne ale zajmujące, pomimo jego dziwactw i małostek; zostały się obecnie dziwactwa i małostki; znikło — da Bóg, że chwilowo — to, co stanowiło jego treść i wyższość, to jest zastęp ludzi prawdziwie wykształ-

conych, rozumnych i o szerokich poglądach. Za ich przyczyną obok tradycyjnéj plotki, brutalnéj potwarzy, obok seraficznych kłamstw i spóźnionéj moralności, (a te nie od dawna zostały importowane), była zwykle rozmowa poważniejsza, zajmująca, wznosząca się ponad drobnostki i małostki moralne i materyalne małomiejskiego życia. Owi ludzie znani w naszém społeczeństwie, a nawet poza jego granicami, umieli wrodzoną wyższością górować nad meskineryą i neutralizować wpływ krótkowidzenia. Kraków ma bowiem tę właściwość, że w nim krzyżują się zawsze prądy małomiejskie z wielkoświatowemi, że jest on prowincyą i stolicą, łójówką i świecznikiem.

Od pewnego czasu śmierć była nieubłaganą dla Krakowa, i kolejno wyrwała z jego społeczeństwa, najszlachetniejszych, najrozumniejszych, a stojących na świeczniku. Klęski te oddziałały dotkliwie na tutejsze towarzystwo; z małemi wyjątkami, pogasły światła, zostały się nakrywki (les éteignoirs). Zaczyna przeważać wpływ kobiety nie pięknéj, nie młodéj, który jest zawsze uroczym; ani téż matrony, godnéj szacunku i uwielbienia, a który jest zawsze pożądanym; lecz wpływ najstraszniejszéj kobiety, bo starzejącéj się. Ona tu dzisiaj staje się panią położenia, ona prześladuje i nudów jest królową! Starzejąca się kobieta mści się na Krakowie za.

des années l'irreparable outrage!

W ogóle towarzystwo krakowskie nudzi się w téj sztucznéj atmosferze. Lucyan Siemieński, w niedawno napisaném pośmiertném wspomnieniu pani Skrzyneckiéj, bardzo trafnie powiedział, że tam tylko goście bawią się, gdzie się pani domu bawi; otóż panie domu przeważnie nudzą się tutaj. Są między niemi takie, które szczególny mają talent dobierania, może bardzo przykładnego, ale zabijająco nudnego towarzystwa; jest to także rodzaj pokuty, którą sobie zadają; z tego powodu ktoś powiedział o jednéj z nich, celującéj w tym sposobie umartwienia się. „Że musi mieć znaczne winy do odkupienia, skoro na tak srogie wystawia się męki“. Oczywiście są wyjątki, a przed innemi ów czcigodny, szanowny dom, dający przykład tylu cnót, a któremu przoduje ostatnia może prawdziwa matrona; dziś niestety złamana wiekiem i nieszczęściami, często nieobecna, aczkolwiek sercem, uczuciem i tradycyą nieodłączna od Krakowa. Tam plotka nie ma przystępu, tam rzeczywiste cnoty nie pozbawiają przymiotów, a daleko sięgające miłosierdzie nie staje na przeszkodzie prawdziwéj miłości bliźniego. Są i inne salony, nie poczuwające się do potrzeby spóźnionéj moralności kosztem osób trzecich, a umiejące zachować miarę i stopniowanie bez przemienienia się w izbę gwiaździstą. Lecz te nie są dobrze wi-

dziane przez *pary zwierząt głównych i patryarchalnych*. Nie myślcie, aby te szczegóły o *mateczniku* odnosiły się tylko do tak zwanego wyższego towarzystwa; stanowią one wspólny szablon dla wszystkich tutejszych światów, a raczéj światków. Mieszczaństwo pod względem tych meskineryi i śmieszności, nie daje się prześcignąć, a nawet najniższe warstwy, ba, z natury rzeczy najwięcéj zepsute, odznaczają się specyficznie krakowską *pozą* moralności. Największą przecież wadą tego stanu rzeczy, jest wytwarzająca się w nim zbyt znaczna ilość obłudy; gorszym zaś jeszcze jest powszechny niemal tu zwyczaj posługiwania się potwarzą; rzecz to tak zwyczajna, tak używana, że innéj niemal nie umieją tutaj chwycić się broni, i z przykrością wyznać trzeba, że często bardzo źródłem słynnych krakowskich plotek, jest zemsta osobista lub interes osobisty, co nie przeszkadza uprawiać komerażu *pour faire l'art pour l'art*. Plotka i komeraż są tu niemal jedyną spójnią towarzyską, po za niemi jest zgubne zasklepianie się, prowadzące do wiary we własną nieomylność i do poczucia własnéj nietykalności. Najdrobniejsza uwaga uraża, najumiarkowańsza krytyka rozjątrza i, zamiast pomagać rzeczy, gniewa jednych, napełnia radością drugich. — Pojmiecie, do jakiego stopnia powyższe śmieszności i wady niekorzystnie oddziaływają na cały zakres umysłowego i artystycznego życia,

do którego Kraków rości sobie prawo, a które dzisiaj stanowić może jedyną jego racyę bytu. Jest ono też tutaj w położeniu ryby wyjętéj z wody i istnieje jedynie wysileniami kilkunastu jednostek, a wysilenia te są znaczne, znakomite, i są godną uznania stroną tutejszych stosunków. Kraków nie ma publiczności umysłowéj i artystycznéj, a ma przecież życie umysłowe i artystyczne, które w ludności najmniejszego nie budzi zajęcia. Życie to zawdzięcza kohorcie dzielnych pracowników, niczém nie zrażonych; kohorta ta przynosi zaszczyt miastu, podnosi jego znaczenie, pokrywa jego małostki i odkupuje wiele ujemnych stron, a tém większą ma ona zasługę, że warunki, wśród których walczy wytrwale, nie są zachęcającemi. Ludzie ci, to prawdziwa, jedynie godna uwagi teraźniejszość Krakowa, a być może, iż uda im się, wraz z niektóremi obiecującemi młodszemi żywiołami, wytworzyć lepszą przyszłość, oczyszczając powietrze ze śmieszności, wad i małostek, a nie zrywając przecież z dobrą i uczciwą tradycyą, a wtedy i cnoty tutejsze na trwalszéj oprą się podstawie.

Kraków słynie i słusznie z rozsądnych, umiarkowanych, zacnych i roztropnie konserwatywnych zasad i przekonań, a w tutejszych stosunkach stanowi to niezaprzeczenie jego dodatnią, poważną stronę. Ale trudno wypowiedzieć, o ile powyższe małostki, dziwactwa, zwyczaje i obyczaje *mate-*

cznika, oddziaływają niekorzystnie na ów rozumny kierunek. Ktoś rozmawiając ze mną w tych dniach, zwrócił moją uwagę na tę okoliczność, że dzisiaj we wszystkich społeczeństwach, stronnictwa rozsądno-konserwatywne mają zapaleńców, energumenów, *chevaux lègers*, którzy najprzód kompromitują je, a następnie gubią. Są to wysuwające się na ochotnika pikiety o krótkim wzroku; nic zatém dziwnego, że wpadają w ręce nieprzyjaciela i narażają główną armię. Nigdzie może nie ma tak wybornych typów tego rodzaju jak tutaj, nigdzie może konserwatyzm nie ma tylu *enfents terribles*.

Wszystko to jest powodem, że wpływ Krakowa, który mógłby być użytecznym na sprawy i interesa kraju, jest ograniczonym, a czasem zwichniętym; szkoda, bo względnie, w tym Krakowie, jest wiele dobrego i wiele uczciwego, lecz koło jego działalności zamiast się rozszerzać, ścieśnia się w skutku zbyt ciasnego zapatrywania się wielu. Zadaniem winno być młodéj generacyi i młodszych żywiołów, aby szanując to, co szacunku jest godném, nie dozwoliły Krakowowi przeistoczyć się w istny zamek „Safandułów“ p. Sardou.

Lwów mniéj moralny i obłudny, mniéj drzemiący, lecz za to mniéj wytrawny, więcéj rozczochrany, agitujący się w próżni, pełen także śmieszności i śmiesznostek towarzyskich, Lwów ze swém dziennikarstwem, wielkimi ludźmi, ofi-

cyalnym światkiem, chaotycznémi wyobrażeniami i nieudaném naśladownictwem Wiednia, nie może zastąpić wpływu, jaki Kraków mógłby i powinienby wywierać na kraj, jego wyobrażenia i postępowanie, gdyby nie stały mu na przeszkodzie jego śmieszne przywary. Tak więc z dwóch ognisk, z których ciepło i światło rozchodzićby się mogło, jedno rzuca niedostateczne światło, drugie fałszywe, jedno za mało grzeje, drugie parzy. — Dodajmy jeszcze do tego ową nad wszystko śmieszną i szkodliwą między dwoma miastami rywalizacyę, — a która ztąd głównie pochodzi, iż Lwów nie może wybaczyć Krakowowi, że był kiedyś stolicą, — a Kraków Lwowowi, że nią jest obecnie, — a będziemy mieli prawdziwy obraz położenia, wyświecający w części ujemne strony społeczeństwa tutejszego, tłomaczący wiele rzeczy, nad któremi w tych listach zastanawiałem się, a które może czasem w moich opisach zbyt jaskrawemi malowałem farbami, nadając im zbyt w oko wpadający koloryt, na wzór, *si magna parvis*, Matejki. Czyniłem to przecież z umysłu, bo chciałem ułatwić rozpatrzenie się z oddalenia w tutejszych stosunkach; jaskrawe farby służyły tu tylko do uwydatnienia rysunku, który był, o ile mi się zdaje, dokładnym.

Jeżeli teraz przeniesiemy się z dwóch głównych miast do kraju, to znowu powiem, że znamieniem jego jest także pewna drobiazgowość i krótkowi-

dzenie w pojęciach i czynach. — Przytém, jednocześnie tak w dwóch miastach, jak w całém społeczeństwie, jest pewna sprzeczność między istotnym stanem rzeczy moralnym i materyalnym, a aspiracyami i żądzami; być może, iż wypływa to z położenia i natury rzeczy, lecz niewątpliwie daje powód do szamotania się, które kończy się tém, że blichtr i pozory zastępują rzeczywistość i że ostatecznie zbyt często dla aspiracyi i jakichś nieokreślonych żądz, zaniedbuje się i marnuje istotne korzyści, że tak często frazes zastępuje czyn; frazeologia pracę. Głównemi tu wadami i grzechami są: nieumiejętność korzystania z danych okoliczności, marnowanie drogiego czasu, zapełnianie go bezużyteczne i szamotanie się, wieczne dążenie z brzegu do jakichsiś nieznanych wybrzeży, zamiast korzystnego w porcie połowu; apatya w agitacyi; wielka polityka w ciasném pojęciu; powiatowszczyzna w zawierusze pojęć i wyobrażeń; narzekanie na szczupły zakres działania, przy szczupłém działaniu w zakresie działania. Wady te wytknął tak rozumnie rektor tutejszego uniwersytetu, dr. Zoll, przed kilku dniami w przemowie do uczniów, że posłużę się jego słowami, aby wam przedstawić tę chorobę tutejszą:

„Gdybym panowie przemawiał nie wyłącznie do was, ale do wszystkich zajmujących dzisiaj, w kraju stanowiska urzędowe i obywatelskie a narzekających często na szczupły zakres dzia-

łania, jaki mają sobie wskazany, tobym każdego z nich zapytał naprzód: czy też, zanim podniósł słuszne zresztą skargi swoje, wypełnił wszystko to, co mu bodaj i w tym szczupłym zakresie wypełnić należało; czy może twierdzić, iż żadną miarą niczego więcéj uczynić tam nie był w stanie. — Sumienna odpowiedź w wielu przypadkach byłaby zapewne nie bardzo zadawalającą. Ja też w życiu naszém publiczném nieraz upatruję w tém pewną niewłaściwość, że zanim przystąpimy do ścisłego wypełnienia przyjętych obowiązków, pierwéj jeszcze oglądamy się na rozszerzenie wskazanego nam zakresu działania, i że myśląc, jakby to było, gdyby można było działać po za jego granicami, zaniedbujemy czynić to, do czego w zakreślonych nam granicach jesteśmy powołani".

Nie umiałbym lepiéj określić poważnéj strony tutejszego położenia i tém kończę moje ogólne uwagi.

W chwili, gdy ja kończę, wchodzi do mnie ktoś, obdarzony sądem spokojnym, bezstronnym, i tą finezyą spostrzeżeń, na któréj tu wielce zbywa, a która wśród zajęć i sporów tutejszych, nieraz opuszcza i tych, którzy nią od natury uposażeni zostali. Przeczytałem mu to, co powyżéj napisałem, pytając o zdanie; przyznał mi słuszność, lecz dodał z wrodzonym mu dowcipem: „za żywo nieco bierzesz to wszystko do serca, i dziwię się, że się dziwisz; odczytaj „La vie de Province"

Balzaca, a zrozumiesz łatwiéj, szczególniéj co się tyczy Krakowa, wiele rzeczy; zrozumiesz lepiéj siebie samego, i okażesz się wtedy wytrawniejszym uczniem owéj *spokojnéj filantropii*, do któréj tylko w teoryi odwołałeś się na początku".

Trafność tych słów uderzyła mnie, i postanowiłem dodać je jako dopisek. Prowincya zmuszona być krajem, oto, rzeczywiście, rozwiązanie zagadki.

To téż nie sądzimy ją nadal zbyt surowo, a ja sam pod tym względem nie wolny jestem od pewnych wyrzutów sumienia! Wystrzegajmy się i przesady! Przesadą zaś byłoby twierdzić, że pomimo tylu ujemnych stron, tylu wad, ale szczególniéj tylu śmieszności, niema tu nic ani dobrego, ani zacnego, ani uczciwego, ani nawet rozumnego; przesadą szczególniéj, w którą wszyscy, mówiący o tym kraju, zwykle popadają, byłoby twierdzić że nie ma postępu, że niema polepszenia w żadnym kierunku. Prawdą zaś jest, że weszło w modę narzekać na Galicyę i potępiać ją, a tymczasem, jeżeli popełniono tu tysiące drobnych niedorzeczności, to przyznać należy, że dotąd Galicya ma tę niemałą zasługę, iż, pomimo niejednéj sposobności, niepopełniła żadnego wielkiego głupstwa, ani żadnego zabójczego szaleństwa. Szkoda tylko, że jak ktoś powiedział: „Rozum chodzi tu pojedynczo a niedorzeczność gromadnie". Jest jeszcze wiele złego, wiele niedostatków, ale już jest pod

wielu względami lepiéj jak było; a tu znowu powołam się na wyrazy szanownego rektora uniwersytetu Jagiellońskiego:

„Moi panowie, ktokolwiek spoglądnie na nasz kraj i wszystkie w nim się znajdujące instytucye, ktokolwiek porówna stan jego dzisiejszy ze stanem, w jakim był przed niedawnémi laty, ten musi przyznać, powolny wprawdzie, ale tém pewniejszy rozwój jego w każdym niemal kierunku.“

W dalszych zatém uwagach nad tym krajem i nad jego społeczeństwem, chciałbym, aby znać było skruchę z méj strony za zbyt czasem może surowe sądy, wolną przecież od bałwochwalstwa i pochlebstwa. Oby wypadki i czyny ludzkie dostarczyły mi sposobności do okazania téj szczeréj skruchy!

Zapoznawszy was z wielu instytucyami i z wielu osobistościami tutejszemi, będzie mi łatwiéj zdawać wam sprawę z biegu życia tutejszego, a jednocześnie postaram się o zaznajomienie was bliższe z temi instytucyami i osobistościami, o których jeszcze nie wspomniałem.

KONIEC SERYI PIERWSZÉJ.

SPIS RZECZY.

Rok 1875.

I.

Strona

Do redakcyi. — Kraków i Lwów. — Schodząca z porządku dziennego sprawa artykułu hr. Tarnowskiego. Proces Offenheima. — Wmięszane w niego osobistości. Fanatyczne ocknienie się sumienia publicznego. — „Zawieszenie dzwonu Zygmuntowskiego“ Matejki. — Zakupno innego obrazu artysty Teatr. — Komisya Konkursowa. — Bartelsa nowa komedya. — Bale. — Prezydent Zyblikiewicz lwem salonów. — Wieczory poniedziałkowe. — Kulik. — Żałoby. — Śmierć pani Kisieleff. — Hr. Leon Skorupka 5

II.

Arcyksiąże Jan Salwator. — Jego broszura i jéj następstwa. — Arcyksiąże i hr. Neuperg. — Ks. Windischgrätz. — Bal u ministra Ziemiałkowskiego. — Mazur. — Dowcip p. Lassera. — Bal na korzyść budowy

Strona

szpitala dla dzieci. — Kulik na *Szlaku*. — Benefis pani Hoffmann. — „Begum Somru“ Halma. — Czyn wandalizmu popełniony na Wystawie Towarzystwa Sztuk Pięknych. — Nowe portrety pana Andrzeja Grabowskiego. — Plany odnowienia Sukiennic. — Prezydent i zakłady 18

III.

Strona

Dłuższe milczenie. — Zebranie *Towarzystwa Kredytowego*. — Zjazd marszałków w sprawie drogowej. Posiedzenie *Towarzystwa Rolniczego Galicyjskiego*. — Panowie Tchórznicki i Oktaw Pietruski. — Namiestnik hrabia Gołuchowski i ks. Adam Sapieha. — Stańczyki. Złożenie madatu przez hr. Stanisława Tarnowskiego. Zmiana frontu. — Ks. Leon Sapieha i złożenie laski marszałkowskiej. — Hr. Alfred Potocki marszałkiem. Jeszcze proces Offenheima. — Niesłuszność. — Względy i względziki osobiste. — Pan Giskra. — Przyszła sesya sejmowa. — Propinacya. — Obraz stosunków galicyjskich. — Pogłoski o przejeździe cesarza do najmniejszego kraju w monarchii. — Arcyksiąże Jan Salwator w Krakowie. — Pan Bełcikowski i komisyja konkursowa. — Sprawozdanie pióra p. Estreichera. — Proces Kirchmajera. — Hr. Władysław Małachowski o Kirchmajerze. — Święcone pod Baranami 33

IV.

Kilka słów z powodu przerwy w listach. — Nominacya hr. Alfreda Potockiego namiestnikiem. — Uczucia, które wzbudza. — Hrabia Potocki do wszystkiego. — Słowo wysoko położonej osoby z powodu

Strona
zbyt hałaśliwego objawiania życzeń kraju w téj sprawie. — Hr. Potocki zdobył sobie ogólne uznanie jako marszałek. — Galicya krajem sprzeczności — Kapitol i skała Tarpejska. — Hrabia Potocki, jego osobistość i stanowisko społeczne. — Bezstronność. — Karykatura „Szczutka“. — Potocki i Lasser. — Przypuszczenia.— Określenie nudów krakowskich przez dziecko. — Mówienie rzeczy nieprzyjemnych. — Zakochanie w sobie. Ludzie za wielcy na Kraków. — Akademia. — Odczyty. — Wystawa Sztuk Pięknych. — Medal wręczony Matejce i jego odpowiedź. — Opera lwowska w Krakowie. — Teatr krakowski. — Straty, które poniósł.— Nowy kurs. — „Król Mieczysław II.“ Bełcikowskiego. P. Ładnowski występuje gościnnie . . . . . , 56

Rok 1876.

V.

Po nominacyi hr. Potockiego namiestnikiem. — Życie towarzyskie we Lwowie. — Znaczenie namiestnikostwa hr. Potockiego. — Znaczenie polityczne i społeczne. — Wpływ na życie umysłowe. — „Gazeta Lwowska“ i pan Władysław Łoziński. — „Przewodnik“, — Zapowiedź przyjazdu namiestnika do Krakowa. — Hr. Potocki stworzony na złagodzenie antagonizmu. — Święta. — Mowy pp. Rydzowskiego i Dunajewskiego o lichwie i o budżecie. — Zaznajomienie się z ludźmi. Pan Dunajewski. — Przemówienie w sprawie *Rady Szkolnéj* p. Euzebiusza Czerkawskiego. — Odnowienie Sukiennic staje się rzeczywistością. — Ślub i wspomnienie ślubu. — *Dawna Resursa Krakowska.* — Hr.

Strona

Kazimierz Starzewski. — Tłomacz „Odyssei“ i częstochowskie wiersze. — „Dwie Sieroty“. — „Krytycy“ Chęcińskiego. — „Śmierć Władysława IV.“ Szujskiego 69

VI.

Strona

Rozmowa z cudzoziemcem o Krakowie. — Brak życzliwości i uprzejmości. — Komeraż krakowski. — Jego charakter. — Oszustka i trucicielka a grypa. — Próżniacy. — Cudze sprawy. — Czém się Kraków zajmował przez rok? — Nie lekka, ale tłusta rozmowa. Dowcip uleciał. — Obłuda. — Pobłażanie dla siebie surowość dla innych. — Warszawa a Kraków. — Nie można być przez dobę wesołym w Krakowie. — *Towarzystwo Strzeleckie.* — Świat mieszczański. — P. Zieleniewski i p. Alfred Szczepański. — Poniedziałkowe wieczory wznowione. — Dawny pałac pani starościny Wolbromskiéj przeistoczony przez ks. Marcelinę Czartoryską. — Biesiady muzykalne. — Tańcujące soboty pod *Baranami.* — Hrabina Arturowa Potocka. — Bal państwa Żurowskich. — Bal na zakupno obrazu Matejki. — Bal dziadowski. — Publiczne bale krakowskie. Bale akademickie i ich niedogodności. — Rektor Zoll. Przyszły marszałek sejmowy. — Hr. Ludwik Wodzicki. Hr. Włodzimierz Dzieduszycki będzie marszałkiem. — Obraz Brandta: „Zaloty“. — Konkurs. — Komedya amerykańska. — Firma. — Lucyan Siemieński przetłomaczył „Córkę Rolanda“. 83

VII.

Wyjątkowe ożywienie Krakowa. — Role przeistoczone. — Siła magnetyczna posagów. — Wpływ posagów na rozwój mniejszych miast. — Hr. Edward Ra-

Strona
czyński. — Uroczystości z powodu bytności kardynała Leduchowskiego. — Bale. — Kwiaty przemieniające się w jarzynę.—Pseudo-wylew Wisły.—Jedyna ofiara powodzi.—Wyjazd namiestnikostwa ze Lwowa.—„Córka Rolanda“ w tłomaczeniu Lucyana Siemieńskiego. — Post w Krakowie. — *Bank Galicyjski dla Handlu i Przemysłu.* — Środy. — P. Kurtz. — Pogrzeb Seweryna Goszczyńskiego.— Amerykanin i Galicianin. — „Ojciec Makary“. 96

VIII.

Kraków Zyblikiewicza. — Prezydent Zyblikiewicz i jego działalność. — Brudy i plotki. — Plantacye.— Asfalt.— Niebezpieczny przesmyk. — Restauracya Sukiennic przestała być mitem.— Wodociągi.— Muzeum ks. Czartoryskiego. — Dalsze plany. — Błonia. — *Letni Teatr — Eine Welt- Stadt.* — Liczne przeszkody i ich charakter.— Trudności wypływające z pochodzenia.— Mac-Mahon i Zyblikiewicz. — Mniejszość, większość i kandydaci. — Szczęśliwe dotąd żeglowanie wśród skopułów. — Bystrość, parlamentarna wprawa i despotyzm. — Osobistości i sejmikowanie. — Jedyna w swoim rodzaju sztuka. — „Emigracya chłopska“ Anczyca.—Jedyny pisarz ludowy dramatyczny.—Kwestye społeczne. — „Emigracya Chłopska“ i wniosek Dunajewskiego. — „Merima“ czyli Powstanie w Bośnii, Bana, tłómaczenie Zmorskiego. — Aktualność. — Niedołęstwo słowiańskie w dramatyzowaniu. — Zapowiedziany zgon „Przeglądu Polskiego“. — „Po dziesięciu latach“ przez hr. Stanisława Tarnowskiego. — Zielona literatura. — „Szkice społeczne i literackie“. — Humorystyczne pisemka krakowskie.— Cesarz na radzie mi-

Strona

nistrów a p. Maresch. — Bytność hr. Coloredo Mansfeld. — Raport. — Śmierć Fredry. — Hołd oddany jego pamięci. — Pogrzeb. — Konkurs dramatyczny imienia Fredry. — Pośmiertny wiersz Fredry: „Stary śpiewak“. Dwa wesela w Krzeszowicach i Krasiczynie . . . 106

IX.

Strona

Wybory do Sejmu. — Brak stronnictw i przewódców. — Frazesa. — Kierunek przeważnej części publicystyki galicyjskiéj. — Przyczyny ubezwładnienia Galicyi. — Paszkwil i humorystyka. — P. Jan Lam. — Kroniki w „Dzienniku Polskim“. — „Panna Emilja“. — „Szczutek“. — P. Liberat Zajączkowski. — „Kronika Codzienna“. Humorystyka plagą. — Jéj powinowactwo z biurokracyą. — Żart. — Szkodliwy jego wpływ. — Dla czego? Społeczeństwo nie umie strawić żartu. — Natura i pochodzenie humorystyki galicyjskiej. — Biurokracya i humorystyka zjałowiły Galicyę. — Wpływ tego zjałowienia na wybory. — Potrzeba zapełnienia próżni. — Montaigne o duszy. — Reforma stosunków wewnętrznych. — Gmina wspólna i wniosek Dunajewskiego. — List p. Popiela do wyborców. — Pan Paweł Popiel. — Nominacya marszałka sejmowego. — Przyszła sessja sejmowa i reforma stosunków wiejskich 121

X.

Przygotowania do wyborów. — Choroba namiestnika. — Zarzuty. — Słowna i drukowana humorystyka. — Zwrot. — Objawy współczucia. — Anegdota. — Ruch wyborczy. — Program powszechnie popierany. — Program Samborski. — Co się pod nim ukrywa. — Dwa prądy

Strona

przeciwne reformie stosunków wiejskich. - Dziennikarstwo galicyjskie. — Dziennikarstwo ujemne. — „Gazeta Narodowa". — Pan Jan Dobrzański. — Co Galicya zawdzięcza p. Dobrzańskiemu. — Główne znamiona „Gazety Narodowej". — Monopol. — „Dziennik Polski" — Ulany w tej samej formie. — „Dziennik Polski" i pan Ziemiałkowski. — „Dziennik Polski", p. Lam i p. Dobrzański. — Pan Romanowicz. — Liberalizm wiedeński i bezwyznaniowość. — Obczyzna. — Sprawy osobiste.— P. Lam stanowi jedyną jego siłę literacką. — „Królowa Opinija". — Wpływ na ducha publicznego. — Zapowiedź rozbioru dodatniego dziennikarstwa 136

XI.

Strona

„Pojedynek Szlachetnych", komedya w czterech aktach prozą, przez Sewera, uwieńczona drugą nagrodą na konkursie dramatycznym warszawskim r. 1871 157

XII.

Oddziaływanie teraźniejszych wypadków politycznych na umysły. — Neutralność. — Milczenie posłów galicyjskich.—Wybory do Sejmu.—Ich wyjątkowy charakter.—Obowiązki ztąd wypływające.—Wybory z większéj własności.—Dwie ważne ustawy.—Przyszły marszałek sejmowy. — Hasło wyborów. — Reforma stosunków wiejskich. — Krakowscy konserwatyści. — Artykuł p. Koźmiana „Nasze stosunki".—List p. Szujskiego do p. Pawła Popiela. — Dodatnie dziennikarstwo galicyjskie. — „Gazeta Lwowska". — P. Władysław Łoziński.— „Czas". — Pierwotni jego założyciele.— Jego pochodzenie.—Po katastrofie Kirchmayera.—Dziennik ten nie jest

Strona
interesem. — Dziennik stronnictwa. — Dzisiejsi właściciele. — Zakupno drukarni. — Redakcya. — Niezależność. — P. Maurycy Mann. — P. Aleksander Szukiewicz. — P. Antoni Kłobukowski. — Lucyan Siemieński. — Współpracownicy. — Szkoła. — Zamknięcie w sobie. — Co kraj zawdzięcza temu dziennikowi? — Jego charakterystyka. — Jego stanowisko. — Co mu zarzucają nawet jego zwolennicy? — Strzeżenie godności pióra. — Zasługi. — Dola redaktorów. — Społeczeństwo wobec tego dziennika. — Nieudane próby dzienników w rodzaju lwowskich. — Sposób używania monopolu. — Polemika. — „Kurjer Krakowski.“ 187

XIII.

Stagnacya po wyborach. — Zachcianki chorobliwéj ruchliwości. — Zamiar powołania posłów do wytłómaczenia się. — Kraj pragnie zachować neutralność. — Śmierć Maurycego Manna. — Losy dziennika którym kierował. — Śmierć professora Skobla. — Typy. — Pośmiertne dzieła sceniczne Fredry. — Rada. — Pisma miesięczne. — „Przegląd Lwowski.“ — Ks. Edward Podolski. — Ludwik Veullot i sztuczny *veulliotyzm*. — Moderantyzm. — *Tromtadracya* konserwatyzmu. — „Przegląd Polski“. — Programowy artykuł p. Floriana Ziemiałkowskiego. — Redaktorowie: Hr. Ludwik Wodzicki. Hr. Stanisław Tarnowski. — P. Stanisław Koźmian. — Pan Józef Szujski. — Ujemne strony „Przeglądu“. — Profesor Zataj. — Wpływ „Przeglądu Polskiego“ na wyobrażenia i umysły. — Jego stanowisko wobec publiczności. — *Teka Stańczyka*. — Stronnictwo Stańczyków. — Braki i niedostatki. — Zajęcie wyczekującego stanowiska. — Choroba wyłączności. — Chęć pierwotna zachowania miary.

Strona
Słowo ministra Ziemiałkowskiego.—Przesada.—Pisma fachowe.—„Przewodnik rolniczo-ekonomiczny“ i pan Szczepański.—„Przegląd krytyczny“.—Periodyczne pisma ludowe, ks. Stojałowski i p. Anczyc.—Konkluzya o dziennikarstwie.—Wspomnienie z obiadu dla Libelta. 218

XIV.

Zakończenie.—Uwagi o życiu społecznem i towaryyskiém.—Dwa główne ogniska życia.—Kraków.—Określenie Krakowa przez Leona Kaplińskiego.—*Matecznik*.—Fantastyczny wiek.—Atmosfera *matecznika*.—*Pary zwierząt głównych* i *patryarchalnych*.—Krótkowidzenie i zasklepienie się.—Spóźniona moralność kosztem innych.—Ładna kobieta w Krakowie.—Wyjątkowa niemoralność.—Skandal w głębi *matecznika*.—Seraficzne kłamstwo.—Miłosierdzie materyalne w Krakowie.—Jego znamiona.—Wyjątki.—Dwie miary.—Nielogiczności.—Oszczerstwo i plotka.—Dawne towarzystwo krakowskie.—Starzejąca się kobieta.—Lucyan Siemieński o gospodyni domu.—Ostatnia matrona.—Salony.—*Poza* moralności.—Obłuda.—Potwarz.—Nieomylność i nietykalność Kohorta pracowników.—Przyszłość.—*Enfents terribles*.—Ograniczony wpływ.—Lwów.—Dwa ogniska.—Śmieszna rywalizacya.—Wyświecenie położenia.—Za jaskrawe farby.—Wytłómaczenie.—Kraj i jego znamiona.—Szczupłe działanie w zakresie działania.—Mowa rektora Zolla.—Uwaga bezstronnego czytelnika.—*La vie de province* i *spokojna filozofia*.—Rozwiązanie zagadki.—Zbyt surowe sądy.—Moda potępiania Galicyi.—Co zrobiła a czego nie zrobiła.—Zasługa.—Skrucha piszącego.—Lepiej jak by.ło..
Życzenie.—Zapowiedź dalszych listów 249

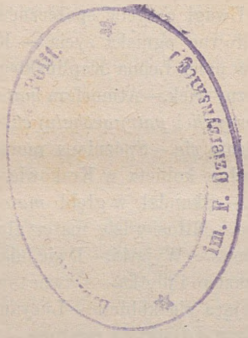

Biblioteka Główna
Akademii Sztuki Wojennej
12262/1
11-012262-000-0